

# Przeminęto z ogniem



NOEMI SZAC-WAJNKRANC

## Przeminęło z ogniem

Pamiętnik pisany w Warszawie w okresie od założenia getta do jego likwidacji

### WSPOMNIENIE

Kiedys dawno, dawno temu, kiedy jeszcze byłam mała, wspominaliśmy często dawne dzieje.

Lampa jasno oświetlała pokój, siedzieliśmy przy stole. W pokoju było przyjemnie, ciepło, przytulnie. Byliśmy we trójkę: mamusia, tatuś i ja. Wspominaliśmy.

— Pamiętasz, jak byliśmy w Rzymie, staruszko? — pyta ojciec.

— Pamiętasz — uśmiechała się matka — jak przychodziłeś do mnie w konkury? Wszystko ci się podobało, wachałeś sztuczne kwiaty i mówiłeś, że pachną, pamiętasz?

— Pamiętam.

— A jak Ema urodziła się, ach, była taka brzydka, małeńka, a krzyczała jak stary chłop, pamiętasz?

— A potem, kiedy była chora na odrę i oboje przesiedzieliśmy przy jej łóżeczku całą noc?

— Pamiętam.

— A ja pamiętam — przyłączyłam się do wspomnień — jak zginęłam w Oliwie. Szukaliście mnie, a potem zamiast się mną cieszyć, dostałam od ciebie, papo, w skórę, pamiętasz?

— A jak poszłaś pierwszy raz do szkoły...

Wspominaliśmy bez końca.

Wydawało się, że szczęście otacza nas dookoła, że złączeni z sobą mocno, nie rozdzielimy się nigdy, tak jak wspomnień nie można od siebie oderwać.

Zegar szedł cicho, srebrzyście wybijając godziny, ten sam zegar, który wskazywał nam wszystkie dobre i złe chwile.

Z czasem do naszych wspomnień przybył Jurek.

— Pamiętasz, Jureczku, Ustroń, gdzieśmy się poznali?

— Fatalna dla mnie miejscowość — żartował Jurek.

— Pamiętasz wycieczki górskie i naszą pierwszą sprzeczkę, o co to było?

— Aha.

Potem wspomnienia były mniej pogodne, aż w końcu tragiczne.

— Pamiętasz, jak poszedłeś na wojnę, jak było bombardowanie, niewola, a potem getto, wysiedlenie....

Po rozłące z rodzicami zostałam tylko z Jurkiem i już tylko we dwoje wspominaliśmy dobre i złe czasy.

Teraz, teraz — mogę je tylko sama wspominać, sama siebie pytać: „pamiętasz?” i sama odpowiadać: „pamiętam”, bo takich rzeczy się nigdy nie zapomina.

Jest taki prosty, nieskomplikowany wierszyk, który wpisywałam się za czasów szkolnych koleżankom do albumu. Wpisywałam go kilkakrotnie, nie zdając sobie wcale sprawy z jego głębokiej mądrości i prawdy, którą teraz zrozumiałam: „Wszystko przechodzi powoli, wielkie szczęście i to, co boli, wszystko przemija jak chce Przeznaczenie i tylko jedno zostaje — wspomnienie”.

## GETTO — PRZEPROWADZKA

Od rana krzątaaliśmy się, pakując ostatnie rzeczy. A potem, kiedy już wszystko było opakowane, łaziliśmy oswiali po opustoszałych pokojach, spoglądając na ściany, okna, pozostałe meble — jakbyśmy chcieli, aby nam na zawsze utkwily w pamięci. Zmiana miejsca — zmiana szczęścia. Jak nam się życie ułoży na nowym mieszkaniu w getcie?

Ciotka i wujek są zrozpaczeni. Po prostu potracili głowy. Wujek trzyma kurczowo jakiś mały przycisk ze swego biurka, przedstawiający model lokomobili<sup>1</sup>, nie rozstaje się z nim, coraz to przeciera go szmatką, jakby to było najważniejszą czynnością w tej chwili.

Pocieszamy się, powtarzając głośno: „niedługo wrócimy, nie warto wszystkich mebli przенosić, tu są zresztą pewniejsze niż w getcie”.

Przychodzą sąsiedzi żegnać się z nami. Niektórzy czynią to z prawdziwym żalem, inni składają smutnie usta, podczas gdy oczy ich śmieją się: „Tak, dobrze wam, jesteście niższą rasą, wyrzucają was, a my zostajemy”.

Ach, jak bardzo czujemy się upokorzeni.

Rzeczy znoszą na wóz, a teraz na nas kolej; wsiadamy do dorożki. Przed bramą stoi Franciszek — dozorca. Płacze.

— Pan inżynier ze swojego własnego domu musi się wyprowadzać; ach, te sukinsyny, łajdaki, szubrawcy!

— Jedźmy już, jedźmy! — wołam do woźnicy. Stać tak przed domem i być głównym bohaterem tego widowiska — to nieznośne.

Wujek i ciocia mają łzy w oczach; dla nich to nie tylko wyprowadzka do getta, dla nich to opuszczenie domu, który kupili za pieniądze z pracy całego życia, domu, który przebudowali, nad którym pracowali, który miał być zabezpieczeniem ich starości.

— My już tu chyba nie wrócimy...

— Ależ, ciociu, to przeprowadzka zaledwie na kilka miesięcy.

Po mieście ciągną bez końca wozy naładowane rzeczami, meblami! Ludzie taszczą walizy, paczki.

Jesteśmy już za murami, przejeżdżamy koło gminy, obleganej przez tłumy.

— Nie mamy dokąd się przeprowadzić! — krzyczą ludzie. — Dokąd pójdziemy na zimę z dziećmi?!

— Jaka ulica zostaje w getcie, a jaka nie? Nie wiem, czy mieszkam w getcie czy nie?

Na nowym mieszkaniu wita nas słońce. Wyjrzało zza chmur i przegląda się w oknach. Pokój zalany słońcem nie może być brzydki ani smutny. Słoneczko! Jak to ładnie, z twojej strony, że nie przejęło się hitlerowskimi zasadami i dla wszystkich jednakowo świecisz.

Pan pułkownik z siostrą, właściciel mieszkania, z którymi dokonaliśmy transakcji zamiennej, oczekuje nas. Podpisujemy umowę o zamianie *locum* na czas wojny, o zamianie mebli, które oni nam zostawiają, a my im. Pan pułkownik narzeka, że w naszym kąpielowym nie ma gdzie postawić swej marmurowej umywalni.

— Proszę pana — tłumaczę mu — ma pan tam przecież wannę w łazience, więc po co panu ten stary gruchot?

— Ja się do niego przyzwyczaiłem, myję się w nim prawie pięćdziesiąt lat.

Więc już wszystko? Jeszcze węgiel w piwnicy. Zamieniamy nasze z tony na z tony pułkownika. Ciotka schodzi do piwnicy i wraca zdenerwowana.

— Przecież tam jest tylko trochę mialu, nie chcę takiej zamiany!

— Słuchaj — mówi wujek — czy tylko to tracisz, głupia kobieto? Czy jeszcze nie przyzwyczaiłaś się do tego, że musisz być oszukiwana i krzywdzona?

Ale człowiek już taki jest, że musi cały swój ból wyładować i ten właśnie węgiel staje się najważniejszym powodem rozpacz.

— Czym my będziemy palić? Zmarzniemy. A na czym będziemy gotować?

---

<sup>1</sup>*lokomobila* (z łac. *locus mobilis*) — przewoźny zespół napędowy składający się z kotła parowego, maszyny parowej i urządzenia transmisyjnego (np. koła z pasem transmisyjnym), rodzaj małego parowozu bez własnego napędu: silnik parowy był dopiero mocowany na lub z boku kotła. Lokomobile stosowano w XIX i na pocz. XX w. do napędzania maszyn rolniczych, pomp i małych warsztatów itp., często dodatkowo wykorzystując produkowaną parę do ogrzewania oraz pozyskiwania gorącej wody; wyposażone w późniejszym czasie w prądnice, stanowiły lokalne elektrownie. Z czasem lokomobila została zastąpiona przez silnik spalinowy i elektryczny. [przypis edytorski]

— Żeby tylko było co gotować — wtrąca Jurek.

Przychodzi mój papa — wieczny optymista. Zaczyna wszystkim po kolei zachwycać się, aby nas pocieszyć, ale czyni to tak nieudolnie i naiwnie, że mam ochotę płakać.

— Lepsze mieszkanie niż na Wspólnej, bo mniejsze, taniej będzie je opalać; mniej mebli, to lepiej, przestrzeń nieabsorbująca — nowocześnie; łatwiej zresztą sprzątać. Stare graty zostawili? Graty mają swój staroświecki urok, może to antyki, zresztą jeżeli nie antyki, to można sobie wyobrazić, że to bezcenne sprzęty. A rogi w przedpokoju! — tu papa stanął w pozie Napoleona przed walną bitwą. Rogi miały być „clou”<sup>2</sup> naszej transakcji zamiennej.

— Spójrz, dziecko, na te rogi, czy nie przypominają ci one wspaniałych starych dworów szlacheckich, Mickiewiczowskich polowań? To na pewno rogi jelenie: jakże trudno było je upolować, a wyście dostali je tak, przy przeprowadzce. Najważniejsze jednak, że udało się nam zamienić mieszkanie, zdobyć dach nad głową. Tak, to najistotniejsze, to prawdziwe szczęście.

Tego samego dnia wprowadza się do trzeciego pokoju trzecia rodzina, a na drzwiach piszę: „Dzwonić raz Szenberg, dwa Wejnkranc, trzy Ahezojcen”.

## PIERWSZE TYGODNIE

Pierwsze tygodnie getta, to jeszcze zupełny chaos. Przede wszystkim co dzień prawie Graniczną ulicę to włączają, to wyłączają z getta, gmina uparcie walczy, targuje się o każdą piędź ziemi, o każdy dom, a Niemcy jakby dla kawału, jakby się drażnili, to dają, to znów odbierają. Dochodzi do tego, że ludzie w ciągu kilku dni po kilka razy zmieniają mieszkanie, zostawiając w każdym coś ze swego dobytku.

My, mieszkając początkowo na Granicznej ulicy, jesteśmy również na to narażeni. Siedzimy jak na wulkanie; trudniej znaleźć pomieszczenie niż igłę wśród nocy.

W końcu plan getta staje się wiadomy. Nasza obecna ulica — Biała — zostaje zmostrowana w ten sposób, że mur ma stanąć z jednej i drugiej strony ulicy, zaś jezdnia należeć będzie do dzielnicy aryjskiej, aby stworzyć dostęp do gmachu Sądu, który znajduje się przy końcu ulicy.

Wychodzi zakaz trzymania aryjskich pracownic domowych. Musimy pożegnać się z naszą Jasią, która pracuje u nas 8 lat i jest jakby członkiem naszej rodziny. Przykro nam — Jasia płacze.

— Może to i lepiej, Jasiu, będziesz pracować u ludzi, którzy mogą sobie pozwolić na służbę, a u nas teraz nie wiadomo jak będzie.

Ale Jasia jest niepokieszona.

— Jadłabym suchy chleb i kartofle, żeby tylko być razem.

— Cóż zrobić, jeśli nie można?

Pewnego dnia z rana jakies zamieszanie, przez okna widzimy ludzi, którzy gestykują, biegają tam i z powrotem. Pojawia się milicja żydowska z żółtymi opaskami na ramieniu: „*Ordnungsdienst*”. Milicjanci uspakajają tłum.

Wychodzę na ulicę. Od rana okolo getta drutami, postawiono straż niemiecką i żydowską milicję. Ogłoszono zakaz przebywania Żydów poza granicami getta pod karą więzienia.

Jesteśmy zamknięci w klatce. Druty są naturalnie tylko tymczasowe. Gminie nakazują budować mury tak, aby zeszyły się ze starymi murami: klatka będzie pewniejsza.

Dla Żydów jest to nowa klęska. Tracą oni kontakt ze swoimi warsztatami pracy, mieszczącymi się poza gettem, a wraz z tym źródła dochodu i swoje mienie, które musi przejść w drugie ręce. Żydzi spisują naprędce umowy antydatowane ze swoimi znajomymi aryjczykami, czyniąc ich właścicielami swoich dotychczasowych sklepów i składów.

Nie odnosi się to do domów, ponieważ wszystkie domy żydowskie przeszły w ręce tzw. Komisarycznego Zarządu. Jest to instytucja, która sama zarządza kamienicami, administrując je, pobiera dochody, a właścicielowi wypłaca co pewien czas taki procent, że za te pieniądze gospodarz wielkiej kamienicy może kupić sobie kilka bochenków chleba albo kilkanaście pudełek zapalek.

<sup>2</sup>clou (fr.) — klucz, gwóźdź; najistotniejsza rzecz. [przypis edytorski]

Co będzie z naszą fabryką? Telefonuję do jednej z naszych byłych sąsiadek, pani Aliny K.

Przychodzi tego samego wieczoru. Sporządzamy z nią umowę, czyniącą ją właścicielką naszych maszyn, lokalu i towaru. W drugiej umowie pani Alina obowiązuje się chronić fabrykę, płacić komorne, a po wojnie zwrócić nam fabrykę. Po godzinie nowa właścicielka żegna się z nami.

Jakże nam ciężko przyszło doprowadzić nasz „Korlit” do obecnego stanu. Ile pracy, ile nieprzespanych nocy, ile wysiłków. A teraz — biały świstek na biurku — oddaliśmy nasze dziecko.

Nie wiadomo jeszcze, czy to zatwierdzą w urzędzie.

— A czego ty się martwisz — gniewa się ciotka — tak czy inaczej, przepadło, wszystko jedno, już nie twoje.

— Ciociu, przecież jeszcze są porządni ludzie. Może ona jest jak raz uczciwa?

Co dzień rozmawiam z panią Aliną telefonicznie. Nie jest to łatwe zadanie, ponieważ ludzie oblegają nieliczne telefony w dzielnicy, wszyscy chcą jakoś uregulować swoje „zagraniczne sprawy”. Czasem trzeba godzinami czekać na połączenie, a często, gdy już uzyskałeś rozmowę, osoby, z którą chcesz rozmawiać nie ma w domu.

Pani Alina odwiedziła nas kilka razy, potem umilkła, znikła.

Następnie dowiedzieliśmy się, że zajechał ktoś z platformą i zabrał maszyny wraz z surowcem. Była to konfiskata niemiecka, ale owego konfiskatora widziano kilka razy w towarzystwie pani Aliny. Czy to przypadek? A może jako obecna właścicielka chciała uzyskać choć część z powrotem. Ktoś nie zgadza się z tym przypuszczeniem; takie sprawy załatwia się oficjalnie, a nie chodząc pod rękę i uśmiechając się słodko do konfiskującego majątek. Ja protestuję. Może właśnie w ten sposób chciała od niego więcej uzyskać, czasem kobieta kokietując więcej zdziała niż najrozumniejszymi dysputami, dowodzeniami. A może zakochali się w sobie? Uczucie do wroga? Bywa. Chciałam wierzyć w uczciwość pani Aliny, dlatego, że to ja ją wybrałam i ponieważ bardzo chciałam wierzyć w ludzi. W ten sposób nasze ukochane dziecko — nasz „Korlit” zakończył swój żywot.

## GŁÓD

Ceny żywności szalenie poszły w górę. Byliśmy zdani na to, co nam przywiozą czy przyniosą do getta, samemu nie można było przecież wychodzić poza mury. Przyniesione produkty z „tamtej strony” kosztowały podwójnie, a czasem i potrójnie niż na aryjskim rynku. Nieliczni robili wspaniałe interesy, a ludność głodowała.

Po krótkim czasie nowy zakaz: aryjczykom nie wolno przebywać na terenie getta.

Ceny poszły jeszcze bardziej w górę, a ludzie potracili całkowicie prawie kontakt z aryjską dzielnicą. Tylko nieliczni mieli przepustki i przez nich czasem, za duże pieniądze, można było coś załatwić. Poza tym istniały murki, przez które można było kilka słów zamienić. Można było również spotkać się w sądzie, który, choć strzeżony z jednej i drugiej strony, aryjskiej i żydowskiej, stał się miejscem spotkań aryjczyków z Żydami. Naturalnie trzeba było upozorować te spotkania tak, aby wyglądały jak rozmowy stron w jakimś procesie. Później jednak wpuszczano do sądu wyłącznie za okazaniem wezwania sądowego lub kwitu na wpłacenie podatku skarbowego, ponieważ w tym gmachu mieścił się również Urząd Skarbowy.

Żadnych paczek z sądu wynosić nie wolno było. Broń Boże, żeby ktoś przeniósł najmniejszą paczkę. Jakże to? Przenieść do getta produkty po cenie aryjskiej? — Żydzie, płac potrójnie, jesteś przecież Żydem.

Życie w getcie...

Kiedyś czytałam książkę o getcie weneckim. Przejęła mnie grozą. Ciemne, brudne zaułki, zapadłe domy, smutni ludzie z żółtą łatą na plecach. Napiętnowani, poniżeni.

Więc my też tak mamy wyglądać?

Czas idzie naprzód. Nie staje, nigdy nie wraca. Nieprawda, czas cofnął się, jak gdyby wskazówka zegara posunęła się nagle zamiast naprzód, wstecz. Zła ręka przywróciła światu oblicze lat przesądów, ciemnoty. Cofnęliśmy się poprzez lata postępu, odrodzenia, kultury: witaj, zabobonie, złości, kłamstwo, palenie czarownic na stosie, wymyślna

Czas, Historia, Upadek,  
Żyd, Religia, Polityka,  
Walka, Rasizm

torturo, odpowiedzialności zbiorowa, witaj wojno, w imię krzyża, splugawionego i wykrzywionego. Pochłoniesz tysiące, miliony ludzi w imię kłamliwej idei, zrodzisz miliony sierot, wzniesiesz pożary, zamienisz miasta w gruzy, ziemię urodzajną w pustynię, wypaczysz mózgi i serca.

\*\*\*

Jest anegdota o woźnicy, który chciał odzwyczaić swego konia od żarcia i w tym celu codziennie zmniejszał mu jego porcję siana. Wszystko szło świetnie... tylko nagle koń zdechł.

W getcie było podobnie. Ludzie mieli żołądki, ale nie mieli ich czym zapełnić. Ograniczano ich pożywienie, oszukiwano zupkami Joint'u (z prawdziwej wody) i byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że pewnego dnia umierali. Źle napisałam „umierali”, to znaczy, że pewnego dnia zamykali oczy i koniec. A trzeba by opisać cały bezmiar męki i cierpienia, trzeba by dać obraz oblegających ulice żebraków, nędzarzy, istot pół nagich, dzikich z głodu, chłodu, oblaźłych robactwem, którzy leżąc pokotem na chodnikach z całymi rodzinami, wystawiają ci na pokaz swoje gnijące ciała, ropiejące nogi, ręce, ramiona, jak gdyby wołali do tych, którzy jeszcze mogą chodzić: „i na was przyjdzie kolej i to już niedługo. I wy tak będziecie gnici żywcem. Wpierw zaczniecie puchnąć, a potem ciała wasze pokryją się wrzodami i skonacie bez ratunku”.

Bo ratunkiem może być tylko tłuszcz.

Ach, czarodziejski tłuszczu, który możesz nas uzdrowić, utrzymać przy życiu, czemuż dla nas tak niedostępny? Śpiewają o nim dzieci, dorośli, modlą się do jego mocy, tak chcą żyć, przetrwać, powrócić do sił, do swojej pracy, swych domów, ci żebracy, ci byli ludzie. Kurczowo trzymają się swojej karty żywnościowej, swoich bonów, które stanowią jedyne ich pożywienie, jedyną kruchą nadzieję na przetrwanie. Oddadzą je tylko po śmierci.

„Ach, te bony, ja nie chcę oddać bonów” — to piosenka, gettowa kołysanka, melodia naszej dzielnicy, a słowom jej: „*bot rachmunes jidisze menczen, bot rachmunes jidisze kinder*”<sup>3</sup> towarzyszy jęk nędzarzy, którzy biegną za tobą, wyciągają ręce, błagając: daj mi kartofel, jeden, jeden jedyny, małeńki kartofelek, skórkę od chleba, wodę z gotowanych ziemniaków, obierki buraczane, daj! Nie dasz? Masz przy sobie paczuszkę, a co w niej? Może coś do zjedzenia, może chleb?

Spada na ciebie nieoczekiwany cios. Brudna ręka chłopca dziko wyrывa ci paczkę z ręki, a chłopak ucieka, po drodze zając swą „zdobycz”. Jeżeli w następnej minucie milicjanci dopadną go, jeżeli go zbiją, odbiorą, to on już w międzyczasie zdążył zjeść. „Chaper” (łapacz), to nowy zawód małych, zgłodniałych chłopaków, gettowski proceder, który należy likwidować, ścigać, bo po prostu zagraża porządkowi publicznemu, bezpieczeństwu. Ha — ha, ha. Łapcie! Bijcie i likwidujcie! Cóż może być gorszego od głodu, który rozrywa kiszki? Ludzie umierają, konają całe rodziny. Codziennie rano, gdy wychodzisz na miasto, widzisz na trotuarach i jezdniach owrzodzone trupy przykryte papierem, które w ciągu dnia funkcjonariusze zakładu pogrzebowego Pinkiarta zabierają na cmentarz. Ludzie konają na ulicy. Konają w swoich mieszkaniach ci, którzy wstydzą się swego głodu i za próg domu nie wychodzą. Umrą w jednym z napadów szału. Nie wiecie, co to szaleństwo głodu trwającego dni, tygodnie, miesiące, lata! Czy widzieliście kiedy takiego obłąkanego w ataku? Nie, nigdy? To wasze szczęście, bo gdybyście kiedyś ujrzeli, nie dalby wam ten widok spokoju i prześladowałby was w snach i na jawie długo, długo, może nawet przez całe życie.

Konają ludzie, ku wielkiej uciechu naszych władz. Może w końcu wytworzyć się taka sytuacja, że nie będzie już komu umierać, mimo że co dzień nowych wysiedlonych sprowadzają do getta. Deszcz, śnieg, noc, dzień — przybywają ludzie wyrzuceni ze wsi, miast, miasteczek Polski, Niemiec, Czech. Przyjeżdżają z tobołkami na plecach — to ich jedyny majątek, aby po niedługim czasie powiększyć kadry żebraczy.

<sup>3</sup>*bot rachmunes jidisze menczen, bot rachmunes jidisze kinder* (jid.) — zmiłujcie się, Żydzi, zlitujcie się, dzieci żydowskie. [przypis edytorski]

„Nikt nie przetrwa wojny, nikt prócz Czerniakowa, Pinkierta i mnie” — mówi Rubinsztajn, żebrak, wariat, komik, śpiewak, satyryk i patriota w jednej osobie, jedna z najbardziej popularnych osobistości getta.

— Nasza trójka przetrwa, bo Czerniaków, to prezes gminy żydowskiej, któż by, gdyby go zabrakło, rządził nami, komu by Niemcy dawali zarządzenia, kogo by czynili za nas odpowiedzialnym? Pinkiert, właściciel zakładu pogrzebowego, król nieboszczyków, pierwszy i ostatni grabarz nie może umrzeć, bo któż by go pogrzebał? No, a ja, ponieważ nie mam bonów, więc jak je mogę oddać<sup>4</sup>?

— A czemu nie dostajesz karty żywnościowej?

— Bo nie jestem meldowany — oświadcza z dumą.

— To zamelduj się.

— Nie chcę. Teraz — objaśnia — panuje Hitler. Jeżeli będę figurował w książkach meldunkowych, to tak jakbym był jego obywatelem. Nigdy, nigdy na to się nie zgodzę, a na jego bony pluję, ja od niego niczego nie chcę mieć, straciłem tu żonę, dzieci i jeszcze mam bony brać, a niech sam się nażre (*cum tojt*<sup>5</sup>) moim kwaśnym chlebem i gorzką marmeladą. Do tego mogę mu dodać 1 kg zepsutej kapusty i tuzin sacharyn od Rubinsztajna.

— Co ty wygadujesz, szaleńcze, przecież wszyscy są meldowani i wszyscy otrzymują bony.

— To co, że wszyscy? Jak wszyscy mają przewrócone w głowie, to ja też muszę mieć?

Łazi Rubinsztajn po mieście uśmiechnięty, wesoły, że głodny, to głupstwo, że w łachmanach, to nieważne, śpiewa swoje piosenki o Hitlerze, gminie, aprowizacji, siada na karawanie: „Oddałeś swoje bony, kolego? Odprowadzę cię do swojego spokojnego domostwa, gdzie cię nikt nie będzie niepokoił. Za to, że ci towarzyszę, wynajdź mi tam miłe mieszkanko. Biedne mam, jak widzisz, skromne wymagania, ale muszę się jakoś zabezpieczyć. Skandal, jak wszyscy się pchają na tamten świat. Ja myślę, że niedługo w ogóle nie będą tam wpuszczać. Dotychczas my, żebracy, mieliśmy pierwszeństwo, teraz tyfus panuje i tyfusowi biorą pierwsze miejsce. Okropne. Ja, król żebraków getta, tracę głowę, nie wiem po prostu co robić, myślę, że trzeba będzie przyłączyć się do nich i... zachorować na tyfus”...

Nie zachorował jednak na tyfus, na złość Niemcom. Na złość Niemcom nie poszedł na Umschlagplatz, nie skorzystał z komory gazowej, tak pieczołowicie i z takim trudem przygotowanej dlań przez cały sztab chemików, inżynierów, ludzi nauki i czynu, nie oddał swoich bonów, bo ich nigdy nie miał. Tak, Rubinsztajn sprzeciwił się woli Hitlera, oparł się jego zarządzeniom.

Proroctwo jego nie spełniło się, nikt z wymienionej trójki wojny nie przeżył. Ale za to zginął jak bohater. Przy pojmaniu go, podczas jednej z pierwszych blokad, krzyknął: „Precz z Hitlerem!”

Żołnierz strzelił w niego, ale widać człowiek ten do końca uparł się czynić na złość naszym prześladowcom. Nie zginął od pierwszej kuli, ani — co za bezczelność — od drugiej. Miał jeszcze dość sił, aby zawołać: „Dziękuję! Na pewno na tamtym świecie jest lepiej, jak na tym, chociażby dlatego, że tam nie ma Hitlera!”.

A Czerniaków, prezes gminy, z zawodu inżynier, skromny człowiek, którego siłą zmuszono do zajęcia stanowiska, jakiemu nie mógł sprostać. Może dlatego, że nikt by takiemu zadaniu nie podołał. Dawać ludzi na ciężkie katorżne roboty, wysyłać mężczyzn do obozów, z których nikt prawie nie wracał, wprowadzać w życie zarządzenia ograniczające wolność, coraz bardziej gnębiące, coraz bardziej krwiożercze, napastliwe, bestialskie. Oddaj wszystko, co masz! Pieniądze, złoto, meble, futra, cały twój dobytek, oddaj pod karą śmierci, oddaj zdrowie, siły, a potem kiedy już nie masz co oddać, oddaj życie. My, Niemcy, potrzebujemy wszystkiego, chcemy wygrać wojnę waszymi warsztatami pracy, waszymi uciulanymi groszami, waszym krwawym potem, waszym życiem, wszystko nam jest potrzebne!

A my nie będziemy wam dłużni, my wam wspaniałomyślnie za to damy „*Lebensraum*”. Żyjcie sobie na przestrzeni kilkunastu ulic i dwóch placyków. — Co? Nie spo-

<sup>4</sup>nie mam bonów, więc jak je mogę oddać — sformułowanie „oddac bony” stało się dla ludzi uwięzionych w getcie synonimem śmierci, wyzionięcia ducha. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*cum tojt* (jid.) — na śmierć. [przypis edytorski]

sób? Chcecie powiedzieć, że wypada u was przeszło 4 osoby na przestrzeni 1 m<sup>2</sup>. Cóż to za wymagania, jesteście przecież najniższą rasą ludzką, wam też trzeba wygod?! Zresztą, o co chodzi, pójdziemy wam na rękę. Za dużo was, możemy waszą liczbę pomniejszyć, mamy sposób na to.

Dostarczymy wam na osobę po kilka kilo razowego chleba i ¼ kg marmelady na miesiąc i jeżeli dodamy do tego nieco zgniłych kartofli i brukwi (nie mamy z tym co robić, bydło nie chce tego żreć, a trzeba to jakoś zużytkować) i trochę cukru (żeby móc o tym rozpisywać się w gazetach), to chyba szybko was przetranslokujemy na drugi świat. A może boicie się, że szmugiel będzie nam w tym przeszkadzał? Zwalczymy szmugiel. Nasze mury odgradzające getto od dzielnicy aryjskiej coraz bardziej rosną w górę. Nie żałujemy cegieł, ani wapna, bach! Chociaż nam ciężko z żelazem, damy wam jednak druty kolczaste na zakończenie murów, *pro publico bono*, będziemy rozstrzeliwać szmuglujących bez sądów, damy nieograniczone na to prawo naszym żołnierzom, naszej dzielnej straży getta, będziemy przy tym zabijać nie tylko was, ale i podających żywność Polaków, nie jesteście drobiazgowi.

A jeżeli doszło waszych uszu, że nieprzyjaciele bombardują nasze fabryki amunicji i że nam kulek brak, to my was przekonamy, że to oszczerstwo. Tak, nie żałujemy kulek dla nikogo, nawet dla małych dzieci. Widzieliście chyba na Białej i na Grzybowskiej tłum dzieci w wieku od lat 5 do 13, wybiegających na znak przez dziury w murach? Dzieci te biegły na aryjski rynek, by wrócić po kilkunastu minutach z torbą kartofli albo bochenkiem chleba. To jedyni żywiciela całych rodzin.

Przeleci taki malec przez murek kilka razy dziennie, sprzeda swój szmugiel i za zarobione pieniądze kupi chleba do domu. Więc my będziemy tych bezczelnych malców, którzy nie boją się naszych razów, zabijać, zobaczycie.

Widzieliśmy, jak celnie strzelali do nich Niemiec i litewscy junacy, jak chodniki czerwieniły się od krwi i jak drgały ramionka dziecinne: Mamo! Mamo! Za co?

To jeden sposób.

Mamy w zanadru jeszcze jeden. Jak wam się podoba tyfus plamisty? Niezła choróbka, miła epidemijka. Skosi wam, rękę za to, 25% ludności. Nie będziemy żałować pracy naszych słynnych bakteriologów. Boicie się, że mimo epidemii wielu chorych powróci do zdrowia, nie martwcie się, przecież wiecie, że my jesteśmy przezorni, postaramy się, aby nikt z was nie wyzdrowiał. Tyfus trzeba leczyć glukozą, dobrym odżywianiem, witaminami, czystością, a my damy wam szpitalik (znacie naszą humanitarność!) i kłaść będziemy po trzech chorych na jednym łóżku, na brudnych siennikach, bo skąd weźmiecie bieliznę i pościel? A leczyć będziecie ich głodem. Niedługo trzeba będzie czekać na rezultat. No cóż, mało wam? Umiemy na dodatek wymordować zakładników i postrzelać sobie tak, na wiwat. Zmniejszy się liczba główek aż miło. Proszę, podziękujcie nam za naszą pomoc, przecież sami widzicie, że nie żałujemy ani trudów, ani pomysłów.

Musiał ocenić Czerniaków i trudy, i pomysły. Szarpał się, jak ryba w sieci, latał i latał coraz bardziej drące się życie gettowskie, aż pewnego dnia zrozumiał, że już nie uda się go załatać. Zażył cjankali. Popelniał samobójstwo, bo nie mógł się zgodzić na przedłożony mu plan zupełnej likwidacji getta, nie mógł wziąć udziału w wysyłce ludzi na śmierć. Może chciał, aby czyn jego był dla nas hasłem do buntu. Przez jego śmierć powinniśmy byli pojąć, że ostatnia chwila nadeszła, że już nie mamy nic do stracenia. Powinniśmy byli zrozumieć, ale niestety, byliśmy otumanieni albo może nie mogliśmy sobie wyobrazić, że tak szalona zbrodnia może zostać dokonana.

Jaki los spotkał Pinkierta, który dopiero w getcie stał się prawdziwym królem nieboszczyków, pomocnikiem Niemców, choć wcale do tego nie pretendował? Sprawa jest bardzo prosta. Pinkiert miał jeszcze przed wojną skromny zakład pogrzebowy. Nie jest to zbyt miłe zajęcie, ale to kwestia przyzwyczajenia. Ostatecznie można przywyknąć do tego, że żyje się z czyjejś śmierci. Więc ów Pinkiert, który przed wojną czekał czasem całymi dniami na „klienta”, dostał nagle roboty co niemiara. Niemcy starali się ze wszelkich sił, aby Pinkiert miał kogo chować, starali się tak usilnie, tak gorliwie. Pinkiert musiał rozszerzać swój interes, urządzać filie, zatrudniając coraz to nowych pracowników, a śmiertelność rosła i rosła. W końcu już nie wiadomo było, kto dla kogo pracuje, czy Niemcy dla Pinkierta, czy Pinkiert dla Niemców. Współpraca w każdym razie była ścisła. Wszystkie dzieci dzielnicy znały piosenkę o Pinkiercie: „Ten Pinkiert — to cholera,



do grobu nas zabiera”. Ale cóż on sam zawinił? Niemcy mogą zabijać. To piękne, to wspaniałe dzieło, to im przyniesie chwałę, rozgłos.

To bohaterstwo.

Skutecznie, szybko, planowo unicestwiać bezbronnych, kobiety, dzieci.

Ale grzebać ich, fe!... To niehigieniczne zajęcie.

Całymi więc dniami jechały przez getto karawany Pinkiertra. Jego funkcjonariusze w czarnych mundurach ze srebrnymi naszywkami budzili lęk i grozę, ale za to byli bezpieczni. Żaden Niemiec nie ważył się ich ruszyć. Byli im potrzebni. Przeżył Pinkiert Rubinsztajna, przeżył Czerniakowa, ale do czasu. Przyszedł dzień, kiedy naukowcy niemieccy wynaleźli lepszy, doskonalszy sposób likwidowania ludzi. Kiedy wprowadzono w ruch komory gazowe, kiedy po raz pierwszy rozpalono piec krematorium, zdebronizowano króla grabarzy. A kto go pogrzebał? Nikt. Spalono go w piecu, a prochy rozwiano na cztery strony świata.

## GETTO BAWI SIĘ

W wyobraźni rysowałam sobie nieraz obraz piekła. Widziałam męczonych ludzi, kłasnających diabłów i myślałam wtedy: dla ludzi ogień był źródłem męki, na nim to smażyły się ich ciała, ale diabłów ten sam ogień zagrzewał do tańca, był dla nich iluminacją, dodawał im bodźca do harców.

Piekło getta. Ludzie zamknięci, pozbawieni możliwości pracy, działania; ludzie, których napiętnowano, prześladowano, skazano na wymarcie w mękach. I oto część tych ludzi podnosi głowy i zaczyna działać. W getcie są pieniądze, są towary, są fachowcy i nagle dzieje się coś zupełnie nieoczekiwanego: getto zaczyna żyć swoim własnym życiem. Zaczyna się handel wymienny, import i eksport. Trupy na ulicy, tyfus, niesłychana śmiertelność i równocześnie przemysł. Nasze getto zaczyna dostarczać całej Polsce produktów i towarów, których tam wcale nie wyrabiają. Jak grzyby po deszczu powstawały fabryki. Fabryki — czy tak można nazwać małe suterynki, pokoiczki, gdzie powstawały najpiękniejsze wyroby trykotażowe, pończochy, swetry, skarpety. Warsztaty, gdzie stare prześcieradła i poszewki farbowano i drukowano we wzory i szyto z nich najmodniejsze koszule męskie, piękne kwieciste chustki na głowę, chustki do nosa. Z cukru, bez kakao i bez orzechów, fabrykowano czekoladki z migdałkami. Szły garbarnie, tokarnie, fabrykowano masowo i wypłacano kolosalne łapówki milicji, tajniakom i Niemcom.

Bywały dni, że mimo to wywożono maszyny i towary i zabierano ludzi. Jedną fabrykę zamknięto, ale dwie nowe powstawały, aby dać pracę i zarobek ludziom. Byli u nas nędzarze, ale byli i tacy, którzy mieli pieniądze. Wprawdzie była to garstka nieliczna, ale zawsze, jeśli ktoś ma pieniądze, to i inny może przy nim pożywić się i komuś dać zarobić.

I oto powstały restauracje, dancingi, ogródki dancingowe. Szare mury getta, głód, śmierć na każdym kroku, a w podziemiach wspaniałe lokale rozrywkowe. „Lourse”. Blask bije od luster i marmuru, od srebra i kryształów. Nasi świetni muzycy grają, artyści pokazują nie tylko swoje stare numery, ale i nowe. Śpiewają o getcie. Młodziutka śpiewaczka o głosie słowika śpiewa tak cudnie, jakby nigdy na świecie getta nie było, jakbyś nie wiedział, co to jest Niemiec. Na tacy podają ciastka i kawę, czy pachnący, smaczny, różowy krem, lukrowane orzeszki.

A potem, gdy z pięknej, rzęsiście oświetlonej sali wychodzisz na ciemną ulicę i dobiega twych uszu dźwięk słów „*hot rachmunes*”<sup>6</sup> i widzisz wychudłe ciała w lachmanach, żałujesz tej miłej chwili spędzonej w lokalu, nazywasz siebie okrutnikiem bez serca i uświadamiasz sobie, że ludzie mogą jeszcze słuchać śpiewu i muzyki, mogą rozkoszować się ciepłem i jasnością, ale już nie mogą tańczyć. Tak, w naszych dancingach nikt nie tańczył. Widocznie musi być jakaś granica.

W getcie był również teatr. Nie było tak łatwo wysztukować przedstawienie, aby spodobało się wszystkim. Przede wszystkim nie wolno było narazić się cenzurze, poza tym trzeba było dobrać numery, aby w tych błogosławionych godzinach człowiek mógł popłakać, śmiejąc się i zapomnieć o śmierci.

<sup>6</sup>*hot rachmunes* (jid.) — miejcie litość, zlitujcie się. [przypis edytorski]

## SZMUGIEL

Jak się odbywał zorganizowany szmugiel, który dostarczał żywności gettu, dawał pracę przemytnikom, często pozbawiając ich przy tym życia? Naturalnie, szmugiel podawany przez gmach sądu, przenoszenie pod sukienką, czy szmugiel przez murki za pośrednictwem małych dzieci, to wszystko nie było zorganizowanym masowym szmuglem i nie mogłoby pokryć nawet jednej setnej zapotrzebowania. Do tego trzeba było tak zorganizować handel, aby getto mogło swoje produkty wysyłać i otrzymywać za to żywność.

Przede wszystkim „wacha”<sup>7</sup>. Na „wasze” u każdej z bram getta stało kilku Niemców i milicjantów żydowskich, którzy zmieniali się co kilka godzin. Przemycnicy umawiali się, że o takiej a takiej godzinie ma przejechać wóz z aryjskiej strony. Przekupieniem „waczy” zajmowali się tak zwani „grajkowie” — nieliczni milicjanci-specjaliści, którzy podchodzili do „waczy” i przeprowadzali dyplomatyczne rozmowy, wskutek których Niemcy zamykali na kilka minut oczy, a wóz wjeżdżał do getta. Po chwili pusta maszyna wyjeżdżała, a milicja i Niemcy dzielili się łapówką. Nazywało się to: „Szafa gra”.

Nie było to takie proste, gdyż czasem Niemcy nie chcieli się zgodzić, czasem żądali tak wielkich pieniędzy, że towar nie był tyle wart. Często maszyna spóźniała się i „obrobieni” Niemcy odchodzili z „waczy”. Nie, nie było to łatwe i nie było bezpieczne. Czy nie zdarzało się, że żołnierz godził się, aby za chwilę, kiedy maszyna wjeżdżała do getta, strzelać do szofera, przemytników i milicjantów?

Ach, jaki straszny był dzień, kiedy rozstrzelano 100 milicjantów za szmugiel!

A na drugi dzień druga setka obrabiała „wachę” i znów „Szafa grała”...

Drugi zorganizowany szmugiel szedł przez domy przejściowe i murki, gdzie co dzień prawie wynoszono trupy zastrzelonych przemytników.

Ulica Koźła, mała, cicha, graniczna uliczka, stare domy, nic podejrzanego na pozór. Tymczasem na dany znak zwyczajne rynny kierują się sprytnie poza mur i leje się przez nie mleko, leci kasza, mąka i cukier. Stop. Ktoś idzie! Rynny momentalnie cofają się, zamierają niewinnie, nieruchomieją. Jesteśmy zwykłymi rynnami!

A tu znowu za dotknięciem guzika mur rozstępuje się i przepuszcza krowę. Tutaj odbywa się największy handel mięsem. Wszystko jest ruchome, okna podnoszą się i opadają, murki znikają, dachy otwierają się jak pokrycie pudełka. Cud! Tak, zdejmcie, ludzie, czapki przed tym cudem, cudem pomysłowości, pracy i odwagi Koźlej ulicy, która setki razy broczyła krwią. Gdyby pochować tych wszystkich, którzy na niej zginęli przy szmuglu, nie byłoby chyba miejsca na groby. Na Koźlej, na Białej, na Siennej powinny stanąć pomniki z napisami; „Wszystkim cichym, a nieustraszoną, bezimienną bohaterką przemytu — chwała”.

Nie będzie pomnika, nikt go nie postawi. Wiem, są większe bohaterstwa i ważniejsze sprawy... Ale mimo to, cześć Wam!

## MOJE KARTY

Pada deszcz. Błoto. Zachlapałam sobie nogi aż po kolana. „Trzeba dać boty do naprawy” — myślę, a potem zaraz — „Ile to może kosztować?”.

Na wszystkie moje osobiste wydatki muszę sama zarobić, nie mogę od nikogo brać. Kontroluję swój biedny budżet ustawicznie. Nigdy nie mogę wszystkiego kupić i zawsze trzeba odkładać na przyszły miesiąc. Składki towarzystwa, szewc, nici, woda kolońska, coś dla Jasi, coś rodzicom, coś dla domu. Wreszcie trzeba skreślić szewca i wodę kolońską. Jurek męczy mnie: „Rzuć tę robotę i tak nic z niej nie masz”. „Jak to nic?” „No nic. Absolutnie nic, na co ty wydajesz?”.

Jurek jest moim najukochańszym mężem, ale nie o wszystkim może wiedzieć, on zresztą też przede mną ukrywa, że daje pieniądze swojej matce. Czemu boi się mnie?

Jestem dziś rozdrażniona. To niełatwe użerać się z ludźmi, wysłuchiwać tysiące reklamacji, skarg i zarzutów, czuć wrogość ludzi do tych z okienka, do tych z gminy, co regularnie pobierają 200 złotych miesięcznie. Obliczymy to na chleb: można kupić około 20 bochenków razowego chleba, a licząc na kartofle, jest to dziennie 70 kg kartofli (piszę o czasach, kiedy był spokój w getcie przed wysiedleniem).

<sup>7</sup>wacha (z niem.) — wartownia; straż, warta, sztyldwach; tu: brama prowadząca do getta. [przypis edytorski]

Pada deszcz. Jak ponuro i smutno, ach, żeby jak najprędzej być w domu. Myślę jeszcze o różnych „machlojkach” w gminie, o moich kolegach i koleżankach, którzy „na lewo” biorą karty żywnościowe. Właściwie komu wyrządza się tym krzywdę? Nikomu. Kogo się okrada? Niemców chyba, którzy na każdą osobę przeznaczają głodowe porcje. Mimo to — oszustwo i nieprzyjemnie, jeżeli się wyda, a karą — groźba utraty pracy. Wiem, wielu urzędników bierze po kilkadziesiąt kart miesięcznie, część sprzedają, a część zużytkowują dla siebie i zawsze mają fundusz na „złagodzenie kontroli”. Ale o tym tylko przebąkują, to trzeba umieć zorganizować, a ja przez moje cztery karty także mogę wpaść. Te cztery karty dławią mnie i palą. Wydaje mi się, że wszyscy w biurze widzą cztery wyszachrowane karty. W nocy śni mi się, że mój naczelnik wykrył to „przestępstwo”. „A ja do pani miałem takie zaufanie” — mówi.

Na przyszły miesiąc już nie wezmę, za skarby, przyrzekłam to sobie, ale... na przyszły miesiąc cztery karty — to jedno kilo cukru, kawa (wprawdzie *ersatz*) i chleb, a jeśli mamie ich nie dam, to sobie cukru nie kupi, a cukier taki drogi! Co robić?

W domu Jurek mówi, że za te 200 zł, które i tak się rozłożą, nie będę pracować, szkoda butów. „Lepiej byś cioci w domu pomagała”. „Przecież i tak pomagam!” „Ale o co się tak upierasz, czy tak lubisz użerać się z tymi brudasami? Tracisz tylko zdrowie i nerwy, przecież kart na lewo nie bierzesz?”. „A jeśli bym brała, to by się opłacało?”

Przestraszyłam się. Czy ja mogę przez to stać się złodziejką?...

Ogłoszono kontrolę. Byłam zupełnie zdruzgotana. Boże, jak będą na mnie patrzeć w domu, mamie powiedziałam, że mi dali oficjalnie, co robić?

W nocy nie mogę spać, śnią mi się cztery gładkie, żółte karty, sypie się z nich cukier, potem zamieniają się na chleb i miód erzacowy, potem słodki mdlący miód zapycha mi gardło, dławię się. Chcę krzyknąć. Nie mogę. Czuję świeży zapach farby drukarskiej na bonach. Duszę się tym zapachem, ach nie, ja się duszę wyrzutami sumienia.

Od rana kontrola. Jestem błąda i drżąca. Koniec. Córnka tatusia, żona Jurka, popełniła... Przecież gdy czytałam kiedyś o takich przestępcach w gazecie, myślałam o oszustach z pogardą i obrzydzeniem, a teraz ja sama... Demoralizujemy się wszyscy, sprawiają to nasze warunki, to wina naszych ciemniźcyli, którzy chcą nas zniszczyć fizycznie i moralnie.

Kontrola trwa od rana. Przychodzi kolej na mnie.

— Ile pani bierze kart dla siebie? — pyta jeden z kontrolerów, mały siwy staruszek, adwokat.

— Cztery — jąkam się.

— Cztery? — podnosi wysoko brwi.

— Tak! — mówię i spuszczam oczy.

Następuje dokładna kontrola, a po kilku godzinach żegnają się ze mną serdecznie.

Chcę pytać o moje cztery karty, ale nie śmiem.

W kilka dni potem woła mnie naczelnik.

— Przyznano pani półoficjalnie 12 kart żywnościowych miesięcznie!

Jestem zdumiona.

— Doprawdy? Pan żartuje.

— Nie, bynajmniej. Pani je uczciwie zarobiła.

Wszystko dziś na odwrót — zamiast kary, nagroda. Ale to nie jest w porządku. Okazuje się, że jestem mniejszym złodziejem niż inni — najmniejszym. Wydalono z naszego działu kilkanaście osób. Szepczą, że były tam ogromne nadużycia. Wszyscy są wciągnięci. Każdy musi brać na lewo. Trzeba żyć.

Jedna z moich koleżanek, którą wydalono, spotyka mnie na ulicy. „Nie każdy jest w takim położeniu, jak pani” — atakuje mnie — „pani traktuje swoją pracę jak „*neben an*”<sup>8</sup>. Pani ma męża, a ja musiałam z mojej pracy utrzymywać starą matkę i troje drobnych dzieci. Kraść? To nie kradzież, zresztą wszystko jedno, nie mogłabym patrzeć na głód moich dzieci, byłabym wyrodnym człowiekiem, jeśli bym, mając jakiegokolwiek możliwości, nie wykorzystwała ich i skazywała moją rodzinę na skrajną nędzę. Bo przecież nawet z tego, co miałam, też nie mogłam im dać więcej, niż chleb, kartofle i trochę cukru. Nie brałam na rozrywki czy cukierki”...

<sup>8</sup>*neben an* (niem.) — obok. [przypis edytorski]

Jakże straszne jest życie. Gdzie prawda, gdzie powinność, gdzie granica dobroci, uczciwości? Wszystko przekręcone do góry nogami.

Teraz mogę dawać rodzicom co miesiąc 12 kart, z których mama z kolei w tajemnicy przede mną daje kilka swojemu bratu Józkowi. Józek jest w strasznej nędzy, trzeba mu jakoś pomóc. Ale jak?

Jurek nic o bonach nie wie, jest to pierwsza tajemnica, pierwszy rozdźwięk między nami. Jeżeli bym mu powiedziała byłby niezadowolony. „Ty wszystko pchasz w rodziców”.

A on? On pomaga swoim, nie mam o to pretensji, to jest naturalne, ale... ale dlaczego oni trzymają dziewczynę do pomocy, jeśli u nich jest Krysia i matka, czemu jego siostry nie żałują sobie na kosmetyki ani na papierosy, czemu jego matka krytykuje mnie, że oszczędzam pończochy i pantofle, że do pracy chodzę w starym palcie? Wygląda, jakby Jurek dawał aż na zbytki, podczas gdy my z ciotką wykonujemy najcięższe roboty, a oszczędzamy na wszystkim, bo lepsze rzeczy trzeba będzie sprzedać albo bardzo długo nosić, a nowych się na pewno nie kupi.

Tak, to są pierwsze rozdźwięki między nami.

Może tak nie powinnam myśleć, to nieładnie, ale myśli same przychodzą do głowy i kiedy ciocia zaczyna o tym mówić, bronię ich, ale chętnie przyznałabym jej rację. Jesteśmy biedni — nasze zarobki nie pokrywają nawet w dziesiątej części naszych wydatków, ale... sypiamy jeszcze na pięknej, czystej pościeli, nosimy jeszcze czystą bieliznę, chodzimy w całych butach i w porządnym ubraniu, jadamy na lśniących serwetach, porcelanie i srebrnej zastawie — urządzamy jeszcze święta, chociaż możliwie najskromniejsze. Z naszych produktów przyrządzamy zawsze przynajmniej dwa dania na obiad i chociaż na pierwsze są zawsze kartofle, to jednak za każdym razem trochę inaczej przyprawione. I nie możemy się rozstać z rzeczami. Przecież wrócą kiedyś dawne czasy, po co wszystko marnować? Część rzeczy po stronie aryjskiej chyba przepadła, więc chociaż te u nas trzeba zachować.

Ach, żebym miała obecne doświadczenie, żebym nie była wychowana na zasadach oszczędności, poszanowania dla rzeczy, ekonomicznym gospodarowaniu, powinnam była przecież wtedy zmusić matkę do wysprzedawania wszystkich cennych rzeczy i do życia tak jak trzeba. Powinnam była wtedy opróżnić nasze kufry i nie żałować niczego, a tak? Futra diabli wzięli, bo trzeba było oddać je Niemcom, a pozostałe rzeczy przepadły przy wysiedleniu. Teraz jestem wyleczona, nie wiem, czy to dobrze czy źle, ale już nie mam przywiązania do rzeczy. Dawniej każda dziurka w ubraniu, każde rozbite naczynie sprawiało mi przykrość, teraz nie robi to na mnie żadnego wrażenia.

Szkoda tylko życia ludzkiego, a więcej niczego nie szkoda na świecie.

## SĄDNY DZIEŃ NA UMSCHLAGPLATZU

— Dziś już, Emciu, blokad nie będzie — powiedział któregoś dnia Jurek. — Przejadę się rowerem do matki.

— Tak myślisz? — spytałam.

— Z pewnością. Już pierwsza, na mieście spokój, można odetchnąć. Ale ty siedzisz w domu, z bloku lepiej nie oddalać się.

I poszedł.

„Jeżeli spokój — myślę — to przecież i ja mogę iść do rodziców, mieszkają tak blisko, zaledwie o kilkanaście domów dalej”.

Prawda, że to niebezpiecznie wyjść z szopu, ale ja tak za nimi tęsknię, muszę koniecznie ich zobaczyć.

Szykuję dla nich paczkę żywnościową, dzielę nasze produkty na połowę itd. Biegnę szybko. Dom rodziców. Moi staruszkowie, jak zwykle, przy schronie, wymęczeni, bladzi, wystraszeni.

Boże mój, Boże, jak się zmienili! Całuję ich.

— Dziś będzie, podobno, spokój — mówię — mamusiu, chodźmy do mieszkania, pomogę ci coś ugotować, przecież wy głodujecie.

Idziemy na drugie piętro. Rozpalamy ogień.

— Po co tyle przyniosłaś, przecież to z uszczerbkiem dla was — strofują mnie.

— Ależ skąd, my mamy duże zapasy!

— Jak długo te łapanki potrważą? — pytają się.  
— Już chyba niedługo — pocieszam ich.  
— Tak się o ciebie, córuś, martwimy, czyś ty tam u siebie w bloku bezpieczna?  
— Naturalnie.

Cóż, czy mam im powiedzieć, że przy wczorajszej blokadzie dwie trzecie kobiet zabrali?

— Nie mogę już wytrzymać — skarży się matczka.

— Ach, jaka z ciebie kobieta — oburza się ojciec — taki masz wspaniały schron i jeszcze ci niedobrze, iluż ludzi zazdrościłoby ci.

Wspaniały schron! Wspaniały wyczyn mojego ojca, który, gdyby nie jeszcze wspanialsza wprawa niemiecka w tropieniu ludzi, utrzymałby przy życiu kilkadziesiąt osób.

Gdy blokady stały się coraz częstsze, a wszelkie „dokumenty” okazały się bez znaczenia, ojciec postanowił zbudować schron. Nie było to takie łatwe. Przede wszystkim nikt, prócz osób zainteresowanych, nie powinien był wiedzieć o tym. Budować można było tylko nocą, a zdobycie cegieł, to też niełatwa sprawa. Ale ojciec pokonał wszystkie trudności.

W naszej piwnicy było względnie cicho, zdobył cegły, zamurował wejście, zostawiając jedynie na dole mały otwór, przez który można było wczłogać się. Przy otworze zaś zbudował coś w rodzaju szuflady z przodem z cegieł. Szufladę tę zaciągało się po wczłgnięciu ostatniej osoby do schronu. Absolutnie nie można było domyśleć się, że za jedną ze ścian piwnicy, na przestrzeni jednego do trzech metrów kwadratowych, siedzi na ławeczce z zapartym oddechem dwadzieścia kilka przerażonych osób, które w całkowitej ciemności, z bijącym sercem i szumem w głowie czekają, czekają nieskończoną ilość minut, godzin, często dni na spokój, nie wiedząc, kiedy można będzie wyjść.

Zdarzyło mi się siedzieć w tym schronie. Po czterech godzinach byłam bliska szału.

— Mamusiu, jakaś ty wymagalna, doprawdy, źle ci w takim wspaniałym schronie?

Szukujemy obiad.

— Jaki przyjemny zapach, na pewno coś doskonałego będziemy jeść.

— Jak u „Simona i Steckiego” — żartuje papa. — Jestem głodny — przyznaje się.

Urządzimy sobie prawdziwą ucztę: kartofle, kasza. Kartofle na gorąco, co za specjał!

Nagle: co to?

Blokada! Schodzić na podwórze!

Wyglądam przez okno. Niemcy, Litwini, milicja żydowska, rozbiegają się po domu, ściągają ludzi, już pukają do drzwi frontowych, za chwilę wyważą je.

Uciekajmy! Skryć się w mieszkaniu nie ma gdzie. Wybiegamy na schody kuchenne. Może dostaniemy się do schronu. Boże! Czemuż ich namówiłam na ten nieszczęsny obiad.

Na parterze łapie mnie dwóch milicjantów.

— Idźcie do schronu! — krzyknęłam rodzicom — błagam was, idźcie beze mnie!

Łapię milicjantów za ręce, nie wiem, skąd we mnie wzięła się taka siła, ciągnę ich obu z klatki schodowej na podwórze, zamykam przy tym drzwi, tak żeby nie dostrzegli schodzących do piwnicy.

Obaj są zaskoczeni.

— Co pani robi?

— Idę z wami, idę przecież! — krzyczę.

— No tak, a tamci? — pytają mnie.

— Nie wiem, nie wiem, dajcie spokój!

Przechodzą Niemcy. Jeden z nich, młody chłopak, zbliża się do mnie i bije mnie gumową pałką po głowie, plecach, karku. Nie boli mnie. Czy to możliwe, czy Bóg daje taką siłę człowiekowi, że nie czuje fizycznego bólu? Milicjanci odsuwają się ode mnie i zdjęci litością, przestają się interesować moimi rodzicami.

Ustawiają nas przed domem, po dziesięć osób w rzędzie.

Coraz to nowych ludzi wyciągają z ukrycia, bijąc ich. Ach, jak oni biją! Szcują psami, strzelają... Krzyk, jęk, wynieśli chorą kobietę. „Nie mogę chodzić” — żali się. „Zabij” — rozkazuje Litwinowi Niemiec. Po chwili huk. Kobieta leży martwa przed bramą.

Boże, żebyśmy już poszli stąd, żeby rodziców nie znaleźli, czy psy mogą ich tam wytropić?

Znów kogoś wyciągają z domu, wydaje mi się, że słyszę krzyk mojej matki... Nie, to nie ona, inną prowadzą.

Nareszcie ruszamy. Idziemy, okrążeni przez Niemców, Litwinów, naszą milicję.

Pilnują nas, trzymając broń w pogotowiu. Idziemy skazani na śmierć, za co? Za to, że ktoś zwiariował, że kogoś opętało szaleństwo. Jak dziwnie jest kroczyć za własnym pogrzebem.

— Zimno pani? — pyta mnie ktoś.

— Będzie jej niedługo ciepło w gazówce — żartuje inny.

— Czy będą nas legitymować?

— Legitymować? Chyba na drugim świecie. Po co? Czy kandyduje pan do piekła czy do nieba?

— Część ludzi chyba zwolnią...

— Tak, zwolnią na dzień, dwa, może lepiej, żeby już raz był koniec, po co się tak męczyć?

Prowadzą nas przez Zamenhofa do Gęsiej. Ze wszystkich domów przybywają ludzie, na Gęsiej dołączają do nas wszystkich złapanych, oglądam się, ależ to pochód złożony z kilku tysięcy ludzi.

Na rikszy zajechał nasz rodzimy oprawca Szeryński, a otóż i jego adiutant Lejkin i inni „dostojnicy”. Pilnują porządku. To nasz „rząd” — prawa ręka Branda, wielkiego komendanta likwidacji getta warszawskiego, który potrafi sprawnie zorganizować wywózkę na śmierć kilkuset tysięcy ludzi. To nie byle co! Dostanie medal za zasługi. A może i naszemu Szeryńskiemu dostanie się jakieś odznaczenie, kto wie? Może podarują mu życie?

Zajeżdża auto Branda, oho! Cóż to dzisiaj za święto! Łapanka na większą skalę.

— Porządek! — krzyczy Szeryński. — Pokażcie, że umiecie równo maszerować, trzymać rzędy!

Dziwne wymagania. Może powinniśmy śpiewać? Z piosenką na ustach na śmierć! Gdyby tak można było nas zorganizować, wtedy Brand dostałby dwa medale, a Szeryński życie i odznaczenie. Z jakiegoś auta wynoszą aparaty fotograficzne. Będą nas fotografować.

Uwaga! Przyjemny wyraz twarzy. Potem nasze zdjęcia umieszczą w gazecie, a pod nimi napis: „Tak wyglądała nienadająca się do niczego, a szkodliwa masa żydowska, zjadająca po 10 dkg chleba dziennie na osobę i ¼ kg powideł buraczano-brukwiowych na miesiąc”. A pod spodem umieszczą zdjęcie składu mydła albo użyźnionego pola i napis: „Oto masa owa po przetworzeniu: mydło pełnotłuste, nie erzac, doskonały nawóz”. Jak nas pożytecznie można przerobić! Szkoda tylko, że nie nadajemy się na benzynę.

Teraz Brand wysiada z auta i daje znak, kierujemy się na Umschlagplatz.

Z jakiegoś domu wybiega mała dziewczynka. Skandal! Jak „opracowano” kamienicę, jeżeli zostawiono małe dziecko!

— Brać! — krzyczy Brand a jego wylupiaste oczy rzucają błyskawice.

Podbiega Żyd milicjant i z dzieckiem na ręku przechodzi obok Branda. Chłopczyk na widok błyszczących orderów na piersi Niemca, wyciąga rączki. Stoją tak przy sobie, twarz w twarz, Brand-kat i dziecko z rozwartymi ramionami i uśmiechniętą twarzą.

Na jedną sekundę oczy Branda i dziecka spotykają się, twarz Niemca zmienia się, łagodnieje. Czy dzikie bestie miewają przejawy ludzkości? Nie, zdawało mi się. Wielki likwidator nie zmienił wyrazu twarzy, skinął ręką — szybciej do szeregu.

Chłopczyk, jakby w przeczuciu śmierci, rozplakał się, płacze głośno, rozpaczliwie. Chłopczyku! Idziesz na zagładę, jeszcze dziś na Umschlagplatzu zastrzelą cię albo wielki zbój, „specjalista od dzieci”, podniesie cię w górę, aby z siłą rzucić o asfalt, upadniesz martwy, a z główki wytryśnie ci mózg.

Tak, dziecko, nie zadadzą sobie trudu, aby zawieźć cię do gazowni. Idziemy. Szloch, jęki. „Zostawiłam moje dzieci, gdzie mój mąż, moja żona! Już swoich nigdy nie zobaczę!”.

A ja nie płaczę, czy możliwe, czy to już koniec?

Nie oczekuję żadnej pomocy. W szeregach szeptają<sup>9</sup>, że idziemy prosto do pociągów, żadnej segregacji nie będzie.

Jureczku! Kiedy przyjdiesz do domu, będę już daleko, daleko. Czy chciałabym, aby Jurek był ze mną, ach nie, nie, lepiej umierać ze świadomością, że moi najdrożsi żyją.

Jakaś młoda, ładna dziewczyna obok mnie płacze. „Tak chcę żyć, tak chcę żyć! Strasznie pomyśleć, że umrę i nic po mnie nie zostanie”.

<sup>9</sup>szeptają — dziś popr.: szepczą. [przypis edytorski]

Nie płacz, ładna panienko, zrobią z ciebie różowe pachnące mydełko, albo w miejscu, gdzie tobą użyżnią ziemię, wyrosnie różyczka, nic przecież w oszczędnym narodzie niemieckim nie ginie.

Maszerujemy, ach, żeby tak oprzeć się, nie iść — zbuntować się. Jest nas dużo, ale czym bić się, jak oprzeć się im?

Oni mają broń, oni są silni, a my słabi, głodni, wymęczeni strasznymi przejściami. Jak bronić się? Rzucić się na nich z pięściami — pewna śmierć, a tam, tam, może będzie segregacja, może jeszcze tym razem zwolnią?

Wchodzimy na Umschlagplatz. Jest to plac, z którego odchodzą pociągi w zaświaty, pierwszy i jedyny taki plac na całym świecie.

Stoimy w szeregach. Dzieci, chorych i starców przeważnie od razu zabijają.

Niemcy są humanitarni, dla starych mają wyrozumienie, po co ich męczyć podróżą?

Z okna jednego z domów, wychodzących na Umschlag, żołnierze wyrzucają ludzi, jakąś kobietę z dzieckiem na rękę, a teraz młodego mężczyznę. Niech się chłopcy bawią, jeżeli im to sprawia przyjemność, czemu im bronić?

— Co za głupota — jęknął blisko mnie stojący Niemiec. — Wyrzucili przez okna Żyda w butach, trzeba było mu je wpierw zdjąć, z trupa będzie trudniej.

Deszcz zaczyna padać, brrr, zimno, zachoruję — jak to człowiekowi zdaje się, że zawsze będzie żyć. Jeżeli nawet przeziębę się, to już nie będę chorować.

Jest późno — czemu tak stoimy?

Szmer. Ostatnie grupy poszły do wagonów, załadowane pociągi odeszły.

Oddychamy z ulgą. Noc życia, a jutro rano przyjdą drugie pociągi, puste — po nowy towar.

Ktoś przejeżdża kilka razy na rowerze obok naszej grupy.

— Jurek! Skąd ty tu?

— Po prostu dowiedziałem się — szepcze — że była blokada u twoich rodziców, pojechałem dowiedzieć się co u nich i od nich dowiedziałem się o tobie. Wybłągałem od Hoffmanna przepustkę, przyjechałem tu i dowiaduję się, że cały prawie transport odesłany, pozostała tylko mała grupa, która się już nie mogła zmieścić w wagonie. Straciłem już nadzieję. A ty tu!

Podchodzą Niemcy.

— Odejdź, Jurek!

— Nie bój się — krzyczy z daleka — jeżeli cię wezmą, pojedę z tobą.

— Nie, nie, nie! — wołam za nim.

Zapada noc. Jurek dostarcza mi bochenek chleba i butelkę wody. Dzielę się z najbliższymi stojącymi towarzyszami niedoli.

Rozlega się śpiew, dziwna melodia!

Patrzę i oczom swoim nie wierzę: Żydzi wyjmują tałesy, (z którymi się nie rozłączają) i tak w białych szatach modlą się, pochylają skatowane plecy, wyciągają błagalnie ręce.

Dzisiaj jest Sądny Dzień<sup>10</sup>.

Czy może być coś bardziej makabrycznego? Ciemno, deszcz, jęki, białe postacie, chóralna modlitwa, śpiew przy akompaniamencie strzałów, Jehowo, popatrz na swe dzieci, wołamy cię! Czy widzisz nasze męki? Ty wielki, potężny Boże! Wywiodłeś nas z ziemi faraonów, na których rzuciłeś klątwę, pomściłeś nas dziesięcioma plagami, żywiłeś nas manną. Ty, Ty Wszchemocny, dokonaj i teraz cudu, oswobodź nas, ukarż naszych tyranów!

Nagle, co to? Warkot aeroplanów, jasność rakiety samolotowej, huk bomb! Nalot!

Rosyjskie samoloty bombardują Warszawę, pierwszy u nas nalot sowiecki<sup>11</sup>!

<sup>10</sup>Sądny Dzień (z hebr. *Jom Kipur*: Dzień Pojednania, Dzień Pokuty; z jid. *Jonkiper*) — jedno z najważniejszych religijnych świąt żydowskich, w kalendarzu żydowskim nazywany Sobotą Sobót i Szabatem Szabatów, przypadające na dziesiąty dzień miesiąca tiszri (wrzesień-październik). W trakcie Jom Kippur dokonuje się ostateczne rozliczenie win, za które pokutowało się przez ostatnie 10 dni od Rosz ha-Szana, oraz ich wybaczenie. W czasie święta należy zachować post ścisły (to jedyny nakazany przez Torę post). [przypis edytorski]

<sup>11</sup>Rosyjskie samoloty bombardują Warszawę, pierwszy u nas nalot sowiecki — pierwszy nalot sowiecki na okupowaną Warszawę miał miejsce 23 czerwca 1941 r., w drugim dniu niemieckiej inwazji na ZSRR, ponownie 24 i 25 czerwca (skutecznie zniszczono jedynie stanowiska niemieckiej artylerii przeciwlotniczej na torze wyścigów konnych na Służewcu). Następne naloty zostały przeprowadzone: 13 listopada 1941 (na węzeł kolejowy w okolicach ul. Towarowej); w nocy z 20 na 21 sierpnia, w nocy z 1 na 2 września i 13 września 1942 r.; wówczas

Ach, żeby bomba trafiła w ten przeklęty Umschlag!  
Niemcy bohatercko powłazili w dziury, ale na straży postawili Litwinów, którzy strzelają bez przerwy z obawy, by ktoś nie uciekł.

Modlitwa nie ustaje, przeciwnie, błagania wzmogły się, ręce wyciągają się coraz wyżej, a plecy pochylają się nisko, nisko. Może to objawienie boskie, może to znak, że o nas nie zapomniano, że sprawiedliwość upomni się o swoje prawa, że my, opuszczeni i słabi, zamknięci w klatce, nie jesteśmy sami i chociaż zginiemy, zginiemy z myślą, że zostaniemy pomszczeni. Błogosławiony nalot!

Świta. Po nocy czuję się chora. Ucho spuchło mi jak bania. Męka oczekiwania na śmierć. W wyobraźni widzę, siebie duszącą się w komorze, widzę się w przedśmiertnych drgawkach, brrr... Żeby tylko Jurek ze mną nie pojechał. Na placu zjawiał się diabeł: Schmerling — gospodarz Umschlagu.

— Będzie segregacja — oświadcza.

Ustawiają nas dwójkami, a potem pojedynczo.

Wyjmujemy dokumenty. Młody jeszcze Niemiec o twarzy buldoga sprawdza je. Sprawdza? Ledwie okiem rzuci, popatrzy tylko na ofiarę. Według swego widzimisię. Na lewo — śmierć, na prawo — życie.

Podchodzimy kolejno.

Od niego wszystko zależy, jeszcze chwila. Jak głośno bije serce, z daleka patrzy na mnie Jurek, jaki on blady.

Chcę się do niego uśmiechnąć, ale tylko krzywię się. Zagryzam usta do krwi, żeby się nie rozplakać. Już moja kolej. Podaję przyszykowane papiery. Twarz buldoga. Oczy świni mierzą mnie od stóp do głów. „Wolna”. Przechodzę na prawą stronę. Czekam jeszcze na innych „wolnych”, aby grupą wrócić do getta.

Za bramą łączę się z Jurkiem. Całujemy się.

— Jesteś cudem ocalona.

— Ocalona? Nie, dostałam tylko małe odroczenie, a wyrok śmierci noszę w kieszeni.

## JOASIA

Dostałam teraz w spadku dziecko — małą Joasię, córeczkę kuzyna, który jest w Rosji, a żona jego zginęła w „kotle”. Joasia została ze znajomymi w kryjówce i ocalała. Dziewczynka ma osiem lat i rozum starego człowieka. Czujna na najmniejszy szelest, momentalnie gotowa jest do ukrycia się w schronie. Biegając, ciągnie mnie za rękę: „blokada, chodź”.

Nasz schron to zamaskowane wgłębienie w ścianie, które przypadkiem znaleźliśmy w mieszkaniu. Byli lokatorzy przebudowali go, ale długo się nim widocznie nie cieszyli, albo wysiedlono ich, szykując dom na mieszkanie dla Hofmana<sup>12</sup>, albo wzięli ich na Umschlag.

Mieszkanie ze schronem ma kolosalną wartość.

Pewnego dnia, kiedy siedzimy w schronie przytulone do siebie, a ja myślę o Jurku, który jest na dole, Joasia wyrwa mi się.

— Zostawiłaś — szepcze — garnek na ogniu, jak przyjdą, od razu zrozumieją, że tu ktoś był i będą bardziej szukać.

— Zostań — mówię — trudno.

— Nie, nie, zostań, ja pójdę! — woła Joasia — ty musisz zostać, ty masz Jurka, zresztą, ja jestem mała, prędej wyskoczę i wskoczę — wyrwała mi się z rąk i wyszła ze schowka, aby po długiej jak wieczność chwili wrócić.

Słyszemy teraz jak wchodzi do mieszkania, ciężkie przesuwanie mebli. Zadrzała ścianka naszej norki, staramy się nie oddychać. Dostaję mdłości, zatykam usta, Joasia cichutko

zbombardowano m.in. tory i tabor kolejowy przy Dworcu Wileńskim na Pradze, niemieckie garaże wojskowe na tyłach Sejmu i most średnicowy; wiele bomb spadło na tereny getta warszawskiego; gdzie dobiegała właśnie końca wielka deportacja ludności żydowskiej do obozu zagłady w Treblince. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Hofman, Wilfried — także: Hoffmann; właściciel tzw. szopu (przedsiębiorstwa) na terenie getta, na ul. Nowolipki, niemal naprzeciwko kościoła św. Augustyna; miał dobrą opinię, starał się nie dopuścić do likwidacji szopu, a dowiedziawszy się o zbliżającej się tzw. blokadzie, kazał swoim pracownikom schować dzieci i rozejść się; Niemcy, zastawszy niemal pusty szop Hoffmana, otoczyli sąsiedni szop Toebbensa i zabrali z niego pracujących przy maszynach krawców. [przypis edytorski]



kładzie się swoim ciałkiem na moją głowę. Słyszymy strzały. Strzelają w naszym pokoju. Każdy strzał, zdawałoby się, trafia w głowę. Teraz ciszej, a potem rozmowa. Niemcy prawdopodobnie wybrali nasz pokój, aby dzielić się tu swym łupem. Słyszymy brzęk monet na stole i targi o pieniądzu. Ktoś oparł się o naszą ściankę. Ugięła się lekko. Koniec. Małe rączki Joasi zaciskają się na czole.

A potem słyszymy szurania butami. Żołnierze wychodzą. Drzwi trzasnęły. Siedzimy cicho — jedni poszli, ale drudzy mogą przyjść.

Po pewnym czasie znów kroki, ktoś biegnie:

— Ema! — Głos Jurka.

Otwieramy kryjówkę.

— Moja, moja mała! Dopiero co przyjechałem. Już po blokadzie. Znów połowę zabrali — mówili mi, że tu u was strzelano, zanim was znalazłem, myślałem, że oszaleję. Ta skrytka jest taka marna.

Wieczorem Jurek przynosi zawsze coś do jedzenia. Wypakowuję mały chlebek, kapustę, kilka pomidorów, kalafior, chleb i jajko, prawdziwe kurze jajko. Zaraz zrobimy ogień z porąbanych mebli. Kapustę jemy trzy razy dziennie, bo to można dostać, więc gotujemy ją z solą z dodatkiem sacharyny.

Na deser dostajemy po kawałeczku chleba z pomidorem.

— Kalafior, to podarunek od „żółwia” dla ciebie — mówi Jurek. — On też pracuje w aprowizacji, dostali kalafior.

Gotuję kapustę, myśląc, co można z niej jeszcze wykombinować. Żeby był tłuszcz, miałyby inny smak. Ale cóż — mam w swoim gospodarstwie wodę, sól, kapustę i sacharynę i nic innego zrobić nie mogę. Po dawnych lokatorach zostało w słoiku nieco kakao. Dzielę kakao na pół, połowa dla rodziców, a połowa dla nas. Tego wieczora mamy bal: kapusta, kalafior i kartofle.

— Gdybym nie wiedziała, że to kalafior — mówi Joasia — to bym nigdy nie pomyślała...

— Żeby tego było więcej — dodaje Jurek — ale jeszcze nie poczułem smaku, a tu już talerz pusty. Żartuje — a mnie serce kraje się w kawałki.

Chłopak cały dzień na wozie, ugania się, a wieczorem nie ma co jeść. Jak on wychudł, zmarniał, nie ten sam człowiek.

Gotuję kakao na wodzie z sacharyną i podaję deser. Jaka pyszna czekolada! Postanwiam ugotować mój ostatni zapas: pół pudełka sago<sup>13</sup>. Jurek kiedyś przyniósł. Połowę dałam ojcu. Gotuję sago i niespodziewanie zanoszę im. Ach, jak się cieszą! Wylewam na sewskie talerze, ale starczy tylko dla dwóch osób.

— A dla ciebie? — pyta Jurek.

— Ach, ja już jadłam tam, w kuchni — kłamię.

— Na pewno?

— Na pewno.

— To nic, jedz z nami!

— Nie, nie — wołam — ja się na to sago już patrzeć nie mogę! — uciekłam do kuchni. Poczulałam taki straszny, okropny głód, tak bardzo chciałam zjeść sago, poczuć w ustach coś, co nie przypomina kartofli, co nie ma nic wspólnego z kapustą i sacharyną. Musiałam uciec od widoku talerza z dymiącą, białą potrawą.

Znów mdli mnie. Wchodzi Jurek.

— Niedobrze ci? Nudzi cię, coś zjadłaś?

— Co zjadłam? Cóż mogłam zjeść, co my mamy do jedzenia?

I nagle roześmieliśmy się oboje straszny śmiechem.

Joasia sprząta sewską porcelanę i teraz rozlewamy w japońskie filiżanki kakao z sacharyną. Japońskie damy na porcelanie wysoko podnoszą brewki — do takiego napoju jak ten jeszcze nie przywykły.

— Bal! — cieszy się Joasia. — Ile u nas było dań! — liczy na paluszkach.

<sup>13</sup>sago — rodzaj mączki (skrobi) wyrabianej z wnętrza palmy sagowej lub niektórych sagowców; używa się jej do pieczenia podplomyków albo spożywa w postaci gęstej zawiesiny po zmieszaniu z wodą, a także jako dodatek do zup; sago jest bardzo lekkostrawne, zawiera dużo węglowodanów, białko, witaminy i minerały, jest zalecane osobom z problemami żołądkowymi. [przypis edytorski]

Pewnego rana Joasia znajduje u siebie w kieszonce sukienki dwa cukierki. Biegnie do mnie uradowana.

— Skąd to masz, Joasiu?

— To na pewno Jurek, widziałam przez sen, jak coś majstrował przy krzeselku, na którym leżała sukienka!

Każdego wieczoru czekamy obie z niecierpliwością na Jurka.

Nie wiem nigdy, kiedy i czy w ogóle wróci z miasta. Joasia na najmniejszy szelest wybiega na schody, a kiedy Jurek się spóźnia, siada mi na kolana, całuje i głaszcze po głowie.

— Nic martw się, zaraz przyjdzie, jeszcze pięć minut, jeszcze dziesięć.

Wreszcie kroki. Prędko wpada do mieszkania.

— Nareszcie, cały dzień szaleję z niepokoju, czy się co u was nie stało, czy jesteście żywe.

Joasia kręci się wokół niego.

— Dziękuję, Jureczku, za cukierki.

— Jakie znów cukierki?

Jurek myje ręce, a Joasia trzyma ręcznik w pogotowiu.

— Ach, nie udawaj, widziałam jak je kładłeś.

— No dobrze.

— Czekałam z nimi do wieczora, podzielimy się.

— Nie, Joasiu, to dla ciebie, zresztą, jeżeli chcesz się podzielić, to daj jeden Emie.

— Nie, nie, dla nas wszystkich.

Po kapuścianej kolacji przychodzą sąsiedzi. Rozmawiamy, skarżymy się, radzimy.

— Idź spać, Joasiu — proszę.

— Nie, nie, jeszcze trochę.

W końcu zostajemy sami i teraz w pięknej kryształowej bombonierce przynosi nam Joasia dwa cukierki, równo, sumiennie podzielone na trzy części.

— Joasiu — bronimy się — zjedz sama.

— Nie, nie, to ja was częstuję — prosi ze łzami w aksamitnych oczach — to moje przyjęcie, ja was częstuję.

O, biedna Joasia, ostatnie jej przyjęcie.

O szarej godzinie, kiedy czekamy na Jurka, Joasia przytulona do mnie zwierza mi się:

— Ja myślę, że mamusia już nic nie czuje, bo zabici nic nie czują.

— Dlaczego tak mówisz, Joasiu, może mamusia żyje.

— Nie, przecież sama wiesz, że nie. Ja dawniej myślałam, że jest drugi świat, a teraz wiem, że tam nic nie ma. Bo gorzej niż tu być nie może, więc każdy by chciał umrzeć, żeby zmienić sobie jakoś życie, a jeżeli wie, że tam nic nie ma, to strasznie pomyśleć, że wszystko się kończy.

— Joasiu, kochana, nie myśl o tym, zobaczysz, wojna skończy się, tatuś przyjedzie.

Ale Joasia kiwa główką.

— Nie, ja nie doczekam tego. Będzie ze mną tak, jak ze wszystkimi naszymi dziećmi...

Joasia ma silną gorączkę — majaczy. O piętro niżej mieszka lekarz — schodzę do niego. Zastaję go czytającego na głos *Sen nocy letniej* Szekspira. Żona słucha.

Ręka trzymająca książkę, drży. Żona ma twarz bladą, jakby skamieniałą. Zabrano mu dziś ostatniego brata, jej dziś zabito matkę.

Proszę, aby zaszedł do Joasi, a wychodząc, myślę — właściwie nic takiego nie myślę — gdybym zastała ich gimnastykujących się albo tańczących, albo śpiewających, też bym się nie dziwiła. Czytają wiersze. Nic dziwnego, bo jak właściwie człowiek powinien reagować na taką mękę, na tygodnie, miesiące najstraszniejszego czekania na śmierć swoją i swoich najbliższych, jak powinien reagować na to, że dzień po dniu — wyrrywają mu serce kawałami, jak wypijają mu krew. Żaden płacz, żaden krzyk nie może być wyrazem tych cierpień. Przeciwnie. Płacz razi u człowieka tak cierpiącego. Wydaje się, że jeżeli ktoś może jeszcze płaczem wyrazić cierpienie, to znaczy, że ból jego jest do wytrzymania — wypowiedzenia.

Mijają dwa dni, a Jurek nie przynosi mi żadnego listu od rodziców. Wobec tego, że nie mogę mu nigdy wierzyć, czy był u rodziców i czy ich zastał żywych, więc za każdym razem przynosi od nich karteczkę. Teraz kręci.

— Późno było, nie mieli czym pisać w schronie, przysięgam ci, że żyją.

Ale ja mu nie wierzę.

W końcu Jurek złości się.

— Już sił nie mam, czego chcesz, widzisz, że ledwo żyję. Po całym dniu jeszcze leć do twoich rodziców, do matki, leć w strzelaninę, a potem zanim już wrócę do domu, szaleję sto razy, czy ciebie zastanę!

Daje mu spokój, ale następnego dnia przed wieczorem, kiedy na mieście jest nieco spokojniej, postanawiam iść do rodziców. Muszę przekonać się, czy żyją.

— Joasiu, ty na wszelki wypadek idź do kryjówki, pewnie blokady nie będzie, ale lepiej być uważną.

Joasia tuli się do mnie.

— Nie chodź, mogą cię złapać. Na ulicy tak niebezpiecznie.

— Muszę, Joasiu, muszę...

— Tak — mówi mała — jeżeli ja mogłabym zobaczyć moją mamusię i mojego tatusia, to też bym poszła przez piekło...

Rozglądam się. Przechodzę placówki, lecę przez opustoszałe ulice. Co pewien czas, kiedy z daleka widzę Niemców, chowam się we wnękach bram, albo za róg domu. Strzelanina. Kula przeszła mi ponad głową, druga trafiła w okno. Szyba z loskotem spadła tuż obok.

Potem znów cicho i znów biegnę. Wreszcie jestem na miejscu. Schron pusty. Biegnę do mieszkania — cicho. Stukam pięściami — cicho — wtedy nieprzytomna, walę głową o drzwi i ryczę: — Mamo, mammo! — a oto szelest — ktoś otwiera drzwi zamknięte na sztabę. We drzwiach ojciec, a za nim matka. Moi, moi, moi!

— Zaryglowaliśmy, dopiero co przyszliśmy ze schronu, wolimy, żeby front był zamknięty, uciekać lepiej kuchnią!

Ściskam ich bez końca.

— Ale pani ma głos! — żartują mieszkańcy. — Tak pani przeraźliwie krzyczała, żeśmy zamarli ze strachu.

Okazuje się, że Jurek nie skłamał, co dzień przyjeżdża wieczorem i zawsze coś przynosi do zjedzenia. Jaki on dobry, dobry.

Znów ciężka droga do domu. Nareszcie u mety — przed bramą czeka Jurek. Jestem przygotowana na jego wymówki, że wychodzę poza teren szopu, ale on nic nie mówi, obejmuje mnie i całuje.

— Byłam u rodziców.

Idziemy na schody. Czuję, jak ręka Jurka, którą mnie obejmuje, drży.

— Co się stało? — pytam. — Twoja matka, Zosia?

— Żyją — mówi Jurek.

— Więc co się stać mogło?

— Joasia...

Jurek nie odpowiada. Wyrrywam mu się i biegnę do mieszkania.

Schron otwarty. Na podłodze jeden mały bucik. Spadł z nóżki, gdy ją wyciągali. Tulę do siebie mały, przydeptany bucik. Joasiu, moja maleńka — jak się broniłaś, jak patrzyłaś na nich swoimi przerażonymi oczyma. Byłaś sama, zupełnie sama w tym ostatnim momencie.

Podchodzi Jurek.

— Przestań — prosi.

Podnoszę głowę i widzę, widzę jak płyną mu łzy po twarzy. Od czterech lat pierwszy raz widzę, jak płacze.

Jakie osierocone jest teraz nasze mieszkanie, jak puste bez Joasi. Teraz już sama czekam na Jurka wieczorami i każda minuta jest dla mnie wiekiem męki.

## ZOSIA

Zosia była małą dziewczynką, córką lekarza. Podczas „akcji” jeden z Niemców zwrócił uwagę na jej piękne czarne oczy — diamenty.

— Mogłbym mieć z nich dwa pierścionki, dla siebie i dla żony.

Kolega jego przytrzymał dziewczynkę.

Dziecko, Oko, Zbrodniarz,  
Niemiec, Żyd

— Zobaczmy czy ładne, a najlepiej obejrzyć je w ręku.

Wśród bractwa ogólna wesołość. Ktoś dowcipniejszy proponuje wyjąć dziewczynce oczy. Przerażliwy krzyk i gromki śmiech żołdactwa, krzyk przebija nam mózgi, przebija serca, a śmiech rani jak ostrze noża wbijane w ciało. Krzyk i śmiech potęgują się, lecą do niebios.

— Boże, kogo wpierw usłyszysz?

W następnej chwili zemdlone dziecko leży na ziemi, a zamiast oczu widnieją dwie krwawe rany. Oszalałą matkę kobiety trzymają za ręce.

Tym razem zostawiono Zosię matce.

Po dwóch tygodniach przypadkiem zetknęłam się z dziewczynką. Był spokojny dzień i mała leżała w łóżku. Oczy miała przewiązane chusteczką. Gładziła matkę po ręce i uspakajała ją.

— Nie płacz, mamusiu, może właśnie tak powinno było się stać. Lepiej przecież, że mi oczy zabrali, niżby mnie mieli zamordować. Będę po wojnie jeździć z miasta do miasta, z państwa do państwa i będę wszystkim opowiadać, jak nas Niemcy męczyli, aby każdy zrozumiał, jak trzeba mścić się na hitlerowcach, a kiedy zdejmę opaskę z oczu nikomu nie będzie żal niemieckich dzieci...

W którejś z następnych blokad zabrano Zosię. Niewidome dziewczynki trzeba też przecież unicestwiać.

Nie będziesz, maleńka, jeździć z miasta do miasta, od kraju do kraju i opowiadać o nasych bestialskich ciemnościach, nikt nie zobaczy twojej okrutnie okaleczonej twarzyczki. Przepadłaś. Nic po tobie nie zostało — oprócz wspomnienia.

Piszę o tobie, Zosiu. To wszystko.

\*

W jednej z blokad pięcioletni chłopak, zakwalifikowany wraz z matką i nieco starszą siostrą na wywózkę, pokazał Niemcowi-„kontrolerowi” — język. Mały, różowy języczek. W chwilę potem języczek został przez tegoż SS-mana odcięty małym, zwykłym kieszonkowym szczyrzykiem. Krew, jak gęsta śmietana, chlusnęła z ust chłopca. Wydawało się, że cała wypłynęła z jego drobnego ciała. Zalała go, zalała i matkę, klęczącą przy dziecku, biła jak fontanna. Czy nieszczęsny chłopiec wysunął język przez nieświadomość lub figiel? U nas nie tylko 5-letnie dzieci, ale nawet dwu- i trzyletnie, a właściwie każde dziecko, do którego świadomości dochodził smak jedzenia, ciepło i chłód, miało świadomy lęk przed Niemcami i ich okrucieństwem. Nasze dzieci rozumiały, że tak jak trzeba jeść i spać, tak samo trzeba kryć się przed Niemcami, że siedząc w ciemnym, dusznym schronie, nie wolno nie tylko płakać ani krzyczeć, ale trzeba nawet i oddychać cichutko; nasze dzieci umiały zwalczać głód, pragnienie i *umiały nienawidzić*. Nienawiść do wroga wysysały z mlekiem matki. 5-letni chłopczyk pokazał język *świadomie*. Był zbyt słaby, by rzucić się na wroga i w ten sposób chciał wyrazić swoją nienawiść i pogardę.

— Patrz, Niemcze! Żydowskie dziecko pokazuje ci język, gardząc twoim okrucieństwem i twoją siłą!

## DZIENNIK ALUSI

Przychodzi wujek, któremu zabrano żonę i jedyną córeczkę Alusię. Znalazł jej pamiętnik. Na pierwszej stronie niebieskiego zeszytiku dziecinne, starannie wykaligrafowane imię i nazwisko: Ala Cymerman, na drugiej: „Dziś była u nas blokada, wzięli bardzo dużo osób, a myśmy siedzieli w schronie pod podłogą. Było tak duszno, że mamusia zemdląca, a ja myślałam, że umarła i chciałam płakać, ale mi nie dali, bo mogłabym zdradzić wszystkich w kryjówce. To był atak sercowy”.

Odwracam kartki: „Jestem bardzo głodna, ale nikomu o tym nie mówię, bo rodzice sami nie mają co jeść, więc po co ich jeszcze gnębić. Już jest 5-ta wieczór, a jutro o 12-ej dostaniemy zupę z szopu, ile to jeszcze godzin? Trudno, noc jakoś się przetrzyma”.

Przewracam jeszcze kilka kartek: „Już nie ma Stefanka. Ja go tak kochałam, razem wychowaliśmy się. Wczoraj jeszcze był, aby pożegnać się z nami. Jego ojciec postanowił wysłać go na drugą stronę; mamusia zazdrościła im, że mają możliwość urządzić go

Dziecko, Bunt, Żyd,  
Niemiec

tak dobrze. Dziś rano ojciec przetransportował go przez umówioną „wachę” wraz z jeszcze kilkoma ludźmi. Jechali ciężarowym samochodem, przykryci sianem. Ale jakoś się wydało. Wystrzelali ich na maszynie i z powrotem zrzucili w getcie. Pan M., ojciec Stefanka, znalazł go na cmentarzysku przy murze. Leżał nieżywy, pokrwawiony. Mój drogi, kochany Stefanku! Już nie będziemy bawić się razem i marzyć o tym, że jeszcze wrócą dobre dni i że znów pojedziemy, jak dawniej na wieś, zobaczymy zieleni, drzewa, kwiaty, będziemy kąpać się w rzece. Ty już nigdy, nigdy tego nie zobaczysz, a może już teraz widzisz? Stefanku, gdzie ty teraz jesteś? Mam stryjka w Moskwie, on ma dwóch synów. Dobrze, że oni tak nie cierpią... (Ślady łez na kartce). Jeżeli zginiemy, to moi kuzynowie nas pomszczą”.

Ostatnia stronica: „Ja się tak boję o mamusię, o tatusia i o siebie, tak chcę żebyśmy żyli, żebyśmy jeszcze coś dobrego zaznali. Dlaczego nam tak źle, ja tak chcę żyć!”

Z małego zeszyciku, z niezdatnych literek pojawia się twarzyczka Alusi. Patrzą jasnoniebieskie jak błękit nieba oczy Alusi. Otwierają się jej usta w jednym słowie: dlaczego?

Alusiu, jesteś teraz ze Stefankiem.

Wujek Roman chowa starannie zeszycik do kieszeni.

— To mi zostało po moim dziecku.

Brat wujka Romana, a stryj Alusi, jest lekarzem. Mieszka w Moskwie. Wiem, że w 1936 roku dostał pozwolenie na odwiedzenie rodziny w Warszawie, wiem również, że ma dwóch synów.

Wujku Alusi! Pomścij! Pamiętaj o twojej zamordowanej rodzinie w Polsce, o twoich braciach, siostrze i ich dzieciach.

Alusiu! Pomszczą nas nie tylko twoi kuzynowie, ale pomszczą nas wszyscy ludzie dobrej woli, wszyscy ludzie, którzy raz chcą skończyć z podłością i okrucieństwem istot, które postradały zmysły, serce, sumienie i przestały być ludźmi.

## KOCIOŁ

W nocy budzą nas. Wstawać!

Co to może być? Zrywamy się. Sąsiedzi budzą się. Cóż to może być? Czy to ogólne wysiedlenie?

Wreszcie dostajemy jeden z plakatów, które o świcie będą rozklejone na murach. Wszyscy Żydzi mają opuścić mieszkania i udać się do bloku, obejmującego kilka ulic. Tam nastąpi ogólna segregacja. Kto nie zastosuje się do powyższego zarządzenia, temu grozi najniższa i najwyższa kara — kara śmierci.

Biegniemy do rodziców. Zastanawiamy się, dokąd pójść.

Może do Jurka matki, ona właśnie mieszka na terenie nowego „kotła”? Ale ojciec decyduje się nie wychodzić z domu.

— Tu mam schron, jesteśmy, Emciu, już niemłodzi, nie należymy do żadnego szopu<sup>14</sup>, nie mamy żadnych szans na przejście segregacji, nic nam nie pozostaje innego, jak tu czekać. Jeżeli to długo potrwa — nie przeżyjemy, jeżeli naszą ulicę przyłączą do aryjskiej dzielnicy, wyjdziemy i jakoś sobie poradzimy.

Zanoszę rodzicom część produktów, część — teściowej. Obie z Zosią są jak otumanione przebytych nieszczęściami i mało co rozumieją.

Idziemy nocą do matki Jurka.

„Jak by tu uciec?” — myślę.

Na niebie gwiazdy. Wy, tam, na drugich planetach, czy u was też panuje takie bestialstwo? Przestrzeń, nieśmiertelność, wszystkie teorie, filozofie, dobroć, prawo, mądrość —

Wojna, Cierpienie,  
Gwiazda, Kondycja ludzka,  
Historia

<sup>14</sup>szop (ang. *shop*) — zakład produkcyjny w getcie warszawskim podczas okupacji hitlerowskiej, organizacją przypominający wczesnokapitalistyczną manufakturę, w której Żydzi w prymitywnych warunkach, pracując 10–11 godzin dziennie za minimalną płacę i głodowe przydziały żywności, bici, pozbawiani dni wolnych produkowali odzież, obuwie, szcztotki, wyroby drewniane i kuśnierskie głównie na potrzeby armii niemieckiej. Właścicielami szopów byli Niemcy (m.in. W. Toebbens z Bremy, F. Schultz z Gdańska), Polacy (W. Leszczyński) i Żydzi (Weitz); część z nich osiągnęła wielkie fortuny, niekiedy byli ofiarami niemieckiego terroru. W 1942 r. w największych szopach zatrudniano po kilkanaście tysięcy osób. Robotnicy z szopów byli początkowo chronieni przed wywiezieniem do obozu zagłady, od 1942 r. przeprowadzano tzw. selekcje i także ich wywożono na śmierć; ostatecznie szopy zostały zlikwidowane w czasie powstania w getcie w 1943 roku. [przypis edytorski]

cóż za znaczenie macie dziś? Czemu nie uczono nas, że podłość i mord będą rządzić, czemu nie wychowano nas na zbrojów? Czemu uczono nas miłosierdzia? Oszukano nas. Świat zatrzęsł się w posiadach za dotknięciem jednej jedynej ręki Hitlera. Czy takie kruche były fundamenty? Czemu świat patrzy i nie może zaradzić? Kiedyś, później? A kto nam wynagrodzi naszą mękę, cierpienia, kto nam zwróci dzieci, ojców, naszych najdroższych? Czy potężna Ameryka, która ma miliony Niemców, nie może zareagować sankcjami wobec nich? Nie znam się na polityce, ale mam zwyczajny ludzki rozum i wiem, że nie wolno zabijać i nie wolno dopuszczać do zbrodni, i nie wolno patrzeć spokojnie na mordowanie niewinnych, i to wiem, że każdy ma tylko jedno życie, i że strach przed śmiercią jest czymś potwornym.

Uciec stąd — jak?

Na niebie gwiazdy. Mały Wóz i Wielki Wóz. Pokazują Jurkowi: żeby tak usiąść na nie i pojechać daleko?

Czy to sen, czy rzeczywistość? Miałam już takie straszne sny. Podczas tyfusu, podczas zapalenia opon mózgowych. Śniło mi się wówczas, że szukałam w nocy Jurka w lesie. Potykałam się o drzewa. Padam i nie mogę wstać, a muszę śpieszyć się. W końcu znajduję go, leży błądy, skrwawiony, chcę go podnieść, ale nie mam sił, taszczę go, jest taki ciężki, wtem odwracam głowę — Niemcy. Trzymają karabiny gotowe do wystrzału, padam, słyszę huk, jeden, drugi. Żyję, myślę, żyję jeszcze, potem zapadam się w otchłań. Koniec, nic. Gdzie to było — ach, kiedy dawali mi narkozę przed operacją. Zbudziłam się, nade mną pochylone twarze najdroższych. Jak to dobrze, że to było tylko majaczenie! Teraz, może i teraz też się przebudzę?...

Boże, uczyn, aby to był tylko sen!

Siedzimy wszyscy w małym pokoju; jest nas trzydzieści osób, ale coraz to przybierają nowi. Byle tylko mieć dach nad głową, aby nie leżeć na ulicy. Czekamy na kontrolę. Przeszło już kilka bloków. Coraz to nowe wiadomości. Dzieci i staruszków w ogóle nie przepuszczają, zabijają na miejscu. Wypuszczają zaledwie 10% osób. Każdy z „wolnych” otrzymuje numerkę „na życie”. Za okazaniem tego numerka może wyjść z „kotła”. Przychodzą szopy składające się z kilkudziesięciu tysięcy ludzi, a wychodzi grupka złożona zaledwie z kilkuset. Tracimy nadzieję. Zresztą nic nam nie pozostaje innego, jak czekać. Odrapany pokoiczek na Wołyńskiej, które to już z rzędu nasze mieszkanie? Tym razem może to już ostatnia nasza przystań życiowa. Ulica ma wygląd mrowiska, jesteśmy w klatce, z której prawie nikt nie wyjdzie. Bez przerwy trwa kanonada. Jurek idzie do matki, długo nie przychodzi. Czuję się taka samotna w tym mrowiu ludzkim, taka bezbronna. Każdy zajęty sobą, każdy myśli o sobie w godzinę śmierci.

Już ciemno, gdzieś się pali, czerwona luna na niebie. Jęki, krzyki. Mamo, ja chcę się obudzić!

„Jak dobrze — myślę — że rodzice są w schronie, że nie weszli do »kotła«, ale z drugiej strony, jeżeli to potrwa dłużej, umrą z głodu, z braku powietrza”.

Ktoś przynosi „pocieszającą wiadomość”: Niemcy po całej dzielnicy poza „kotłem” rozpuszcili ogromną ilość psów, które tropią ludzi w kryjówkach. Zbiry wyciągają ich i zabijają. Widzę już moich rodziców. Oczy rozszerzone w przedśmiertnym strachu, widzę ich najukochańsze twarze. Stężałe, blade... Boże! Szaleję!

Dzieci, które w dzień bawiły się, nie pojmując grozy sytuacji, teraz milkną i siedzą cichutko, przytulone do rodziców. Młoda kobieta usiadła z dzieckiem na kolanach przy samym oknie. Przyglądam się jej, ach, jaka piękna! Twarz posągu, przy świetle luny pożaru ma wygląd niezemski. Czarne, piękne oczy, krucze włosy, upięte w węzeł na karku. Madonna. To żona Hellera<sup>15</sup> z dzieckiem. Chłopczyk ma kilka miesięcy, przez cały dzień bawił się i gaworzył, teraz śpi. Ma tyle złota, może nawet więcej niż sam waży, ale za to nie ma prawa do życia. Kobieta wstaje, biorę od niej dziecko. Mały przytula się do mnie.

<sup>15</sup>Heller — imię nieznane; gestapowiec żydowski, współwłaściciel spółki handlowej „Kohn i Heller” działającej w 1941 r. Firma miała własne składy towarowe i koncesję na linię konnych omnibusów, które kursowały w getcie; dzięki kolaboracji z Niemcami właściciele nie tylko bogacili się sami, ale też za ogromne sumy pomagali zwalniać aresztowanych czy sprowadzać ludzi z getta łódzkiego oraz sprowadzać ukryty majątek przesiedleńcom z Łodzi (pobierając 40–50% jego wartości); dbali także o popularność, łożąc hojnie na biednych czy urządzając imprezy filantropijne. [przypis edytorski]

Sen, Cierpienie

Sąd, Sąd Ostateczny,  
Samotność

Dziecko, Matka, Śmierć,  
Miłosierdzie, Żyd, Niemiec,  
Zagłada, Wyrok

Mogłabym mieć też takiego synka. Jest ciepły, mięciutki, jak delikatną ma buzię, czemu nie dają ci żyć? Cóż złego zrobiłeś, czemu przyniosłeś z sobą na świat przekleństwo?

— Idź do Branda — mówi młody człowiek do matki chłopczyka. — Idź, powinnaś to zrobić, nic na tym nie stracisz. I tak, i tak czeka was śmierć, a może da ci numerka. Przecież znał twojego męża.

— Znał — odpowiada kobieta — i kazał go pierwszego zabić.

— Ale może ciebie ochroni, jeżeli zobaczy małego.

— Nie, nie chcę. Nic nie wiem, może mój mąż był sprzedawczykiem, a może nie był taki zły, jak mówią, nie wiem. Ja w każdym razie Branda o życie dla nas prosić nie będę, zginiemy ze wszystkimi.

— Zamęczą małego w twoich oczach.

Kobieta klęka przed dzieckiem.

— Mam dwanaście pastylek luminalu<sup>16</sup>, mało dla niego?

— Mam dziesięć — mówię.

— Da mi pani? — błaga kobieta.

Tej nocy trojgu dzieciom z naszego pokoju dają środki na wieczny sen, a jednej szczęśliwej trzyletniej dziewczynce ojciec-lekarz wstrzykuje natychmiast działające lekarstwo. Trzymam małego na rękach i na moich rękach tężeje i usypia.

Po nieprzespanej nocy następuje pochmurny ranek. Na świecie ranek przynosi życie, pracę, przynosi szczęście, a u nas cóż przynosi? Nową mękę, nowe konanie.

Dziecko męczy się jeszcze, dyszy, z ust cieknie piana. Mało luminalu. Zatykam uszy, żeby nic nie słyszeć, żeby już raz przestali strzelać, każdy strzał, to śmierć, każdy strzał to jeszcze jeden trup.

Młoda kobieta o włosach przyprószonych siwizną głośno płacze.

— Cicho! — wołają ludzie — co za płacze, szczęśliwa jeszcze ma łzy, jeszcze wszystkich nie wypłakała. My już płakać nie możemy.

— Ja nie mogę otruć mojego syna, nie mogę — zawodzi — może go bardziej Kocham od innych, a może jestem tchórzem, nie mogę!

— Jest jeszcze przecież druga możliwość — uspakaja ją mąż milicjant.

Tu niedaleko w „kotle” budują schron w piwnicy. Kończą go właśnie zamurowywać. Jest wprawdzie przepełniony, ale zgodzili się wziąć jeszcze jednego małego chłopca pod warunkiem, że jeżeli zapłacze, momentalnie zostanie zabity (trudno — jeżeli ma zdradzić wszystkich kryjących się!). Trzeba małego tam zaprowadzić, wpłacić część sumy, przypadającej na budowę skrytki. A co będzie dalej? Jeżeli nie będzie można wrócić do kotła po blokadach, kto schron odmuruje? Jak ludzie stamtąd wyjdą? Muszą, wchodząc do skrytki, przygotować się na to, że istnieje możliwość śmierci głodowej. A co będzie, jeżeli my zginiemy, a mały zostanie, kto będzie się nim opiekował? Więc co robić?

Czteroletni wróg Hitlera bawi się na balkonie. Teraz właśnie przechylił się przez poręcz.

— Ostrożnie, spadniesz! — woła matka i łapie go za rękaw.

W tej samej chwili rozlega się wystrzał. To żołnierz niemiecki wymierzył do małego. Nie podobało mu się widać, że żydowskie dziecko może spokojnie wyglądać na ulicę. Kula przeszła obok i matka przerażona całuje małego. Co za szczęście, co za cud! Czy rzeczywiście szczęście, cud? A może lepiej, żeby trafiła weń kulka albo żeby spadł z trzeciego piętra? Taka śmierć jest lżejsza, lepsza od rozdarcia nówek albo walenia głową o mur aż do wytryśnięcia mózgu.

— Nie mogę się zdecydować — płacze kobieta — co robić?

Wreszcie bierze syna na rękę i jak dorosłemu człowiekowi tłumaczy mu grozę sytuacji: zabiją mnie i ciebie.

— Dlaczego, mamo?

— Bo Hitler jest naszym wrogiem i bardzo dzieci nie lubi.

— Ale on mnie wcale nie zna — dziwi się malec.

— Słuchaj, dziecko, możemy oboje ocaleć, ale jeżeli mnie bardzo Kochasz i jeżeli chcesz, żeby mnie nie zabili, będziesz grzeczny, pójdiesz do piwnicy i będziesz cicho sie-

Łzy

Dziecko,  
Niebezpieczeństwo, Wojna

<sup>16</sup>luminal — środek o działaniu nasennym i uspokajającym, należący do grupy barbituranów, w 1912 r. wprowadzony pod tą nazwą handlową przez firmę farmaceutyczną Bayer. [przypis edytorski]

dział, a my przyjdziemy do ciebie. Nie wolno ci płakać, pamiętaj, bo gdybyś się rozpłakał, wtedy już nigdy nas nie zobaczysz. Dam ci torbę z jedzeniem. Jeżeli poczujesz głód, będziesz jadł. A jeżeli, synu, nie chcesz, to powiedz. Sam będziesz teraz decydował o swoim i naszym losie.

Rodzice patrzą nań, patrzymy i my wszyscy.

— Nie chcę — mówi dziecko — żeby ciebie, mamę, zabili na zawsze, a co mi dasz do jedzenia? Czy cukier?

— Dam ci cukier.

— No to pójdę do schronu, ale nie zapomnisz o cukrze? — W najgorszym piekle dziecko zostaje dzieckiem.

— Jestem głodny — mówi Jurek.

W woreczku mam chleb, kilka kostek cukru i sacharynę. Sacharyna wysypała się i oblepiła chleb. Bierzymy chleb do ust, ale nie możemy przełknąć, jest mdląco-słodko-gorzki. Dostaję nerwowych kurczów żołądkowych.

— Weź luminal.

— Nie mam. Oddałam go.

— Jak mogłaś, przecież wiesz o swoich atakach?

Leżę skurczona i wymiotuję ślinę.

W pokoju duszno, gwar, krzyk, płacz. Jurek przytrzymuje mi głowę.

— Powinienem iść dowiedzieć się, co na mieście.

— Ach, nie chodź — proszę.

— Muszę, Emciu, przecież trzeba się starać jakoś wyjść z tego piekła.

Wychodzi. Patrząc na niego zawsze mam takie uczucie, że więcej go nie zobaczę. Tym razem przychodzi dość szybko. Przynosi jakąś ciecz w rodzaju zupy, która ma tę jedyną zaletę, że jest ciepła.

Dziś nasz szop staje do kontroli. Idziemy na Umschlag. Dźwigam plecak na rękę, palto. Jurek swoje rzeczy cisnął po drodze do jakiejś dziury.

— Jeżeli będę żył, przyjdę po nie, przecież teraz nikt nie kradnie.

— Zabierz choć zimowe palto ze sobą.

— Nie nudź. Och, kobieto, jak możesz teraz myśleć o palcie zimowym, przecież do zimy daleko.

Mimo wszystko noszę swoje rzeczy. Jeżeli będziemy żyć, to przecież trzeba mieć koszulę na zmianę. Opowiadają, że wszystkie rzeczy z dzielnicy wywożą dniami i nocami. Jeśli wrócimy, już nic nie zastaniemy.

— Chętnie bym cię zbił — mruczy Jurek — mówisz jak głuptas.

— Wiem, że nas zabiją, ale jeżeli nie, to będziesz musiał mieć sweter i palto... To chyba już ostatnia blokada.

— Ostatnia, bo już będzie po nas?

— I to, i że to chyba generalne oczyszczenie. Małą grupę zachowają na pokaz. Tak, kto teraz przetrwa, już wygrał wojnę.

Umschlagplatz. Ustawiają nas opodal innego szopu. Przed wszystkim następuje szopowska segregacja. Właściciel Hofmann i jego pomocnicy rozdają sami numerki, wyłączają starych, dzieci i słabych oraz tych, do których mają specjalną awersję. Pieniądze grają niemałą rolę, nie pomagają tylko dzieciom i starcom.

Kiedy już stajemy do drugiej kontroli, na horyzoncie zjawia się pijany w sztok SS-man. Na głowie ma przekreśloną maleńką czapkę, do której filuternie przypiął sobie niebieski pomponik. Chwieje się na nogach.

Stanęliśmy po 5 osób w szeregu. Jurka ustawili za mną. SS-man stanął przed pierwszym rzędem, chwieje się na nogach i wpatruje się w kandydatów na śmierć. Zmącone oczy śmieją się, to znów rzucają gromy. Patrzy tak, jakby chciał zgadnąć, co o nim myślimy.

Spoglądają na ciebie wylęknione, zbolale oczy tysięcy, oczy straszne, zrozpaczone, jakaż w tobie siła, szatanie, że nie ulęknieś się tych oczu?

SS-man stanął bliźniutko rzędu i palcem macha ludziom przed oczyma. Młoda dziewczyna drgnęła, pchnął ją i uderzył pałką. Jeszcze będzie się z nami bawił. Po takiej zabawie w trzecim rzędzie czuję się kompletnie złamana, a do mnie jeszcze jest rzędów piętnaście.

Nadzieja, Zwycięstwo

Kat, Niemiec, Przemoc,  
Okrucieństwo, Władza,  
Wojna



Chcę wyć, ryczeć, uciec. Pilnujący nas Litwini patrzą na to jak na ciekawe przedstawienie. Wreszcie sąd nade mną. Nie mogę patrzeć. Czuję uderzenie w piersi, otwieram oczy, teraz razy spadają na mnie tak szybko, na twarz, ręce, ramiona, że nie mogę nawet krzyknąć. Czemu zamknęłam oczy — wrzeszczy SS-man. Rozumiem teraz, że śmierć nie jest jednakowa, rozumiem, że ludzie wolą się sami otruć albo marzą o rozstrzale.

— Zamknęłaś oczy, teraz ja ci je zamknę na zawsze!

— Nie trać przytomności — szepcze nade mną czyjś głos — nie trać...

Krew zalewa mi oczy, w ustach czuję słony smak. Nic nadzwyczajnego. Jedna z wielu katowanych, nie pierwsza i nie ostatnia. Nie podobało mu się, że zamknęłam oczy, u kogoś innego nie spodoba mu się nos, usta, nogi. Wszystko jedno, byle mieć przyjemność z katowania, byle widzieć krew żywą, czerwoną, widzieć, jak ciało drga w męce, jak twarz kurczy się z bólu, jak bezbronne ręce zasłaniają twarz.

W końcu odepchnięto mnie na bok. Tym razem jestem w grupie skazanych. Nie mogę ustać na nogach. Wszystko jedno, co będzie, muszę się położyć, ale już moi towarzysze niedoli stanęli tak blisko mnie, abym nie mogła upaść.

— Stój — słyszę ich szepty — jeżeli się położysz, momentalnie cię zastrzelą. Stój!

Stoję i stojąc mdleję. To tracę przytomność, to znów odzyskuję, duszę się krwią, to mi się przypomina bordo sukienka, którą miałam kilka lat temu i którą mi gwałtem wypychają do gardła. Potem wydaje mi się, że jestem nad morzem, że kąpię się, fala zalewa mnie, nagle robi mi się przyjemnie, ciepło, lekko. „Nie padaj” — szepcze mi ktoś do ucha i głos ten przesywa mnie całą. Boli mnie, jakby mi nóż wbito w głowę. Ach, co ci ludzie chcą ode mnie, co za różnica, kiedy mnie zabijają, jeżeli ma mi być tak przyjemnie i lekko, to lepiej teraz. A rodzice i Jurek? Czuję taką straszną, niewypowiedzianą tęsknotę za nimi. Jeszcze raz, choć jedyny raz zobaczyć ich.

Nie wiem jak długo staliśmy tak, wiem tylko, że ciemno było i krew zaskrzepła na mnie, a wiatr chłodził mi czoło.

Szop Hofmanna już odszedł.

— Pani mąż dostał numerki — informuje mnie ktoś z grupy.

Więc Jurek poszedł. Dobrze, że nie został, ale jednocześnie myślę: więc jestem sama. Jurek odszedł. Czy ja bym też poszła bez niego? Ale czy można wymagać od kogoś, aby szedł na śmierć dobrowolnie, czy nie przejmował nas grozą pogański zwyczaj spalania wraz ze zwłokami męża żywej żony?

Dwie osoby w białych fartuchach: to Jurek i jego kuzyn Lolek zbliżają się do naszej grupy. Meldują pilnującym nas Litwinom: jesteśmy ze szpitala, chcemy kilku chorych zabrać na opatrunki, po co macie mieć z nimi kłopot w wagonach.

— Słabych i tak wystrzelamy — broni się Litwin.

— Jak chcecie — mówi Lolek.

Przez chwilę serce we mnie zamiera. W końcu odchodzą, ale nie sami, idzie z nimi dwóch Litwinów. Czekam. Po kilku minutach Litwini wracają. Palki idą w ruch. Biją ludzi, gdzie popadnie. U jednego z nich widzę na ręku zegarek Jurka. Ten sam ciągnie mnie w ogólnym popłochu na koniec grupy, potem na początek. Jesteśmy tak gęsto otoczeni, że nie widzę żadnej możliwości wydostania się. W końcu pchnął mnie na ziemię i kopnął nogą. Potoczyłam się. Osłabiona, straciłam przytomność i ocknęłam się w jakiejś salce. Nade mną Lolek i Jurek.

— Wstań prędko, zmyj krew z twarzy, włóż biały fartuch i weź tę legitymację. Nazywasz się Shass Maria. Jak się nazywasz?

— Shass Maria, pielęgniarka.

— Nikt cię nie będzie pytał, ale na wszelki wypadek. Niedługo dzienny dyżur kończy się, wyjdiesz stąd. Bóg da, wyjdziemy z Umschlagu, a jutro trzeba się postarać wyjść z „kotła”.

Tegoż wieczoru wychodzę jako Maria Shass z Umschlagu, a w dwa dni później wszystkich lekarzy i cały personel lekarski wywożą ze szpitala. Znowu spotykamy się z małą grupką znajomych, dziwnym trafem pozostałych z naszego szopu. Jurek organizuje nas.

— Słuchajcie, w pojedynkę nikt nie wyjdzie. Zrobimy tak: ja pojedę do Hofmanna i poproszę go, aby dał nam coś w rodzaju wezwania.

Stoimy na ulicy. Jest nas kilkanaście osób. Zmęczeni siadamy na schodkach jakiegoś dawniejszego sklepu, kilku siada na własnych plecakach.

Małżeństwo, Śmierć,  
Samotność

- Jadę.  
— Jureczku, może ci się coś stać, przecież to bardzo niebezpiecznie.  
— Muszę cię ocalić!

Wyjmuje swój dokument, świadczący, że pracuje w szopie w dziale aprowizacji i ma prawo wyjeżdżać na pl. Przeladunkowy. Wszelkie dokumenty nie mają właściwie żadnego znaczenia, są zależne od widzimisię legitymującego Niemca.

Więc Jurek jedzie, a ja zostaję wśród czekającej na jego pomoc grupy; jestem strasznie głodna i z obrzydzeniem decyduję się na sacharynowy chleb. Minuty biegną wolno, tak długo go nie ma. Ależ minęło zaledwie pół godziny! Wcześniej niż za godzinę nie można go się spodziewać. Przecież Hofmann nie od razu zgodzi się na podpisanie dokumentu, cóż go obchodzi jakaś grupka Żydów? Tylu zginęło, jeszcze kilkunastu nie ma znaczenia.

Przypatruję się wylękłym ludziom. Przez opodal stojącą „wachę” przechodzą nieliczne już wylegitymowane grupy. Szczęśliwcy!

Wreszcie Jurek przyjeżdża zziązany.

— Jesteście! Całą drogę prześladowała mnie myśl, że wyciągają wszystkich takich jak wy, bezprawnych, z powrotem na Umschlag. Na naszej ulicy jeszcze nie byli.

Formujemy się w szeregi po cztery osoby, dwoje dzieci bierzemy między siebie, półroczną dziewczynkę matka usypia i pakuje w plecak, jeżeli ją znajdą, grozi nam wszystkim śmierć.

Spokój. Podchodzimy do „waczy”. Jurek podaje dokument, przy tym tłumaczy coś długo. W końcu SS-man machnął ręką. Wychodzimy. Wolność. Idziemy szybko. Udało się. Przecież ten świstek nie miał żadnego znaczenia. Ale oto dogania nas dwóch Litwinów i SS-man. Zawracają nas.

— Chcieliście mnie oszukać! — ryczy SS-mann. Jurek pokazuje pieczętą z orzełkiem pod podpisem Hofmanna.

— Ja waszego Hofmanna mam... — tu następuje szereg nieparlamentarnych wyzwisk. — Odejdźcie, bo będę strzelał!

Odchodzimy. Znów ten sam róg ulicy i te same schodki. Siadamy. Kobieta wyjmuje śpiącego dzieciaka z worka, co teraz robić?

— Jedź, Jurku, do Hofmanna, nie możesz się narazić na śmierć przeze mnie.

— Nie mów głupstw, zresztą nie wiem nawet, czy by mnie przepuścili. Raz się udało, ale to jeszcze nie dowód, że mogę sobie spacerować tam i z powrotem.

— Są jeszcze inne bramy — mówi ktoś — przez jedną nie udało się, pójdziemy przez drugą.

— Oficjalnie nie przejdziemy — mówi Jurek — trzeba obgadać z jakimś Litwinem. Znów formujemy grupę.

— Ach, żeby moja mała nie obudziła się — lamentuje kobieta z dzieckiem w worku.

Przed bramą na Gęsiej przy Lubeckiego stoją sami Litwini. Tam to kierujemy się. Stajemy w pewnej odległości. Jurek podchodzi sam. Litwini w każdej chwili mogą go zastrzelić. Drżę.

Litwini przez chwilę rozmawiają między sobą. Przeglądają dokument, z którego nie rozumieją ani słowa. Po kwadransie Jurek wraca.

— Ile mamy zegarków? Trzeba przygotować dla pięciu, a dla starszego trzy. Chcieli po dwa, utargowałem. Sprawa wygląda tak: oni nas przepuszczą, ale uprzedzili, że gdy nas w drodze do szopu przychwycą — kulka w łeb. „Wacha” nie przyzna się, że nas przepuszczają. No co? Decydujecie się!

— Naturalnie, że zgadzamy się, jeśli uda ci się nas przeprowadzić, będziesz bohaterem. Będziemy ci zawdzięczać życie.

— Nie gadajcie dużo, dawajcie szybciej zegarki.

Zdejmuję zegarek z ręki. Dostałam go w dzień matury, wskazywał mi wszystkie szczęśliwe minuty. Do widzenia, zegarku! Będzie cię nosić jakaś Litwinka albo Niemka. Nie wierzę w przesady ani w przekleństwa, ale teraz przyciskam zegarek do ust i szepczę: sprowadź nieszczęście na nowego właściciela, sprowadź nań szybką, straszną śmierć!

Zegarki zmieniają właścicieli.

— Może być taka sytuacja — mówi Jurek — że trzy kroki za „wachą” zaczną do nas strzelać, po nich można się wszystkiego spodziewać, tym bardziej, że już zegarki dostali.

Idziemy przez zupełnie opustoszałe dzielnice. Lubeckiego, Pawiak. Dom rodziców. Przed bramą nie widać żadnych trupów. Boże, czemuż nie mogę do nich pobiec. Szybciej, szybciej. Przechodzimy obok Pawiaku, tam są Niemcy. Żeby nas tylko nie usłyszeli! Wydaje nam się, że stukamy obcasami. Kobiety zdejmują pantofle. Jakieś dziecko rozplakało się, momentalnie zawiązuje mu się szal wokół ust. Dźwigam wypchany plecak, mój jedyny majątek. Nie mam sił i cała mokra od potu czuję, że za chwilę upadnę.

Boże, jak długo idziemy Karmelicką. Czy z daleka nie widać żołnierzy? Serca przestają bić, zamieramy na chwilę. Nadchodzą Niemcy. Iść, stanąć? Czy o kilka minut drogi od szopu mają nas zabić? Po cóż więc były te wszystkie wysiłki? Niemcy idą wprost na nas. Dochodzimy do Nowolipek i biegiem do szopu. Z daleka nas spostrzegli nasi. Otwierają wrota. Padamy za ogrodzeniem. Jeszcze raz ocaleni.

## WYJŚCIE Z GETTA

Po ciężkiej, nieprzespanej nocy świt. Szykuję się do przejścia na aryjską stronę. Kładę na siebie dwie zmiany bielizny, trzy sukienki, jedną na drugą, palto, żakietik na ramię — gotowa. Jurek prowadzi mnie do jednej z bram, przez które wychodzą grupy za mury. Oto i moja placówka. Grupa ludzi zbiera się w jednym punkcie. Za kilkaset złotych kierownik grupy zabiera za każdym razem niepracujących, którzy chcą przejść „granicę”. Żegnamy się. Jurek udziela mi ostatnich instrukcji: „nie trać głowy, od ciebie samej wiele zależy”.

Przy wyjściu rewidują nas. Wiemy dokładnie: za każdą znalezioną rzecz, którą się chce, w ich mniemaniu, wynieść na sprzedaż, biją, zatrzymują, aby potem odesłać na wywózkę. Każdy prawie „placówkarz” daje rewizorowi niemieckiemu srebrną monetę.

W końcu przechodzimy. Z daleka jeszcze widzę Jurka, jak stoi błądy. Chciałabym uciec, wrócić do niego. Boję się!

Warszawa śródmieście. Idę w szeregu. Dwa lata już tu nie byłam. Rozglądam się. Widzę spokojnych ludzi, tramwaje, auta, pojazdy, sklepy, handel, życie. Tylko mur nas dzieli, tylko kilkadziesiąt kroków, a tu życie, tam śmierć. Idziemy prosto Żelazną, podchodzimy do miejsca pracy. Przed bramą stoi kilku podejrzanych młodzieńców, którzy pilnie nam się przypatrują. To „szmalcownicy” już stoją na warcie — informują mnie „placówkarze”. Przez cały dzień pilnują, aby ktoś z „placówkarzy” nie wyszedł na miasto. Jeżeli odważy się, otaczają go momentalnie, aby od niego wydostać okup, a gdy zatrzymany przez nich nie ma dostatecznej sumy, prowadzą go na żandarmerię.

Co pewien czas prowadzą ofiary na śmierć, żeby uzyskać miano prawdziwych łapaczy Żydów. Nie zawsze poznają Żyda w wychodzącym, ale to się rzadko zdarza.

Placówka pracy — to fabryka walizek. Telefonuję do Aliny i innych znajomych, ale ludzie po prostu boją się ze mną rozmawiać, wyczuwam to. Może wrócić? Jak zdobyć dokumenty, jak sprzedać kamienie, u kogo zatrzymać się? Jest jeszcze kilka osób na placówce, które szykują się do wyjścia, są i tacy, którzy byli po aryjskiej stronie i wrócili.

Gdy przysłuchuję się ich opowiadaniom, dowiaduję się, że strona „wolności” naszej jest bardziej niebezpieczna, niż myślałam. Są tu ludzie, którzy przychodzą codziennie, czekając na znajomych, którzy mają przyjść po nich, odprowadzić do przygotowanego *locum*, dostarczyć im dokumentów, niektórzy wydali już na to ogromne pieniądze. Nie, myślę, ja sobie nie dam rady. Po kilku godzinach nieoczekiwanie kierownik placówki wywołuje moje imię.

— Przyszli po panią.

— Po mnie?

Sto par zazdrosnych oczu kieruje się na mnie: szczęśliwa!

W kancelarii na mój widok podnosi się jakiś nieznajomy mężczyzna lat czterdziestu.

— To pani jest panią Ema?

Naiwnie i szczerze opowiadam mu o wszystkim. W pewnej chwili widzę zdziwienie na jego twarzy. Okazuje się, że p. S. handluje biżuterią i p. Alina przysłała go tylko w celu obejrzenia moich kosztowności, nie uprzedzając go, kim jestem, i że w fabryce, w której się znajduję, pracują Żydzi.

Jestem rozczarowana.

— Może panią odprowadzić do jakiejś znajomej? — proponuje w końcu. — A co do dokumentów, dowiem się u jednego znajomego, który się tymi sprawami zajmuje.

Warszawa, Wojna, Zdrada,  
Handel

Jeżeli teraz z nimi nie wyjdę, wrócę dziś z powrotem do getta. Następne przejście będzie znów kosztowało. Zresztą, jeżeli osobiście ze znajomymi nie rozmówię się, to nic z tego nie wyjdzie.

Decyduję się iść do Gerty. W ostatecznym razie jutro przez tę samą placówkę mogę wejść do getta, jeżeli okaże się, że Gerta jest na wsi.

Wychodzimy. Przed bramą stoją „szmalcownicy”, ale jakoś szczęśliwie nas nie zatrzymują. Na ulicy chodzę jak pijana. Każdy przechodzący Niemiec przyprawia mnie o niesamowity strach. Przed mieszkaniem Gerty żegnamy się.

— Jutro przyjdę z odpowiedziami co do dokumentów, no i pani biżuterię mogę sprzedać.

Drzwi mieszkania Gerty otwiera mi starsza kobieta. Gerty nie ma w domu, ale ma niedługo wrócić. Zaczekam. Kobieta — domyślam się, że to sublokatorka — podaje mi w kuchni krzesło, sama krząta się, szykując obiad.

— A pani co, znajoma?

— Tak.

— Pani do nas nigdy nie przychodziła.

— Jestem z Zieleńca, ze wsi, gdzie pani Gerta była na letnisku.

— Aha...

Jak mnie Gerta przyjmie? Czy przestraszy się? Czy mnie w ogóle przyjmie? Jak to wszystko się ułoży? Siedzę jak na szpilkach. Twarz pali, ręce drżą. Więc już jestem po stronie aryjskiej i...

W końcu przychodzi Gerta. Słyszę jej głos.

— Przyjechała do pani jakaś panienska z Zieleńca — informuje ją stara.

Wstaję z krzesła.

— Dzień dobry, Gerto.

— Dzień dobry, kochanie! — Gerta całuje mnie bez zdziwienia, tak, jakby się ze mną wczoraj widziała.

— Jak to ładnie, że przyszłaś mnie odwiedzić. Dużo o was słyszałam!

Prowadzi mnie do pokoju.

— Benio żyje? — pyta.

— Nie wiem. Dziś, Gerto, przesłałam i...

— Cicho, cicho, nic nie mów. Umyj się, zjesz coś, bo pewnie jesteś głodna, połóżysz się spać, a jak odpoczniesz, to mi o wszystkim opowiesz, mamy przecież czas.

Kiedy już umyta i najedzona leżałam w łóżku, troskliwie otulona przez Gertę, pomyślałam, że rodzice i Jurek są tak daleko, daleko, prawie na drugim końcu świata i w chwili, kiedy ja tu spokojnie leżę, kto wie, co z nimi?...

Przychodzi Eryk ze szkoły. Nie widziałam go już dwa lata. Wyrósł, spoważniał, ma już osiem lat. Gerta bierze go na stronę i długo mu szepce coś na ucho. Mały poważnie kiwa głową. Potem podchodzi do mnie i całuje mnie.

— Powiedziałaś mu? — pytam.

— Bądź spokojna — mówi Gerta. — Na Eryku można polegać, jak na dorosłym człowieku.

Usnęłam. Gdy pod wieczór obudziłam się, w pierwszej chwili nie mogłam się zorientować, gdzie jestem, ale kiedy wzrok mój padł na Gertę, siedzącą przy stole nad jakąś ręczną robotą, przypomniałam sobie wszystko.

— Muszę zatelefonować do Jurka, Gerto.

Ubrałam się i zeszliśmy do apteki.

— Staraj się mówić tak, aby nikt nie rozumiał, że mówisz z gettem.

Zadzwoiłam do szopu Hoffnanna, prosząc znajomą pannę w biurze, aby oddała ukłony ode mnie i Gerty.

Ale okazuje się, że Jurek czeka na mój telefon. Słyszę przez mury, ulice, domy jego kochany głos.

— Jak to dobrze, że dzwonicz.

— Jaka jest u was pogoda?

— Tak, bez zmian.

— A ty?

— Ja z Gertą.

— Jak się czujesz?

— Dobrze, jutro wyjdę za sprawunkami.

Koniec. „Moja kochana, małeńka”. Cicho. Już jego głosu nie słyszę. Chciałabym pochwycić te dźwięki, które poprzez przestrzeń w eterze objawiły mi, że rozłąka nasza jest niemożliwością, że głos jego jest jedyny na świecie, że jego miłości i czułości nic nie zastąpi.

Więc naszą placówkę zatrzymano i odesłano na Umschlag. Boże, jak łatwo mogłam być z nimi!

Kiedy Gerta ułożyła Eryka spać, zaczęłam moją opowieść.

— Bena nie widziałam, ale wiem, że teściową zabrali. Myślę, że najlepiej jechać na Sławek do ciotki Ali, a tu u ciebie byłoby dobrze zatrzymać się, żeby wyrobić sobie dokumenty, sprzedać brylant. W wypadku zaś, gdyby Ala nas nie mogła przyjąć, co wtedy robić?

— Trzeba by wyszukać jakieś inne miejsce, ale to trudna sprawa. Gdybym nie miała sublokatorów, bez namysłu wzięłabym was, ale tak to niemożliwe.

— Jakich masz sublokatorów?

— Trzy kobiety i dziecko. Starą widziałas, dwie córki lekkiej konduity, jedna z dzieckiem, zajmują środkowy pokój, a trzecia panna — koleżanka, ostatni pokój. Mam dużo przykrości, ale w związku z moją niewyraźną sytuacją nie chcę z nimi zadzierać, tym bardziej, że pracują w lokalach jako fordanserki i mają do czynienia z Niemcami.

— Jak mogłas je wpuścić do mieszkania? — dziwię się.

— Gdy przyszły, myślałam, że to przyzwoite kobiety, nie zorientowałam się, a gdy wprowadziły się, było już za późno.

— A jak ty żyjesz, Gerto?

— Udzielam lekcji języka niemieckiego, sprzedaję nieco rzeczy i tak jakoś idzie. Czekałam na koniec. Od ojca z Wiednia otrzymuję stale listy, ale niestety twierdzi on, że wojna długo jeszcze potrwa. Jedyna moja radość to Eryk. Uczy się doskonale, jest dobry, mądry i miły, mam w nim najlepszego syna, prawdziwego przyjaciela.

Nazajutrz spotykam przypadkiem sublokatorce, które mierzą mnie podejrzliwie oczami.

Postanawiamy z Gertą, że wyjdziemy z domu dopiero wieczorem, ponieważ bez dokumentów lepiej w dzień nie kręcić się po mieście, w Warszawie mogę przecież spotkać kogoś ze znajomych.

W południe odwiedza mnie mój wczorajszy znajomy. Proponuje mi „kennkarty” po sześć tysięcy złotych, co jest sumą olbrzymią. Wątpię, czy będę miała tyle pieniędzy, mimo to proszę go, aby mi dał czas do namysłu. Zostawia mi numer swego telefonu. Zamierzam jeszcze porozumieć się z córką Eigerów, która też zajmuje się tymi sprawami.

Wieczorem idziemy na Wspólną. Znow jestem w domu, który opuściłam dwa lata temu. Wtedy myślałam, że niedługo doń wrócimy, zajedziemy z wielkim triumfem, a tymczasem idę, oglądając się za siebie, idę ukradkiem, wtuliwszy głowę w ramiona, po schodach, po których biegałam, głośno tupiąc obcasami. Idę jak przestępca.

Pani Czepietowa przyjmuje mnie serdecznie, życzliwie ubolewa nad naszym nieszczęściem. Płaczą po cioci pani Blochowa i pan Więzowski. Pomóc mi jednak nie mogą.

Idziemy do córki Eigerów. Wystraszona staruszka, która nas przyjmuje, oświadcza, że tu wcale taka nie mieszka. Mimo to zostawiam jej karteczkę z adresem Gerty, powołując się na jej rodziców i prosząc, aby się ze mną zobaczyła.

Rozczarowana wracam do domu. Jak trudno jest cokolwiek załatwić! Gerta proponuje, aby kamienie dać do sprzedania jej znajomej — żonie jubilera, która podobno doskonale załatwia tego rodzaju transakcje.

W domu oczekuje nas nowa nieprzyjemność. Panny Jankowskie, takie jest nazwisko sublokatorek Gerty, wiedzą, kim jestem. Ich ojciec był przed wojną woźnym u Jurka w fabryce. Przychodziły do ojca i stąd mnie znają. Jestem wstrząśnięta, więc tak trudno być niepoznaną. Jankowskie są mimo to uprzejme, ale stale dopytują się Gerty, czy długo zamierzam u niej pozostać. Nie mam rady. Na Złotej trzeba tak długo pozostać, aż nie załatwię wszystkiego. Muszę jechać do Sławka.

Następny dzień należy do szczęśliwych, ponieważ z samego rana zjawia się Eigerówna. „Kennkarty” są dwóch rodzajów: lipowa tzn. bez pokrycia w magistracie i druga,

Niebezpieczeństwo

Dom, Żyd, Wojna

też właściwie fałszywa, ale już z pokryciem. Na te ostatnie trzeba długo czekać. Metryki można dostać albo fikcyjne, albo po umarłych. Wobec tego, że mamy mało czasu, decyduję się na pierwsze — bez pokrycia. Mamy w dalszym ciągu występować jako małżeństwo. Bardzo ciężko wybierać sobie imiona i imiona rodziców. Eigerówna proponuje, aby nazwisko było bardzo popularne, żeby nie zwracało uwagi. Wybieram: Wiśniowscy, zachowując pierwszą W. Imiona biorę podobne, a u Jurka to samo, dodając jeszcze po drugim imieniu, żeby można było inaczej na siebie wołać. Chociaż sytuacja nie nadaje się do żartów, jednak nazwisko moje panięskie tłumaczę dosłownie na polski — z Szac wychodzi Skarbek, stara, polska, hrabiowska rodzina. Tego jeszcze dnia idę do fotografa, gdzie zamawiam potrzebne dla siebie zdjęcie z lewym uchem, a Jurka stare zdjęcie każę odfotografować na lewe. Szykuję również w podobny sposób, ale już u innego fotografa zdjęcia rodziców. Za „kennarty” Eigerówna chce tylko około czterech tysięcy złotych, co jest stosunkowo niedużo, a ma je dostarczyć w terminie trzech do czterech dni. Teraz chodzi o to, aby w tym terminie sprzedać brylant i dostać pieniądze. Po południu przyjechała z Józefowa pani W., żona jubilera. Za brylant mogę dostać 27 tysięcy, a po odliczeniu kosztu dokumentów i prowizji pozostanie mi 20 tysięcy. Jestem bardzo zadowolona, nie targuję się wcale, przeciwnie, okazuję szaloną radość i szybko zgadzam się na ofiarowaną mi sumę. Nazajutrz telefonuję znów do Jurka i proszę, aby jak najszybciej przyszedł do mnie, ponieważ pchły (Jankowskie) mnie bardzo gryzą i powietrze mi nie służy, więc postanowiłam zmienić mieszkanie i wraz z nim jechać na wieś. Umawiamy się, że następnego dnia odwiedzi mnie. Tak to się lekko mówi „przyjdzie”. Przedrze się przez mury, strażę, karabiny, przeskoczy przez fortece, przecisnie się przez „szmalcowników”.

Odwiedza mnie pani Alina, wiedząc, że mam mało odzieży przynosi mi... spodnie piżamowe i balowe srebrne pantofle na francuskim obcasie. Chce mi się płakać i śmiać zarazem. W mojej sytuacji podarki te są bardzo na miejscu.

## SŁAWEK

Jesień — drewniany domek z gankiem, obrośniętym winem. Przed gankiem klomb. Róże pąsowe, herbaciane i białe. Siedzę na ławeczce przed domem, pod drzewem. Słońce gładzi mnie swoimi dobrotliwymi promieniami, ogrzewa mnie. Wdycham zdrowe, świeże powietrze.

Tam, w dali, łąka zielona, a tuż obok las, cisza — tylko odgłosy z podwórza: koń zarżał, pies szczeknął, kot leżący obok mnie zamruczał, ko-ko-ko — zagdakała kwoka. Położyłam się na ławce, zamknęłam oczy. Pieść mnie słońeczko, lecz zbolałą głowę, poranione serce, wyrwij zeń ciernie, zrób tak, abym o wszystkim przeszłym zapomniała, abym tylko mogła o tym myśleć, że jestem na wsi, że jest spokój!!

Ktoś podchodzi, otwieram oczy — ciocia. Ala uśmiecha się i podaje mi talerz, a na nim pyszne, soczyste winogrona. To nasze. Siadam i biorę do ust owoc. Jaki smaczny. Już prawie trzy lata nie jadłam winogron i nagle ogarnia mnie dziwna myśl: śnię. To niemożliwe, żeby to wszystko działa się naprawdę. Tam, zaledwie kilkadziesiąt mil stąd, piekło, krew, śmierć, strach, a tu raj. Oczy przywykłe do starych kamienic, do skrawka nieba, do słabego odbłasku słońca, ślepną od barw i blasku. Płuca, przywykłe do zaduchu, pyłu, zachłystują się czystym, krystalicznym powietrzem pól, łąk, lasów, przestrzeni. Mogę iść przed siebie, mogę iść, iść, aż tam daleko, gdzie niebo styka się z ziemią. Nie ma murów, jeżeli to nie sen, jeżeli to nie jakiś miraż. Nie, to coś fantastycznego. W to piękno i w tę swobodę uwierzyć nie mogę, dopóki tu są Niemcy, dopóki jesteśmy narodem skazanym na mękę i śmierć.

Tak, jak człowiek po ciężkiej chorobie, po wielkim bólu fizycznym, myśli tylko o tym, że żyje, i że go nic nie boli, tak i ja przez pierwsze chwile przebyte na Sławku myślałam o tym, że jest mi dobrze, że jestem razem z Jurkiem, że mamy gdzie mieszkać, gdzie się kryć, że po prostu mamy szanse na przetrwanie. Ostatnie dni były tak pełne wrażeń, tak wypełnione niepokojem, niepewnością, a teraz można było odetchnąć.

Ciocia Ala nas przyjęła, otworzyła na oścież drzwi swojego domu przed nami — wyklętymi. Słała nam miękkie posłanie. O normalnej porze śpimy, jemy, myjemy się — żyjemy jak ludzie. Oszołomieni jesteśmy tym normalnym życiem. Ale już po pewnym czasie budzi się jedna myśl, która wwierca się w głowę, która w noc i dzień nie daje

spokoju. Rodzice, wujek zostali tam, w każdej chwili narażeni na śmierć. Co robić, jak im pomóc?

\*

W piekle wojny, w burzy mąk zaistniał maleńki zakątek — Sławek, w którym zdawało się, że jest spokojnie jak w niebie. W pobliżu żadnych domostw, a kiedy spadł gęsty, puszysty śnieg i ziemia pokryła się białym kobiercem, wydawało się, że wszystkie brudy świata znikły. Białe, białe. Słońce iskrzyło się w śniegu, jak w kryształach. Eryk z różowioną buzią zjeżdżał z górki na saneczkach. Wróbelki świergotały wesoło. Stojąc na ganku, można było myśleć, że cały świat zamyka się tu, na Sławku, że dalej, za lasem nic już więcej nie ma. Nikt do nas nie przychodzi ze wsi. Zaspy śniegu utrudniają poruszanie się. Tylko znajome dźwięki żurawia przy studni, rzenie konia, łoskot topora przy rąbaniu drzewa i radosne okrzyki Eryka.

Biegnę po lesie. Moje nogi zostawiają ślady na świeżym śniegu. Jak pachnie! Słońce, drzewa i śnieg.

— Chodź tu — prosi Eryk — pojedziemy na saneczkach!

Przypominam sobie dawne lata. Słyszę swój własny śmiech i myślę o tym, czy do prawdy zostało mi jeszcze nieco radości życia. Pauza w mękach. „Odsapka”.

— Żeby tylko zostało tak do końca — mówi Jurek.

Przy takim życiu pieniędzy nam wystarczy na 8 do 10 miesięcy, do tego czasu może już będzie koniec z Niemcami. Zresztą, jesteśmy u swoich. Mieszkanie, chleb i kartofle mamy. W getcie, dzięki Bogu, spokój. Mogę rodzicom posyłać co pewien czas nieco pieniędzy. Mam stały kontakt z nimi. Domyślałam się, że ojciec pracuje ponad swoje siły, wiem, że jest im bardzo ciężko, ale urządzić ich po stronie aryjskiej nie ma możliwości. Czasem chciałabym, w napadzie tęsknoty, wrócić do nich albo choć na kilka dni iść tam, aby się z nimi zobaczyć. Ale Jurek kategorycznie zabrania:

— Już tam nie ma po co wracać. Nie mamy na getto żadnych zaświadczeń ani dowodów. Zaczynać od początku, podczas gdy tu jesteśmy jakoś urzędzeni?

Sto razy dziennie dziękujemy Bogu za szczęście sławkowskie, sto razy dziennie odkupujemy w nieheblowane meble „od uroku”.

Mały, drewniany domku na uboczu, niewinny z pozorów, możesz uratować życie czterem osobom!

W tak spokojne dni zapominamy o wszystkich strachach, lękach, zapominamy o grożącym nam stale niebezpieczeństwie. To, że wyskakujemy z łóżka na turkot fury, że serce nam łomocze na najmniejszy szelest ze dworu, to, że każdy spóźniony list stamtąd to lzy, niepokój, rozpacz — to wszystko głupstwo.

Teraz zresztą jest mróz, leży gęsty śnieg. Obce fury nie zajeżdżają w podwórze, na szelesty zwracamy mniejszą uwagę.

Gerta regularnie przynosi listy z getta. Ostatnio sprzedałam pierścionek i mam zabezpieczone dwa miesiące życia. Cybulski nie przynosi na razie żadnych złowrogich wieści — każdy jest zajęty swoimi świątecznymi sprawami.

Na Sławku też będziemy świętować. Frania, Stasiak i Eryk czekają cały rok na święta Bożego Narodzenia. Ala, jako zawołana gospodyni, lubi krzątanie, szykowanie, porządki. Cybulski lubi tradycję, a nam z Jurkiem także udziela się nastrój przedświąteczny. Właściwie, zamknięci na Sławku, na którym jeden dzień do drugiego podobny jest jak dwie krople wody, zadowoleni jesteśmy z jakiejś przyjemnej innowacji, chociaż jedno przed drugim nie przynaję się do tego.

Gerta przyjechała obładowana pakunkami jak wielbłąd. Zamykamy się w pokoju i segregujemy prezenty gwiazdkowe. Gerta załatwiła dla mnie sprawunki w Warszawie, przewiozła upominki dla Ali, Staska, Frani; ja mam jeszcze książkę dla Eryka, którą kupiłam, będąc w Warszawie, i krzyżówką serwetę, którą haftowałam w ciche wieczory zimowe resztą nici znalezionych na Sławku. Serwetę tę dam Gercie. Ala z Franią królują w kuchni, do której nam wszystkim jest wejście wzbronione, a z której przedostają się smakowite zapachy. Wolą Walnego Zgromadzenia, odbytego na tydzień przed świętami, uchwalono jednogłośnie zerwać z „ekonomią” w gospodarstwie i pozwolić sobie na wyprawienie świąt.

Święto

Posyłamy Jurka z Erykiem na spacer do lasku, a same stroimy choinkę do sufitu, którą przyniósł nam Stasiek. Pod choinką układamy upominki. Jakże świątecznie i przyjemnie wygląda pokój. Ileż radości może dać zielone, naiwnie przybrane drzewko!

Wieczorem siedzimy przy wieczerzy. Przypomina mi się „sejder”<sup>17</sup> w domu rodziców i lzy stają mi w oczach. Każdy z nas, siedzący przy stole, to rozbitek ludzki ocalony cudem, wyrzucony nierozważną a kapryśną falą losu na wysepkę sławkowską.

Zapałamy świczki, choinka mieni się od kolorowych zabawek i ogników.

— Chwała Bogu w niebie, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!

Ludzie dobrej woli, gdzie jesteście, czemu nie możecie dojść do słowa, czynu?

Odnajdujemy upominki. Cóż to? Dla mnie broszka z kaliną i śliczna, maleńka, srebrna, inkrustowana puderniczka. Dla Jurka cygara i srebrna papierośnica! Jesteśmy zdumieni. Chce mi się płakać: więc o nas myślano!

Dziękuję Ali i Gercie. Tworzymy jedną rodzinę, my, ludzie dziwnym trafem zebrani razem. Jakże jesteśmy sobie bliscy. Święto. Nikt, prócz Gerty, nie myśli ani o jego znaczeniu, ani o tym, że jest to święto chrześcijańskie. Myślmy o tym, że jest to dzień, w którym dozwolono nam patrzeć na jarzące się drzewko, obdarowywać się, czuć niepowszedniość dnia, dziwny spokój. Tak — chwała Bogu w niebie, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Wieczór przechodzi pogodnie, mimo łez Frani i Ali.

Jemy z apetytem. Jesteśmy wygłodzeni i rozczuleni. Patrę na Jurka, który cieszy się jak dziecko na widok każdej nowej potrawy. Rzeczywiście, po codziennych kartoflach nasze żołądki i podniebienia przeżywają prawdziwe święta. Żałuję tylko, że rodzice nie mogą być razem z nami. Ach, ta potrawa smakowałaby mamie, a tę lubi tatuś. Mój Boże, co oni teraz jedzą! Czuję się podła. My tu świętujemy, a oni są tam w getcie.

— Jak można świętować, kiedy wokół... My nie powinniśmy w tym brać udziału...

Widzę, że palnęłam głupstwo. Czemu odmówić tak małej i krótkiej przyjemności ludziom, którzy żyją tylko przez przypadek i nie są pewni dnia ani godziny? Czemu? Może w imię solidarności w mękach i prześladowaniach? Ale patrząc na roziskrzony oczy Eryka, na jego zarumienioną i spokojną buzię, dziękuję Opatrzności za „święteczny” pomysł.

Na drugi dzień znów święto. Eryk nie może nacieszyć się swymi zabawkami. Gramy z nim w różne gry. Jakże szczęśliwe jest to dziecko. Znów jest małym, wesołym chłopczykiem, który zapomniał w tym dniu o więzieniu w getcie i Umschlagu.

Otrzymujemy życzenia świąteczne od Bolutka i doktorostwa. Sprawia to nam wielką przyjemność: jesteśmy sąsiadami, którym posyła się życzenia, proszę!

Ale tego samego dnia Eryk nagle traci humor, nie chce się bawić, łązi smutny po kątach. Na liczne nasze i Gerty zapytania nie odpowiada. W końcu wybucha:

— Oszukałaś mnie — mówi do Gerty — całe życie oszukiwałaś mnie!

Czymże go matka oszukiwała?

— Opowiadałaś mi — woła mały — że aniołki przynoszą choinki, że Bóg daje dzieciom spełnienie życzeń, to wszystko kłamstwo. Stasiek choinkę uciął w lesie, teraz już się o tym przekonałem, a tyś kupiła prezenty.

— Eryku — mówi speszona Gerta — tak, to prawda, ale robimy to wszystko za wolą Boga i aniołków, jesteśmy jego rękami, podczas gdy oni są naszą głową.

— Tak! — krzyczy chłopak. — Dlaczego Bóg i aniołkowie są głową i interesują się dziećmi i ludźmi tu, a tam w getcie było tak okropnie i nikt się tym nie zajął i nikt nie oswobodził dzieci ze schroniska i nikt nam jeść nie dawał, jak gryźliśmy palce z głodu i płakaliśmy, tak nas brzuchy bolały? Gdy były mnie na gestapo ręce ludzkie, to głowa-Bóg — pozwalał na to? Powiedz, mamo!

Gerta jest błąda jak kreda.

— Teraz choinka i prezenty, ale żeby nam wtedy dali jeść, jakież to byłoby szczęście, a wtedy nikt nie przyszedł!

Z oczu dziecka płyną lzy.

— Tam został Henio, Ignas, Fela. Wszystkie dzieci nie miały nic, nawet chleba.

Odwracamy głowy od strojnego drzewka.

<sup>17</sup>sejder (jid., hebr. seder: porządek) — uroczysta uczta w pierwszy wieczór święta Paschy, najważniejszego święta religijnego w judaizmie. [przypis edytorski]



— Nie chcę się już modlić ani słuchać twoich nauk, mam, bo wszystko jest kłamstwem. Teraz nie wolno przyznać mi się do ojca, mam go się wstydzić za to, że jest Żydem, a potem przyjdzie czas, że będę się musiał ciebie, mam, wstydzić, bo jesteś Niemką!

Dziecko stoi z podniesioną ręką i mówi głosem oskarżyciela.

Gerta wychodzi do ogrodu. Idę za nią. Stoi oparta o drzewo. Wygląda jak martwa.

— Gerto — mówię — uspokój się, dziecko zapomni.

— Nie — przeczy ruchem głowy — on nigdy nie zapomina i nigdy nie mówi na wiatr. Tracę moje dziecko, mój jedyny skarb, moje życie.

Tego samego wieczoru Eryk wzbrania się przed odmówieniem pacierza.

— Nie chcę! — mówi.

— Eryku, masz dziewięć lat, ale przeszedłeś piekło i stałeś się człowiekiem dorosłym.

— Mój ojciec był Żydem, ja także nim byłem, jestem i będę.

Oglądamy się na drzwi. Cicho. Jakże tragicznie jest słyszeć te słowa w takiej ciszy wieczornej, w czasie, gdy słowo „Żyd” jest słowem najstraszniejszym na ziemi. Jak dziwnie brzmi to słowo. Nas tropią, prześladują i zabijają. W Eryku widzę taki ogień gniewu, taką zaciętość niedziecinną, że zrozumiałam. Eryk ma wprawdzie tylko dziewięć lat...

## **BJOKADA, PJĘTKO SCHODZIĆ...**

Pewnego razu jadę z Warszawy na Sławek. Jestem jak zwykle zdenerwowana i cudem, w natłoczonym przeważnie przez szmuglerów wagonie, znajduję miejsce. Na szczęście przy okienku. Ma to tę zaletę, że mogę z zainteresowaniem oglądać niezbyt interesujący pejzaż, ale twarz moją, odwróconą do okna, trudniej jest obserwować. W takiej pozycji czuję się bezpieczniejsza.

Na Dworcu Wschodnim do wagonu wciska się zakonnica — szarytka, z małą, może dwuletnią dziewczynką na ręku. Ktoś uprzejmy ustępuje jej miejsca i zakonnica zajmuje miejsce naprzeciw mnie. Jestem bardzo zadowolona z mojego vis-a-vis, ponieważ zawsze bezpieczniej jest mieć naprzeciw siebie zakonnice niż jakąś szmuglerkę albo wyrostka-cwaniaka, którzy się bezczelnie przyglądają i od spojrzeń których serce truchleje („a może poznał?”). Zwracam uwagę na dziwnie smutne i jakby wystraszone oczy dziecka. Ma chorowitą, bladą buzię. Dziewczynka rozgląda się po wagonie, kręci się na kolanach siostry, marudzi, w końcu zaczyna płakać. Bliżsi sąsiedzi uspakajają małą, siostra huśta ją na rękach, ludzie dopytują się:

— Cóż to, siostrzo, sierotka?

— Tak — odpowiada szarytka.

— A czemuż taka mizerna?

— A bo chorowała, gorączkowała, ale teraz już zdrowa. Prędko przyjdzie do siebie.

— Pewnie bieda była w domu.

— Tak, tak, bieda.

Patrzę na białe, ciepłe rajtuzki, białe buty i ładne żółte wełniane paletko, kapturek z tego samego materiału i dziwię się: dziecko biednych rodziców nie może być tak ubrane.

Mała ciągle płacze. Jakaś babina wtyka jej do ręki pajdę chleba z masłem. Może głodna? I to nie pomaga. W końcu siostra wydobywa z koszyczka małą kolorową grzechotkę z dzwoneczkiem. Dziecko przestaje płakać, bierze grzechotkę do ręki i spokojnie mówi:

— Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń — macha grzechotką i mówi dalej: — Bjokada, schodzić nadu, bjokada schodzić, wsiści pjętko, pjętko, bjokada...

Skóra cierpnie na mnie. Żydowskie dziecko. Tragiczna melodia dni wysiedleń. Rozglądam się. Nikt nie zwrócił uwagi, ale przecież może ktoś zrozumieć. Co robić? Jak zabronić dziecku tej zabawy, nie mogę nic siostrze powiedzieć, bo ta może się przestraszyć. Nie wie przecież, kim jestem.

Wiem, że niektóre klasztorzy biorą na wychowanie małe żydowskie dzieci. Niestety i w klasztorach bywają denuncjacje i wiele ukrytych dzieci zginęło.

— Siostra zmęczona, proszę mi dać dziecko, potrzymam je.

Biorę dziewczynkę na kolana. Zabawiam ją bajeczką o myszce, co kaszkę warzyła i „koci, koci łapki”, starając się odwrócić jej uwagę od grzechotki. W końcu w odpowiednim momencie wyrzucam niebezpieczną zabawkę przez okno w obawie, aby małej nie przypomniała niebezpiecznych słów. Dziecko siedzi na moich kolanach. Całuję jej

Dziecko, Zabawa, Żyd,  
Niebezpieczeństwo, Wojna

smutne oczy, które już widziały krew. Ile dałaby twoja matka, maleństwo, aby cię tak trzymać w objęciach, jak ja cię teraz trzymam. Oddała cię do obcych ludzi, zdaną na ich łaskę i niełaskę, na ich dobroć i złość. Woląла wszystko, byleby cię ocalić od pewnej śmierci tam, w getcie.

Jeszcze raz całuję dziecko i oddaję je szarytce.

## *W pustyni i puszczy*

W okolicach Sławka, po pobliskich wioskach, włóczy się dwoje żydowskich dzieci z Jadowa. Rodziców, rodzeństwo, rodzinę zamordowano w getcie. Czternastoletniej dziewczynce wraz z ośmioletnim braciszkiem udało się skryć, a potem uciec do lasu. Łaziły, biedactwa, odziane w szmaty po lasach, po polach i łąkach, kołatały nieśmiało do drzwi chat, prosząc gospodarzy co łaska, omijały szosy i drogi. Szły, nie wiedząc, kiedy i od kogo spotka je śmierć.

Tu poszczuto je psami, tam obito, ale przecież litościwa ręka podała im kromkę chleba, ugoszczono ciepłą zupą, pozwolono przeprać szmaty. Nikt jednak nie zgadzał się dzieciom użyczyć noclegu, wpuścić do domu — tego bano się. Nikt zresztą nie chce narazić się na śmierć przez cudze dzieci. Gdy ciepło było, jakoś spały w lesie, ale kiedy nastały mrozy, spadł śnieg, dzieci wprost zamierały z zimna. Chłód i głód zniszczyły ich organizm. Puchły im ręce, nogi. Przychodziły i na Sławek. Za każdym razem dostawały tyle, aby się mogły najęść do syta i zabrać nieco z sobą na drogę. Chętnie bym ich przetrzymała nieco, żeby odpoczęły, ale boję się przeciągać strunę.

Pewnego dnia pod wieczór dzieciaki przyszły na Sławek. W kuchni była jak raz rodzina Frani i szwagier Staśka. Ala była w Warszawie. Frania nagrzała im zupy, nakroiła grube pajdy chleba i nastawiła wodę do mycia. Dzieci usiadły w kącie, jak małe, zagonione zwierzątka, łapczywie pożerały kaszę ze swych miseczek, nieufnie spoglądając dookoła.

— Jedzta, jedzta — zachęcała Frania — jest jeszcze z pół gara dla was.

Stasiek szykował maszynkę do strzyżenia.

— Obstrzygę cię, synu, to zdrowiej.

Po posiłku dziewczynka w misce Franinej szorowała siebie i braciszka, a potem, gdy przeprała łaszki, chłopczyk wymyty i wystrzyżony stał przy piecu, grzejąc się i patrzył w ogień.

Grzej się, mały. Widzisz, są ludzie, którzy w swoich mieszkaniach mogą rozpalić ognisko i grzać się tak, jak ty się przy nim grzejesz. Grzej się, weź z sobą zapas ciepła, naciesz swoje oczy czerwono-żółtymi promieniami. Gdy będziesz bląkać się po zimnych polach, gdy wiatr lodowaty będzie ci dął w plecy, nogi zlodowacieją, a palce u rąk będą kłuć i palić od zimna, wtedy będziesz mógł choć przypomnieć sobie, żeś stał tak blisko dobroczynnego żaru i będziesz mógł marzyć, że się to znów kiedyś powtórzy.

— Eryku — zawołała Frania — chodź tu, pobaw się z chłopczykiem.

Eryk stanął w drzwiach kuchni. Wydawało mi się, jakby na chwilę zawahał się. Przyjrzał się ludziom siedzącym na ławkach: Franinej matce, ponuremu ojcu, siostrze, ospowatemu szwagrowi Staśka o nieprzyjemnych, kaprawych<sup>18</sup> oczach i powiedział:

— Też. Ja tam z Żydziakiem bawić się nie będę — wykręcił się na pięcie i odszedł.

Ubawione towarzystwo zarechotało.

— Ho, ho, ale odpowiedział, jak prawdziwe pańskie dziecko!

Podobało im się. Tylko Stasiek i Franka spuścili głowy.

Twaz chłopczyka stojącego przy ogniu była, jak zwykle, smutna. Oczy patrzyły spokojnie. Przywykł do drwin, pomiatania, pogardy. Przywykł do tylu nieszczęść, do takiej męki, że ten incydent nie zrobił na nim wrażenia. Przeciwnie, może gdyby Eryk zechciał się z nim bawić, gdyby mówił z nim, jak z równym sobie, może wtedy myślałby, że to jakoś nienormalnie, że to nie w porządku.

Łzy stanęły mi w gardle, miałam ochotę porwać Eryka i zbić go. Po cóż go tu trzymamy! Wstrętny, obrzydliwy szwab, niech go sobie Gerta zabiera stąd. Mała żmija, potwór nie dziecko, a jak się umiał dobrze maskować. Teraz dopiero widzę, jaki on jest.

Zgnębiona wchodzi do pokoju. Jurek czyta książkę.

Życie jako wędrówka,  
Dziecko, Wojna, Żyd

Żyd, Polak, Dziecko,  
Wojna, Lud

<sup>18</sup>kaprawy — zaropiały i zaczerwieniony (o oku). [przypis edytorski]

— No, jak dzieci? — pyta mnie.

— Biedactwa, męczą się.

— Chciałem tam wejść — mówi Jurek — ale nie chcę przy tych ludziach, mógłbym się czymś zdradzić w rozmowie z dziećmi. Zresztą, powiem ci prawdę, nie chcę patrzeć na tę ich mękę, kiedy im pomóc nie mogę. Cóż możemy im dać? Dam im trochę pieniędzy.

Frania szykuje im paczkę żywnościową. Dziś przenocują w stodole, a jutro rano pójdą sobie. Przez noc przeprane lachy przeschną.

Chcę opowiedzieć o Eryku, ale po prostu nie śmiem, wstyd mi za niego, nie chcę, by Jurka denerwował. Siadam przy stole i zabieram się do cerowania.

Słyszę, jak w przyległym pokoju Eryk kręci się przy szafie, wyjmując coś, kładzie z powrotem, otwiera szuflady; słyszę, jak taszczy walizkę, sapie, trudno mu ją otworzyć. Innym razem weszłabym do niego i spytałabym się go, czy mu potrzebna pomoc, ale teraz nie chcę na niego patrzeć.

— Co ty robisz? — pyta Jurek.

— Nic, n-i-c — odpowiada przeciągle chłopak.

— Jak to nic?

Wchodzę do niego. Klęczy przy walizce i na kupkę odkłada swoje sweterki, skarpetki, ciepłe majteczki.

— Co to za porządki? — pytam się.

Eryk czerwieni się jak piwonia.

— To, to...

— No, co... — przerywam.

— To dla tego małego chłopca.

— Tego małego — dziwię się — którego nazwałeś Żydzakiem?

Eryk podnosi się.

— Tak, powiedziałem, powiedziałem specjalnie, chociaż wolałbym, aby mi język odpadł, oczy zaczerwieniały i paznokcie stały się czarne — (wymyślne życzenia z indyjskich opowieści). — Powiedziałem tak, choć chciałem zbliżyć się do chłopczyka i objąć go, bo to mój brat....

Eryk ma oczy pełne łez.

— A ja nie chcę, żeby ktoś wiedział, jaki on mi jest bliski i jak go kocham i nie trzeba, aby oni rozpowiadali, że ja się bawię z Żydem i że może ja też, więc ja tak specjalnie.

Wyciągam ramiona, w które Eryk wpada, łkając rozpaczliwie.

— Co się stało? — pyta przestraszony Jurek.

Opowiadam mu.

— Chcę mu dać nieco moich rzeczy — wyplakawszy się, mówi Eryk.

— A co powie mama? — pytam.

— Mama nic nie powie. Ja mam dużo, a on nie ma nic.

Pomagam mu. Paczka jest gotowa. Mam ją później dać Frani, a ona wręczy dzieciom.

Eryk w dalszym ciągu chodzi zaaferowany. Kręci się niespokojny, potem bierze w ręce swoją najdroższą i najukochańszą książkę, swój skarb — *W pustyni i puszczy* Sienkiewicza i kładzie ją na paczce. Też dla niego. Eryk zna ją prawie na pamięć, mówi słowami Stasia i stara się go we wszystkim naśladować. Książkę tę dostał przypadkowo w przeddzień wizyty w gestapo i od tego czasu nie rozstawał się z nią. Towarzyszyła mu w getcie, w więzieniu, na Umschlagu, wziął ją ze sobą na Sławek.

— Eryku, oddajesz tę książkę?

— Tak — mówi mały — ja ją kocham, ona osładzała mi najcięższe chwile. Za nią bito mnie w gestapo. Czytałem, nie mogłem się od niej oderwać, nie słyszałem ich pytań, zbili mnie i książkę odrzucili precz. Podniosłem ją. Czytałem w więzieniu i w schronisku. Wierzyłem, że tak, jak Stasiowi udało się wrócić do swoich, ująć z piekła, tak i mnie się uda. Gdy Stasio jest w Chartumie, to tak jak w getcie. Stasio rozmawiał z Mahdim, a ja nie rozmawiałem z Hitlerem, ale gdyby mnie postawiono przed nim, tak samo postąpiłbym jak Stasio, tylko że Hitler jest gorszy od okrutnego, na wpół dzikiego Mahdiego i na miejscu by mnie zabił, ale mniejsza z tym. Stasio był mi przykładem, Stasio jest moim...

— Idealem — podpowiadam.

— Tak, moja świętość, mój anioł — kończy Eryk. — I chcę, aby teraz książkę dostał ten mały, żeby jemu osładzała najgorsze chwile.

Książka, Dziecko, Wojna,  
Żyd, Polak

— Eryku, nie trzeba tej ofiary, cenię twój zamiar, ale ten chłopczyk czytać nie umie i książka mu jest niepotrzebna.

Oczy Eryka rozświeciły się na chwilę.

— Więc nie trzeba mu oddawać jej? — A potem znów zaszyły mgłą smutku. — Szkoda.

Tak, szkoda, Eryku. Nie będzie mógł zapomnieć o swej drodze, która zaprowadzi go do wolności czy do śmierci?

Nie, nie doczekał mały chłopczyk szczęśliwej wolności. Dwa miesiące potem policjanci polscy złapali nieszczęśliwe dzieci na wsi i powieźli na żandarmerię, gdzie je zamordowano.

Dziecko, Śmierć, Żyd,  
Wojna

## WYGRALIŚMY ŻYCIE NA PATEFONIE

Wieczorem siedzimy przy stoliku. Ala, Cybulski, Jurek i ja. Gramy w bridża. Lampa karbidowa jasno świeci. Ciepło, za oknem deszcz.

— Nie liczysz — strofuje mnie Jurek. — Jak ty licytujesz?

Rzeczywiście nie myślę o kartach, myślę o rodzicach, mam stale przed oczyma ich zgarbione postaci. Idą przed siebie w zło nieznaną, idą moi najdrożsi starszycy, wymęczeni, a zewsząd czyhają szpony wroga. Włoką nogi po ziemi, na której nie ma dla nich miejsca, a ziemia jest taka wielka. Gardło ściskają tłumione łzy. Ach, jak chętnie rzuciłabym karty. Ale przecież muszę panować nad sobą. Ala i Cybulski chcą grać, nie trzeba im psuć partii.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Światło lampki karbidowej zamigotało od prądu powietrza. Wpadło dwóch policjantów z wycelowanymi karabinami.

— Ręce do góry!

Wstajemy wszyscy. Za nimi wsuwa się Frania, błada jak śmierć.

— Dowody.

Podajemy.

— Kto tu jeszcze mieszka?

— Więcej nikt!

Rewidują nas.

— Proszę się ubierać, jedziemy na żandarmerię.

Pochylam się nad Jurkiem:

— To już koniec, Jureczku?

— Właściwie o co chodzi? — pyta Ala.

— Ha, ha — śmieje się jeden z nich.

— Pani dobrze udaje.

— Nie rozumiem, proszę mówić jasno — stawia się jeszcze Ala.

— Tu są oskarżeni o pochodzenie żydowskie.

— Ach, tylko to? No, to jedźmy.

Ala umie grać komedie, ale ja boję się, że się za daleko posuwa. Może jakoś przekupić?

— Może panowie pozwolą — pyta Ala głosem ciągle pewnym i spokojnym — że zjemy kolację.

Na kolację Frania podaje zakąskę i naprędce sprodukowany przez Staśka bimber.

— Proszę, panowie pozwolą — prosi Ala.

Chodzi o to, aby ich serca nieco zmiękły przy wódce, ale oni wzbraniają się.

— Nie, nie, nie.

Staramy się jeść spokojnie, ale wszystko nam rośnie w ustach. Jeżeli nie chcą pić, to znaczy, że nie będzie można ich przekupić. Jemy możliwie najdłużej. Policjanci poganiają nas: Prędeż! Prędeż!

Pojawia się trzeci policjant. Dotychczas pilnował stojących na podwórzu.

Cybulski gęsto tłumaczy się, że przyszedł na godzinkę na karty, że wszyscy go znają, jako kierownika szkoły. W końcu pozwalają mu odejść. Godzą się na to, aby Ala została w domu, chodzi tylko o nas. Policja przyjechała na rowerach, a dla nas każą szykować wóz. Jurek kładzie kurtkę, ja palto.

— Kiedyś musiało to nastąpić, maleńka!

Jest błady, zrezygnowany. Wychodzimy na podwórze, przystępujemy do wozu.

Ciemno, pada deszcz.

— Usiądźcie z przodu — mówi policjant — my za wami.

Policjant, Polak, Żyd,  
Niemiec, Wojna, Handel,  
Nacjonalizm, Śmierć,  
Muzyka

„Czy w taką noc można uciec z wozu?” — myślę.  
 Zapalają wielkie latarnie.  
 — Będziemy was oświetlać, żeby was po drodze nie zgubić — kpią.  
 Odwracam się, ciągnąc za sobą Jurka.  
 — Proszę pana — mówię do komisarza — muszę z panem porozmawiać.  
 — Tam na miejscu będzie dość czasu na rozmowy.  
 — Ale wolałabym teraz!  
 Wchodzimy do sionki.  
 — My nie pojedziemy, możecie nas tu zabić, po co nas jeszcze męczyć.  
 — Ja was muszę Niemcom dostarczyć — odpowiada — a to, co oni z wami zrobią, to już ich sprawa.  
 — Przecież pan wie, co z nami zrobią. Z miejsca nas zabiją. Czy doprawdy tak bardzo pan chce naszej śmierci, czy nie żał panu dwojga młodych istnień? Niech pan sobie wyobrazi, że pan jest na naszym miejscu.  
 Policjant mimo woli wzdryga się. „Poczekaj, draniu, — myślę — i na ciebie przyjdzie kolej, pacholku niemiecki, sprzedawczyku!”  
 — Cóż wy mnie obchodziecie — cedzi przez zęby. — Co mnie obchodzi wasze życie. Zresztą, wyście w Rosji zabili moją rodzinę.  
 — My?  
 — No wy, wasi bracia w Rosji mordowali naszych.  
 — Dzień dobry! To piosenka wszystkich agenciaków, łapiących Żydów.  
 Tłumaczę mu, proszę go, perswaduję. Ala pomaga mi, jak umie.  
 — Jeżeli im się coś stanie — mówi Ala — to i ze mną koniec. Przecież ja ich przetrzymywałam.  
 — A po co to pani było?  
 Rozmowa przedłuża się. Chwilami wydaje się, że komisarz milknie i jest skłonny jakoś załatwić, chwilami znów myślę, że już wszystko przepadło.  
 — Jestem z kolegami, dostaliśmy rozkaz z posterunku, musimy ludzi dostarczyć.  
 Wreszcie, wychwalając swoją szlachetność, godzi się na pieniądze i wymienia tak wrotną sumę, że i dziesiątej jej części nie mamy.  
 Targi. Wydaje mi się, że już nic się nie poradzi. Wszystko, co mamy, to śmiesznie mało w porównaniu z tym, czego żąda. Targi trwają.  
 — Dajcie złoto! — woła.  
 — Ale skąd mamy je wziąć, czy pan myśli, że każdy Żyd jest nadziany złotem, że ma fabrykę dolarów? Niektórzy wprawdzie mówią, że można mieć złote słowa, złote serce, ale przecież nie takiego złota chcecie. Człowieka męczą w getcie, zostawia wszystko i ucieka w jednej koszuli na drugą stronę. Jeżeli nawet bierze ze sobą coś z biżuterii, to przecież musi żyć za to. Skąd brać takie olbrzymie kapitały?...

W końcu czuję się tak zmęczona tym targiem o życie, że siadam na krześle i Jurek obok mnie. Ala obrabia komisarza. Opowiada mu jakieś anegdoty, ciągnie za kurtkę. Przekonywuje<sup>19</sup>, błaga, prosi. W pokoju, w którym rozmawiają, stoi patefon. Komisarz nastawia płytę, jakiegoś obertasa. Jeden z pozostałych policjantów wchodzi do nich, drugi zostaje, pilnuje nas.

Siedzimy zbolali. Czy dziś nas zabiją? Może i tym razem jeszcze się uda? Mamy czterdzieści dolarów. Możemy z tego oddać najwyżej dwadzieścia, a dwadzieścia choć mieć na dalszą prolongatę życia, która coraz częściej wydaje się nam niemożliwa. Jeżeli nawet uda się tym razem ocaleć, będziemy musieli stąd jak najprędzej wiać. Ale dokąd? W każdym razie zupełnie bez pieniędzy bylibyśmy straceni.

W tej chwili słyszę głos komisarza:  
 — Ach, pani żartuje, pani nas obraża. Za takie grosze mamy ich zostawić? No, no! Co pani sobie o nas myśli? My jesteśmy ludzie solidni, nie jakaś tam pętakeria, która za takie rzeczy bierze dwadzieścia dolarów.  
 Teraz Ala jeszcze raz próbuje częstować solidnych ludzi wódką i tym razem udaje się jej. Po kilku kolejkach policjanci stają się weseli i bardziej rozmowni. Nastawiają płyty. Coraz to inna melodia, huczna, wesoła polka, kujawiaczek i obertasek.

<sup>19</sup>przekonywuje — dziś raczej: przekonuje. [przypis edytorski]

— Nasza stypa — mówię do Jurka.

Sytuacja jest wyjątkowa. Siedzimy ubrani w palta, gotowi do wyjazdu, czekając na decyzję: życie lub śmierć na wpół pijanych drabów, którzy na razie bawią się, wesoło przytupując obcasami: hop sa-sa, hop sa-sa. Piękne jest życie!

Pilnujący nas policjant o zakazanej dziobatej mordzie kryminalisty biada nad nami:

— Pewnie, śmierć to, panie, psia jej mać cholera, rzecz niewesoła, ale trudno, jak trzeba, to trzeba.

Powtarza to w kółko. To jego dewiza. Jak trzeba, to trzeba służyć Niemcom, jak trzeba, to trzeba zabijać Żydów, jak trzeba, to trzeba rabować, a nam jak trzeba, to trzeba umierać przez draństwo, podłość, przez takich drabów o gębach kryminalistów. Mija godzina za godziną. Jest trzecia w nocy. Nasza męka trwa już osiem godzin, jesteśmy zupełnie wyczerpani.

— Widzisz — szepcze Jurek — jak dobrze, że nie ma tu twoich rodziców, mojej matki z Zosią.

— Tak, ale co z nimi?

Zawsze w ciemne deszczowe noce myślę o tym, że może teraz nie mają dokąd wejść, strudzeni błąkają się po drogach. Bezdomne, tropione zwierzęta. Znów donośny głos:

— Podoba mi się patefon! Wezmę go i te pieniądze, tylko że trzeba jeszcze tam coś dolożyć.

Znów targi. Dodajemy jeszcze jeden tysiąc gotówką, którą mieliśmy przygotowaną dla Ali za miesiąc.

Żegnamy się. Musimy draniowi podać rękę, jak gdyby nic nie zaszło.

— Możecie teraz zostać.

Rozumiemy, że teraz możemy zostać, ale po upływie dwóch dni przyślą kolegów, którzy znów wypompują z nas ostatnie grosze. W końcu, kiedy już nie będzie się czym opłacić, wezmą nas na żandarmerię, gdzie za dostarczenie Żydów bohaterscy policjanci dostaną pochwałę od żandarma za gorliwe spełnianie obowiązków i po dwa kilo cukru lub pół litra wódki od osoby.

Nareszcie wyjeżdżają.

Tym razem wygraliśmy życie na patefonie.

Nazajutrz, gdy siedzimy przy ostatniej kolacji, niespostrzeżenie wsuwa się do pokoju Olszewski. Przyjechał na rowerze. Rozmowa nie klei się. Niedługo stąd wyjeżdżamy.

Bolutek siedzi markotny.

— A tak żeśmy się, panie, zżyli. O, psiekrwie, skurczybyki, przepraszam za wyrażenie, przez tę naszą bohaterską policję, przez tych chamów jedzicie.

Milczymy.

— Jeżeli wam potrzebne wymeldunki, to wam je wydam, jakoś się zrobi na lewo.

— Dobrze, jeżeli będą nam potrzebne, zwrócimy się do pana w Warszawie.

Postanawiamy nie wymeldowywać się, nie mając się gdzie zameldować.

Żegnając się z nami, Bolutek długo trzyma nasze dłonie:

— Ja, ja — jąka się ze łzami w oczach — ja dla was przyjaciół w szczęściu i w nieszczęściu. Jeżeli coś by wam trzeba pomóc, to w miarę możliwości zawsze się wam przysłużę. — I już z daleka woła: — Jurek, bracie, pamiętaj, że masz moje pół krwi.

Niezbyt to może Bolutek literacko ujął, ale rozumiemy. Chcesz powiedzieć, że jesteś nam przyjacielem. Wiemy o tym, wierzymy ci. Szlachetne serce można znaleźć i w Grajdołku u prostego, niepozornego człowieka; Olszewski odjeżdża, a ja, chcąc ukryć wzruszenie, próbuję żartować.

— Winszuję ci, Jureczku, teraz jesteś pół-aryjczykiem, masz pół krwi Bolutka.

Ale żart nie w porę. Smutno nam, tracimy życzliwego człowieka.

Żegnamy się ze Staśkiem. Z daleka jeszcze odwraca się i widzę jego płową czuprynę. Macha ku nam czapką.

## STYCZNIOWE WYSIEDLENIE

Pewnego dnia Frania przynosi wiadomość, że ludzie opowiadają, jakoby już od dwóch dni jadą wagony z Warszawy z Żydami na Treblinkę. Niektórym udało się wyskoczyć w biegu, ale ich powystrzelowano. Ktoś ze wsi leżącej przy torze opowiadał, jak Żydzi

Żyd, Ofiara, Kradzież, Lud,  
Złodziej

konali na zimnie, leżąc w polu, jęczeli straszliwie, ale wieśniacy bali się im dopomóc, opatrzyć rany. Za to złodzieje mieli bał, obrabowali ofiary, nie zawahali się nawet przed ściąganiem z nich ubrań. Cóż, odzież jest droga, a tym umierającym i tak się nie przyda.

Jurek chrząka, zaciskam wargi. Gdy Frania wychodzi, wybucham płaczem. Może rodziców już nie ma, może to oni właśnie leżą gdzieś na śniegu. Biedni, nieszczęśliwi ludzie z getta. Ala i Jurek uspakajają mnie. „To tylko plotki”. I ja chcę wierzyć, że to kłamstwo.

Po dwóch dniach przyjeżdża Gerta. Wiadomości, niestety, potwierdzają się. Znów masowe wysiedlenie. Placówki przestały wychodzić na robotę, opowiadają, że rzucano pociski na Niemców, że kilka domów spalono.

Robię sobie wyrzuty, oskarżam się, że podczas mojego pięciomiesięcznego pobytu po aryjskiej stronie nic dla rodziców nie zrobiłam i dałam im zginąć.

— Zastanów się — mówi Jurek — coś mogłaś zdziałać, przecież cały czas myślałaś o nich, a sama czy jesteś dobrze urządzona? Czy jesteś w bezpiecznym miejscu? Wiesz, jak wszystko tu stoi na kurzych łapkach.

— Ale żyjemy — upieram się — dziś żyjemy. Jeżeli teraz przetrwamy, muszę ich ściągnąć i już się z nimi nigdy nie rozłączę.

— Jeżeli przetrwają — mówi nieopatrnie Ala, widząc moją rozpacz — napiszesz, aby tu przyjechali. Co będzie, to będzie. Wiem, że żyć bez najdroższych to tak, jakby wcale nie żyć.

Ach, Alu, jakaś ty dobra!

Czekamy teraz z niecierpliwością na przyjazd Gerty, która ma się dowiedzieć o nich w getcie i przesłać im tragicznie brzmiące listy, zaczynające się od słów: „Jeżeli Opatrzność pozwoli, aby pismo to doszło do waszych najdroższych rąk...”.

Po kilku dniach przyjeżdża. Widzę ją z daleka i wybiegam na spotkanie. Gerta rzuciła: Wszystko w porządku. Wszyscy wasi żyją. Ojciec, matka, wujek, teściowa, Zosia i Benio.

Nieprzytomna ze szczęścia wpadam do pokoju, gdzie przy akompaniamencie moich nieartykułowanych dźwięków wykonuję dziki taniec, który ma wyrazić największą radość, a może być śmiało przyjęty za atak furii.

Wywieziono z getta znów kilka tysięcy ludzi, na razie spokój i placówki wychodzą do pracy.

Sto razy każę sobie opowiadać o telefonicznej rozmowie Gerty z ojcem i wujkiem. Wreszcie piszę listy szczęśliwe i szalone, zraszając je obficie łzami szczęścia i nieopatrnie, za pozwoleniem Ali, zapraszam ich na Sławek.

„Zawsze macie tam miejsce zabezpieczone, nie narażajcie się na następne wysiedlenie. Jeżeli los był dla was dotychczas łaskawy, nie trzeba go nadużywać”.

Jurek pisze do matki i siostry podobne epistoły z takim samym zakończeniem (za pozwoleniem Ali), „przyjeżdżajcie”, dodając przezornie „w ostatecznym wypadku, bo u nas też nie jest pewnie”.

Gerta przewozi listy pod korkiem w pantoflach, ulubione miejsce dla korespondencji gettowej. Po pewnym czasie otrzymuję odpowiedź. Rodzice piszą, że szczęśliwym przypadkiem udało im się przeżyć. Ojciec jest niezbyt zdrow (co rozumiem, że jest bardzo chory), że na razie jest tam cisza, a przyjechać do nas boją się ze względu na nasz spokój. Uczynią to w ostateczności, gdy już nie będzie innego wyjścia.

„Ale skąd można wiedzieć — myślę — kiedy jest ostateczność, owa minuta przed dwunastą?”

Po upływie tygodnia Ala w sobotę rano dostaje zawiadomienie, że odprawa tajnego wywiadu organizacji podziemnej tym razem odbędzie się u niej, na Sławku. Uczestnicy mają przyjechać około godziny 12 w południe. Sławek jest tak szczęśliwie położony na uboczu, że jest wymarzoną miejscem na tajne zgromadzenia. Jurek i ja, jako nienależący do organizacji, mamy stać się niewidzialni, do czego już przywykliśmy. Najgorsza sprawa z Erykiem, który kręci się jak bąk po całym domu.

W końcu zabieram go na spacer. Idziemy pustym polem koło lasu, jest piękny, słoneczny dzień lutowy. Rzucamy w siebie kulami ze śniegu. Eryk opowiada mi jakieś historie szkolne. W końcu zmęczeni wychodzimy na drogę, kierując się w stronę domu.

— Patrz — woła nagle mały — idzie mama i jeszcze kilka osób.

Mrużę krótkowzroczne oczy, ale oprócz wielu kresek w dali, nic nie mogę dojrzeć.

— Pójdziemy na ich spotkanie — proponuje chłopczyk.

List

— Czy jesteś pewny, że to twoja mama? — pytam.  
— Ale naturalnie — oburza się Eryk — moją mamę poznałbym na drugim końcu świata.

— Kogo jeszcze widzisz?

— Jeszcze dwie kobiety i trzech mężczyzn.

„Może moi rodzice — przebiega mi przez myśl — ale czyżby szli tak nieopatrnie grupą przez wieś, gdzie wszystko zwraca na siebie uwagę?”

Eryk biegnie do matki. Podążam za nim i oto jesteśmy już przy nich. Gerta, teściowa, Zosia i trzech nieznanymi mężczyzn w butach z cholewami i w kurtkach.

— Mamo — woła dziecko, ale Gerta nie uśmiecha się.

Kobiety patrzą na nas z rozpaczą i zgrozą. Mężczyźni zatrzymują nas.

— To wasze dzieci?

Zdejmuję opadający szalik z głowy.

— Ach, to pani? — kłania się jeden z nich.

Poznaję w nim policjanta Jurowskiego, który wraz z kolegą przyjechał na wywiady zaraz po naszym przybyciu na Sławek.

— Te panie zatrzymano, posadzone są o pochodzenie żydowskie, oświadczyły, że idą na Sławek. Więc pójdziemy razem.

Po drodze wypytuje mnie, jak długo Eryk jest na Sławku. Każą mu odpiąć spodni. Idę obok nich nieprzytomna, na Sławku jest odprawa — zakonspirowane zebranie, na które przyjechało około 20 osób. Co robić? Jak ich uprzedzić, gdzie Jurek? Po prostu ciągnę nogi, staram się chodzić jak najwolniej, ale każdy krok niemiłosiernie i bezapelacyjnie zbliża nas do wesołego drewnianego domku, w którego ścianach za chwilę rozegra się tragedia.

Wchodzimy na podwórze. Teraz wypadki rozgrywają się z taką szybkością, że trudno mi samej się zorientować, jak wszyscy znaleźliśmy się w pokoju, gdzie było zebranie.

Jak przez mgłę przypominam sobie Alę, wołającą na grubiańskie przywitanie policji: „wolnego, wolnego, jeszcze ja tu jestem gospodynią!” (wieczna jej werwa), jak te rozwścieczone draby wpadły, gnając nas do pokoju, gdzie wszyscy, ostrzeżeni przez straż mężczyzn, wstali od stołu.

— Cóż to za zebranie? — zawołał jeden z policjantów. — Dawać dowody!

Zebrani wyciągnęli rewolwery, gotowe do wystrzału.

— Oto nasze dokumenty.

Policja schwyciła również za broń. Chwila śmiertelnej ciszy, a potem:

— Strzelaj! — zabrzmiał głos jednego z organizatorów. — I my możemy strzelać, naboju nam starczy, tylko weźcie panowie policjanci, dwie rzeczy pod uwagę: nas jest dużo, was mało. Poza tym mam nadzieję, że chociaż służycie Niemcom, wiecie jednak o tym, że jesteście Polakami. Natrafiliście na polskie zebranie wolnościowe. Jeżeli nam chcecie szkodzić, to wiecie zapewne, jaki los was czeka. Takie rzeczy wam bezkarnie nie ujdą.

Cisza. Policjanci chrząkają.

— Myśmy po was nie przyjechali teraz, więc i dowody wasze nam nie potrzebne, chodziło nam tylko o waszą rasę (!!!), ale widzę, żeście Polacy, poznaję kilku z was — (było tam kilku miejscowych nauczycieli, urzędników gminnych) — nic wam, naturalnie, nie zrobimy. Możecie być spokojni, pozwólcie nam tylko rozprawić się z tymi zatrzymanymi Żydówkami i z tym Joskiem (Eryk).

— Ten mały, to Żyd? Niemożliwe!

— Ha, ha, sprawdzone.

— Pani dowód? — pyta policjant.

Podchodzę do szafki i wyjmuję „kennkartę”.

— A gdzie mąż?

— W Warszawie — odpowiada za mnie Ala.

Domyślam się, że udało jej się go ukryć, za co dziękuję Bogu.

Wracają pozostali policjanci, obszukali dom, nie znaleźli nikogo.

— Kim pani jest? — pyta mnie policjant.

— Przecież pan trzyma moje dokumenty.

Policjant, Żyd, Polak,  
Niemiec, Wojna,  
Służalczość, Polska,  
Nacjonalizm, Sąd



— Dokumenty mogą być sfalszowane. Te kobiety też zwiły z getta, mają fałszywe dokumenty, a jeszcze jaka bezczelna: Żydówka ma niemieckie dokumenty!

„Niemieckie dokumenty” wymawia po prostu z szacunkiem, jakby wspomniał jakąś świętość.

Ironia losu! Czyż może być bardziej prawdziwy dokument od dowodu Gerty? Niestety, musi milczeć, bo za przechowanie dziecka grozi jej tak samo kara śmierci, jak za pochodzenie. Eryk jest błąd jak śmierć. Gerta wydobywa z torby przywieszoną z sobą karty, chcąc go uspokoić, gra z nim w jego ulubioną grę. Policja rewiduje torby kobiet, wyciąga z torebki fotografie, przeglądając pilnie notatki.

— Co za bezczelność nosić przy sobie fotografię polskiego oficera! — wybucha znów jeden z policjantów.

— To mój mąż, który walczył o Polskę — odpowiada głuchym głosem Zosia. — Niejedną jego fotografię noszę przy sobie.

Zebrani siedzą, jak na przedstawieniu czy w sądzie, gdzie „najwyższy trybunał” w postaci trzech ordynarnych drabów „sądzi” cztery kobiety i jedno dziecko.

„Sądzi za rasę” i wydaje jednogłośnie wyrok śmierci. Zebrani członkowie organizacji wolnościowej okazują żywe zainteresowanie tym obrazkiem, ale nie zabierają głosu w tej sprawie. Szepczą tylko, że Ala, znająca jak wszyscy członkowie organizacji instrukcję o niemieszaniu się w sprawy żydowskie, co może zawsze zagrażać bezpieczeństwu i może naprowadzić, jak to się stało obecnie, na ślady organizacji, powinna była być obojętniejsza.

Ala tymczasem odciąga coraz to innego policjanta do przyległego pokoju. Policjanci jeden przez drugiego przekrzykują się, wygrażając kobietom:

— Zabijemy jak psów, pomścimy naszą krzywdę (jaką?), krzywdę naszych braci!

Stoję wtulona we framugę okna. Podchodzi do mnie kilku członków organizacji, którzy mnie znają z wizyt na Sławku.

— Skąd do was te Żydówki, co za nieostrożność! Skąd je pani zna?

Teraz orientuję się, że mnie wzięto za aryjkę. Przyłącza się do nich policjant. Może powinienam ich w tym utwierdzić, coś mądrego powiedzieć, ale milczę. Po prostu braknie mi sił.

— No, szykujcie się, przed klombem was ułożymy albo trochę dalej koło lasku, żeby pani Alinie nie psuć widoku.

Gerta jeszcze ciągle gra z Erykiem w karty.

Znów podchodzi do mnie jeden z policjantów.

— Ja tam co do pani pochodzenia mam również wątpliwości. Mnie się zdaje, że pani jest Żydówką, wyszła pani za naszego i mąż tu panią ukrywa.

— Czemu pan tak myśli? — pytam, ciesząc się w duchu, że choć Jurek ma u niego dobrą opinię.

— Nie wiem, zresztą może tak nie jest, trzeba by panią przesłać na śledztwo, bo jako tu zameldowaną nie mamy prawa pani rozstrzelać. Trzeba będzie wszcząć dochodzenie.

Jeden z bohaterów, który przeszukiwał tymczasem z wielką gorliwością torebkę Zosi, znalazł w niej list.

O, o, o! Czyta go na głos. Serce przestaje mi bić. To list moich rodziców, pisany do mnie...

W tym pokoju, pełnym wrogów, w tragicznej chwili „sądu” i mającej się odbyć „kary” słowa rodziców brzmią jak słowa pożegnania. Czemuż jednak słowa, drogimi rękoma pisane, myśli i życzenia najukochańszych, odczytywane są przez przekłętą, nikczemną usta?

„Najdroższe nasze dziecko! Odgródzone od nas wielkimi murami i daleką niebezpieczną drogą, a tak nam bliskie, tęsknimy za tobą w dzień i w nocy. Myślmy o tobie i modlimy się, abys choć ty przetrwała. Nasza mała córeczko, każda twoja sukienka, każda twoja drobnostka to nasz talizman. W najcięższe dni i najtragiczniejsze noce, w ciężkie godziny męki w schronach, gdzie człowiek czuje się jak żywcem pogrzebany, radujemy się, że ty nie przeżywasz tego. Piszesz o swoim do nas przywiązaniu, o twojej ku nam miłości, ach, błogosławione twoje listy. Tu u nas jesteśmy zdani na samych siebie, nie ma tu przyjaźni, ludzie są przestraszeni i w męce, w tej gorączce przed śmiercią stają się

sobie wilkami. Dziecko drogie, prosisz nas o przyjazd, ale czy to wam nie zaszkodzi? Czy ta prośba jest podyktowana rozumem czy tylko sercem?”...

Nie mogę zapanować nad sobą. Łzy płyną mi po twarzy. Kilku siedzących obok panów wyjmują chusteczki i podejrzanie wyciera nosy.

Policjant czyta, czyta słowa o miłości i o konaniu, czyta o zbrodni, niesprawiedliwości i grozie, czyta o sercach niewinnych i dobrych, przepelnionych miłością, czyta:

„Nie myśl o nas, myśl o sobie, twoje szczęście jest i naszym szczęściem, innego nie mamy. Twoje życie jest naszym życiem”...

Drab kończy czytanie listu, który nie wywarł na nim żadnego wrażenia.

— Do kogo ten list, do kogo?

— Do znajomej w Warszawie, ale jej już nie znalazłam — odpowiada Zosia.

— Kłamiesz, kłamiesz! — wścieka się chłopisko wymachując rękoma przed nią.

W końcu Ala wyprowadza go na konferencję. Po kilku godzinach wszyscy policjanci są obrobieni i godzą się na okup pieniężny. Oddają połowę naszych zapasów pieniężnych i policja opuszcza nas, a uczestnicy zebrania również rozjeżdżają się.

Zostajemy sami. Ala przyprowadza Jurka, którego ukryła w jakimś chlewku.

Patrzmy długo, milcząco na siebie. Zosia dostaje silnego krwotoku i leży na wpół przytomna. Teściowa spazmuje. Gerta siedzi jak posąg kamienny z Erykiem na kolanach. Ala i ja biegamy od teściowej do Zosi, nie wiedząc, jak im pomóc. Jurek i Cybulski, zupełnie wytrąceni z równowagi, palą papierosy jeden za drugim. Frania w kuchni zalewa się łzami i oświadcza, rzucając mi się na szyję, że wszystko wie i nas nie opuści aż do śmierci (tak się też stało), że członkowie partii to świnię, bo wcale nie reagowali na naszą krzywdę i że ona wypisze się z tej organizacji. Uspokoiwszy się nieco, teściowa i Zosia opowiadają o strasznej akcji styczniowej.

„Uratowałyśmy się, siedząc w schronie. Była tam murowana nisza, do której wchodziło się przez otwór zamaskowany zlewem. Zabrano bardzo znaczną ilość ludzi z szopów, domów i placówek. Z opustoszałych mieszkań wywożono rzeczy. Trwało to kilka dni. Niemcy, do których strzelano z okien i których obrzucano pociskami, z bezwzględny okrucieństwem męczyli ludzi i tak już skazanych na śmierć. Gdy kilka domów stanęło w płomieniach, sądziłyśmy, że nie ma ratunku, ale potem uspokoiło się. Postanowiłyśmy uciec stamtąd, ponieważ nie ma sensu zostawać na miejscu, gdzie zewsząd czeka nas zagłada. Boimy się nowego wysiedlenia i tak życie jest tam straszne. Nie można zupełnie poruszać się po ulicach, po których Niemcy bez uprzedzenia strzelają. Jest na przykład taki młody hitlerowski bandyta, który „kursuje” od 5 do 7 wieczorem, mierząc przeważnie do kobiet. Wyloty ulic są najczęściej obstawione, tak że chcąc dostać się z jednej ulicy na drugą, czasem nawet z jednego domu do drugiego, trzeba wędrować przez dachy, piwnice, skakać przez mury. Przez ulice mogą chodzić jedynie oficjalnie grupy pracujących. Każdy list doręczony przez rodziców, każda paczka odzieży, którą od nich otrzymałam, to narażenie życia, to ciężka i niebezpieczna wyprawa”.

Kiedy w końcu zdecydowały się opuścić getto, porozumiały się ze znajomym kierownikiem placówki — Żydem. Była to grupa robotników pracujących na dworcu. Czekano kilka dni na łagodną wachę i w końcu udało się kierownikowi przetranslokować je na stronę aryjską. Łagodna wacha porządnie obija teściową, poddając w wątpliwość, czy będzie w stanie pracować na dworcu ze względu na wiek. Potem obszukali „szmugiel” pracowników, którzy wywozili ubrania z getta, zamieniając je na żywność u Polaków i opustoszyli im plecaki. Przez trzy dni starały się one jakoś ulokować w Warszawie. W końcu zdecydowały się, że w mieście żyć nie sposób i przyjechały na Sławkę.

Późno kładziemy się spać.

— Będziemy musieli stąd wyjechać — mówi Jurek. — Dwudziestu członków organizacji wie, że tu byli Żydzi. Każdy z nich opowie o tym swej żonie, ta z kolei matce czy też przyjaciółce, rozejdzie się wieść po okolicy, sensacja. Policja ze swej strony też podejmie kroki, ponieważ będzie chciała być kryta przed żandarmerią. Puścili Żydówki przy świadkach! Pozycja Cybulskiego i Ali też mocno ucierpiała. I tak skończyło się szczęście sławkowskie, mały domek nie będzie schronieniem dla bezdomnych, gnanych i prześladowanych ludzi, jego ściany nie będą już nas odgradzać od wrogów, złe oczy nas wytropiły...

Polowanie, Oko, Żyd

Nazajutrz Gerta wyjeżdża z Erykiem. Umieści go na razie u Fiutkowskiego, a potem będzie się starać o jakieś miejsce. Proszę ją, aby i dla nas coś przyszykowała, przyrzeka, ale ja z góry wiem, że sama jest bezradna i nic nie załatwi. Zosia jest chora i tak słaba, że nie może być mowy o jej wyjeździe.

Znów do getta? Może już lepiej kryć się w bunkrach? Ludzie składają się na budowę wielkich schronów. Ale jak okropnie jest myśleć o powrocie do piekła. Obie mają wyrzuty sumienia, że swoim przyjazdem zepsuły nam *locum*. Jak lekkomyślne były listy pisane do rodziców o przygotowanym dla nich schronieniu! Moi biedni starszycy, nie mam już ani dla was, ani dla siebie kąta!

Na razie zostajemy na Sławku z tej prostej przyczyny, że nie mamy dokąd jechać. Cybulski przynosi z gminy coraz gorsze wiadomości, plotki rozchodzą się z niebywałą szybkością. Ala dostaje formalne ostrzeżenie z organizacji za przetrzymywanie Żydów. Siedzimy jak na minie, która w każdej chwili może wybuchnąć.

Wybieram się znów do Warszawy, aby coś wynaleźć, choć nie mam na to żadnych nadziei. W przeddzień mego wyjazdu przyjeżdża Olszewski. Zupełnie nie jesteśmy w nastroju do bimbrowania i muzyki. Teściową i chorą Zosię transportujemy do nisy Frani, ponieważ Bolutek ma zwyczaj latania po całym domu. Staramy się robić dobrą minę dla niepoznaki. Bolek jest w poważnym i jakby uroczystym nastroju. W pewnej chwili oświadcza mi, że mówią w gminie o różnych rzeczach i jeżeli jesteśmy w to wmieszani (słowo „Żyd” jest zbyt straszne, nie zostaje naturalnie wymówione), powinniśmy się mieć na baczności. On ze swej strony będzie w miarę możliwości donosił nam o tym, co mówią na posterunku policji granatowej.

— Jeżeli nie macie dokąd jechać, mogę was na razie umieścić na wsi u wuja. Jurek to mój stary przyjaciel, chce odpocząć. Albo że oficer, a takich chętnie się przetrzyma. Będę wam pomagał...

Jestem wzruszona, bąkam coś pod nosem, nie wiedząc, jaką dać mu odpowiedź.

Tego samego dnia wieczorem dostaję ataku ślepej kiszki. Najbliższy lekarz mieszka w odległości 10 km. Nocą jechać po niego niebezpiecznie. Męczę się okrutnie, nie pomagają żadne domowe środki. Bez przerwy mam torsje. Płacę z bólu i rozpaczę, że przez kilka przynajmniej dni będę przykuta do łóżka, nie będę mogła jechać do Warszawy, a czas teraz jest nam drogi. Nazajutrz torsje ustały, za to przy najmniejszym ruchu bok boli niemiłosiernie. Stasiak z Alą jadą po ciężkiej błotnistej drodze do Miedz po doktora.

Jurek majstruje coś w tajemnicy w stodole. W pewnej chwili ktoś puka do wejścia frontowego, które obecnie, ze względu na pobyt Zosi i teściowej, jest stale zamknięte. Obie uciekają do nisy przy schodach.

Powoli złażę z łóżka i patrzę przez szparę. Nogi uginają się pode mną. Nie, ja śnię chyba. Otwieram drzwi, moi rodzice! Płacę i śmieję się na przemian. Ojciec wygląda na pierwszy rzut oka dobrze, ma twarz okrągłą, pełną, mamusia mała, drobna, siwiutka jak gołąb, o twarzy zmarszczonej jak pieczone jabłko, ma wygląd nie 60-letniej kobiety, ale 80-letniej staruszki. Ściągają ze siebie ubranie, nałożone jedno na drugim. Grzeją się przy piecu.

Dobry wygląd ojca jest, niestety, opuchlizną spowodowaną głodem, ciężką fizyczną pracą i chorobą serca. Kładę go na tapczanie, całuję, rozcieram zziębnięte ręce. Teściowa, Zosia i Jurek są tak dalece przerażeni ich przybyciem, że nie mogą się zdobyć na życzliwe przywitanie. Ból w boku nieznośnie mi dokucza, mimo to krzątam się koło nich. Frania grzeje kawę. Tyle pytań, tyle słów cisnie się na usta — ale wprawdzie niech odpoczną.

Przyjeżdża Ala. Lekarz pojechał w teren na lustrację tyfusowych i nieprędko wróci. Za to Ala wystarała się dla mnie o zastrzyk pantoponu, który natychmiast prawie przynosi mi ulgę. Na widok moich rodziców okazuje serdeczność, wprost tkliwość. Nigdy w życiu nie zapomnę jej tego. Jest jak zwykle gościnna. Krząta się koło nich, nalewa kawę.

— Nie trzeba na razie mówić im — szepcze — o nowym niebezpieczeństwie, przecież aż żal na nich patrzeć, jak są wychudnięci<sup>20</sup> i wystraszeni, niech odpoczną.

Tego dnia kładę się z błogą świadomością, że tuż obok śpią moi rodzice, nie chcę myśleć o niebezpieczeństwie, o tym, że znów grozi mi utrata ich. Dziś jesteśmy razem.

<sup>20</sup>wychudnięci — dziś raczej: wychudzeni. [przypis edytorski]

Jeszcze raz wstaję, zapalam świecę i cichutko wchodzę do ich pokoju. Patrzę na najdroższe twarze i czuję, że nigdy na świecie nikogo nie kochałam, nie Kocham i nie będę kochać tak, jak ich.

Teraz całymi dniami siedzimy w trójkę, przytuleni do siebie i opowiadamy sobie wszystko bez końca. Chcą o wszystkim wiedzieć i ja również o każdym szczególe ich życia. Chciałabym, aby ojciec dużo leżał i żeby dużo jedli, żeby w ciągu krótkiego czasu na Sławku zdobyli jak najwięcej sił. Jedzenie nasze składa się wprawdzie przeważnie z kartofli, mleka i chleba, ale oni i tego tam nie mieli.

— Do ostatniej chwili — mówi ojciec — wahałem się z wyjściem z getta. Ale teraz stało się jasne, że wkrótce getto wykończą. Wprawdzie są tacy, którzy są innego zdania, ale ja ludzię się nie mogę. Wiem, że ciężko urządzić się, nie mając grubej forsy, ale cóż robić, nie mieliśmy się kogo poradzić, a przecież człowiek nie chce umierać, chce przetrwać do końca, jeżeli już tyle przeszedł. Po twoim wyjściu poczuliśmy się zupełnie sami, nikt się już nami nie interesował. Od ciebie długo nie mieliśmy wiadomości. Pewnego razu usiadłem na schodku, ciemno już było, tylko gwiazdy świeciły i pomyślałem, czy to możliwe, abym stracił swoje dziecko, abyśmy zostali bez ciebie. Pamiętasz, jak spacerowaliśmy wieczorem, kiedy byłaś jeszcze mała, podnosiłaś oczy na te same gwiazdy i pytałaś: „Tatusiu, co to są gwiazdy?” Wtedy gwiazdy były życzliwe. Teraz patrzyły na moją posiwiałą głowę wrogo... Pewnego dnia kazano nam natychmiast opuścić dom na Pawiej. Strzelano. Chwytałyśmy w popłochu drobnostki, porwałem miskę do mycia, zostawiając maszynę do pisania. Wytaszczyliśmy jakąś walizę, do której rzucaliśmy w popłochu, co się dało. Wyszliśmy na ulicę, nie mając dokąd pójść. Blokady nieco ucichły na szczęście, ale w każdej chwili mogły się powtórzyć. Do żadnego z szopów nie chciano nas wpuścić, jako nierejestrowanych, z wujkiem porozumieć się nie można było, drogę do niego zamknięto. Bez dokumentów, bez schronu, bez rzeczy, byliśmy skazani. Przypadkiem po dwóch dniach natknęliśmy się na znajomych, mieszkających na „dzikim” terenie. Podzielili się z nami kątem. Ale dom ten był bardziej jeszcze zagrożony od innych i był bez schronu. Nie dostawaliśmy jako niepracujący żadnych kart aprowizacyjnych, a wobec szalonej wprost drożyzny była to klęska...

...Pewnego dnia spotkałem Zosię — opowiadał dalej ojciec — myślałem, że może ona ma jakieś wiadomości o was, ale i ona nic nie wiedziała, na wszelki wypadek podałem jej nasz adres. Dostałem czyraki na plecach, gorączkowałem, straciliśmy już nadzieję na przetrwanie, na domiar złego wszy pojawiły się w mieszkaniu. Wszy — to już koniec. Człowiek zawszony przestaje być człowiekiem. Pewnego dnia leżę w łóżku i myślę o tym, że może lepiej, aby jak najszybciej był koniec, aby skrócił nasze męki. Mamusia siedzi przy mnie ona nigdy się nie skarży, przegląda twoje fotografie. Wtem ktoś puka, wchodzi obcy człowiek-milicjant. (Milicja mogła się swobodnie poruszać po mieście). Pyta o nas. Wręcza nam list i pieniądze od ciebie. Wtedy dopiero dowiedzieliśmy się, że to nie pierwszy list do nas wysłany, że listy twe nie trafiły do nas, podczas, gdy my zrozpaczeni nie wiedzieliśmy nic o tobie, a i ty od nas nie miałaś żadnej wiadomości. List od ciebie! Tego dnia było u nas wielkie święto. Mamusia oplakiwała pieniądze, które nam przyniesiono, posyłką z uszczerbkiem dla ciebie! „Jej tam jeszcze bardziej potrzebne”.

— Ależ — przerywam — przecież to były wasze własne pieniądze, uzyskane za wasz sprzedany pierścionek...

...Teraz wstąpiła we mnie energia — mówił dalej ojciec — byłem chory, słaby, mieszkaliśmy w zawszonym mieszkaniu, ale postanowiłem doczekać, walczyć do końca. Po kilku dniach, kiedy czyraki trochę zagoiły się, poszedłem na wędrowną po getcie. Wypytywałem się, jak urządzać się, jak dostać karty żywnościowe. W końcu znalazłem pracę. Żeby dostać się do szopu albo na „wychodzącą placówkę”, trzeba było mieć duże pieniądze, protekcję albo jedno i drugie. Oparzony już jednym szopem, nie miałem ochoty wszystkiego poświęcać tym „instytucjom”, tym bardziej, że naszą mizerną, ostatnią biżuterię chowaliśmy na wszelki wypadek na stronę aryjską. W getcie były gminne placówki, które pracowały przy rozbiórkach domów w miejscach dawnego getta, obecnie opuszczonego i przez nikogo niezamieszkałego. Aby dostać się na taką placówkę, trzeba było również i protekcji, i nieco pieniędzy, ale już niewiele. Dostałem legitymację i przydział na oficjalne mieszkanie tzn. kąt w pokoju wraz z jeszcze dwiema rodzinami. Wydano mi karty żywnościowe. Pracować trzeba było ciężko. Nieprzyzwyczajony do pracy fizycznej

bardzo cierpiałem, nie miałem dosyć sił, by dźwigać ciężary, a bałem się okazać moją słabość, aby mnie nie wyrugowano. Najgorsza była praca na mrozie. Gdy tak chodziłem do roboty, ubrany w zdobyte gdzieś ubranie robocze, aby nie niszczyć jedyne go dobrego, które może mi się przydać, kiedy znów będę człowiekiem, wyglądałem tak dalece jak żebrak, że nikt z nielicznych pozostałych jeszcze znajomych nie poznawał mnie.

...Od ciebie przychodziły listy i pieniądze — opowiadał dalej — przychodziła Zosia. Jaka to była za każdym razem radość. Do wujka znalazłem drogę przez dachy i dziury i czasem późnym wieczorem, gdy tylko sił starczyło, szedłem doń: zanosilem mu twoje listy. Wujek miał stosunkowo jak na getto dobre warunki — jako główny inżynier w szopie. Zmienił się bardzo. Ciężkie przeżycia, strata ciotki, osamotnienie wycisnęły na nim widoczne piętno. Nie był już tak bliskim i oddanym nam człowiekiem. Stał między nami mur obcości, a może to był tylko egoizm i apatia, które nas wszystkich ogarnęły. Część twoich listów zatrzymywał, gładził papier, czytał niezliczoną ilość razy. Był przybity, ale o każdym twoim telefonie opowiadał z entuzjazmem i podziwem. „Ona sobie tam spaceruje, telefonuje, jeździ pociągami, biedne dziecko!” Z pieniędzy od nas wziętych w swoim czasie oddawał nam po troszeczku. Bardzo się nam te pieniądze przydawały. Żyliśmy, wspominając dawne czasy i żyjąc nadzieją na przetrwanie. Mieszkaliśmy wtedy z rodziną pewnego adwokata, pracującego wraz ze mną. Czasem wieczorami robiliśmy plany, jak będziemy odwiedzając się hitlerowcom. Przede wszystkim nakazemy im, aby co kilka dni przeprowadzali się na inną ulicę: stąd — tam, stamtąd — tu, pozostałych znów na inne miejsce. Po pewnym czasie, gdy już stracą swoje rzeczy, ręce im spuchną od noszenia ciężarów i ogarnie ich niepokój, zaczniemy wysiedlenie, oparte na ich własnych zasadach i przykładach. Niestety, nic gorszego od ich własnych metod prześladowania nie mogliśmy wymyślić. Tymczasem wszy nas gryzły z coraz to większym okrucieństwem. Nic nie pomagało, wieczne pranie, sparzanie wodą, polowania na bieliźnie. Wszy były wszędzie, w każdym domu, w każdym prawie mieszkaniu. Plaga. To były nasze towarzyski niedoli; podczas gdy inni nas opuścili, one trwały przy nas wiernie. Rodzina naszego adwokata tak przywykła do nich, że prawie wcale nie zwracała uwagi na olbrzymie wszyska, łązące im po ubraniu. Dostałem manii prześladowczej. Jeżeli damy się wszom, jesteście straceni! Wobec tego, że w każdym z przepełnionych mieszkań aż roilo się od nich, postanowiłem odosobnić się. W sąsiedztwie stała rozwalona, na wpół spalona kamienica jeszcze z 1939 r. Szukając w gruzach, wypatrzyłem coś w rodzaju izby, którą po pewnej naprawie można było zamieszkać. Każdą wolną chwilę, a było ich niewiele, spędzałem na remontowaniu mojego domostwa. W końcu jako tako załatałem dziury. Powprawiałem, kradnąc w innych rozwalonych domach, drzwi. Gorzej było z ustawieniem kuchenki. Zdolności zduna nie posiadałem na pewno, bo żelazny piecyk ciągle dymił, uprzyjemniając mamusi i tak już „przyjemne” życie. Przystawiałem go bez skutku kilka razy! Kiedy mieszkanie było gotowe, urządziliśmy pożegnanie z robactwem i przenieśliśmy się do naszej chałupki na kurzych nóżkach (jak ją nazywała mamusia), a to z tej racji, że wszystko tam było pochyle, podłoga i sufit powykrzywiane tak, iż stałe miało się wrażenie, że izdebka zapadnie się, a jej ściany złożą się jak w domku z kart. Zbudowałem również dojście do domu, w którym był schron, a w którym na wypadek wysiedlenia mieliśmy się schronić.

Nastąpiło styczniowe wysiedlenie<sup>21</sup>. Tego dnia, a był to poniedziałek, tatuś jakoś ociągał się z pójściem na robotę. Matka go przynaglała, ale ojciec czuł się dziwnie słabo. Gdy do ich uszu doszła strzelanina, zrozumieli, że coś się zaczyna. Zdążyli jeszcze przez owe wymyślone przez ojca przejście dostać się do schronu. Przepędzili w podziemiu kilka dób. Kilkaset ludzi stłoczonych w lochu, mdlało z braku powietrza i głodu. Szczęśliwie w podziemiu była woda. Na mdlejącego bez przerwy kubłami wylewano wodę. Bezustannie słychać było kanonadę. W końcu, gdy nastąpiła cisza i odważono się wyjść ze schronu,

<sup>21</sup>styczniowe wysiedlenie — 18 stycznia 1943 r. Niemcy podjęli próbę wysiedlenia ok. 8 tysięcy osób nielegalnie mieszkających w getcie warszawskim i wysłać je do Treblinki; Żydzi po raz pierwszy stawili wówczas zbrojny opór Niemcom. Podczas pędzenia tłumu na Umschlagplatz wywiązała się walka, Żydzi zaczęli strzelać do Niemców i rzucać granaty; walki toczyły się na ulicach Zamenhofa i Milej, w kamienicach pod adresami Zamenhofa 40, Muranowska 44, Miła 34, Franciszkańska 22; był to akt tzw. *samoobrony styczniowej*. Tego dnia w akcji zginęło wielu członków Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB), a podczas deportacji zostali zamordowani członkowie grupy Oneg Szabat (informacyjnego centrum żydowskiego ruchu oporu, dokumentującego masową zagładę Żydów). Wydarzenia te jednak podniosły morale uwięzionych w getcie. Upamiętnia je wiersz Władysława Szlengla *Kontratak*. [przypis edytorski]

getto znów było opustoszone. Kilka domów opodal jeszcze się paliło. W styczniowym wysiedleniu zupełnie już nie zwracano uwagi na legitymacje. Wzięto najgrubsze szyszki gettowskie. Tatusia placówkę również porządnie oczyszczono. Teraz odczuwano już w getcie zbliżający się koniec. Ulice były zaśmiecone, bo któż miał je uprzątać? Ojciec znów wrócił do pracy. Mamusia całe dni w swojej chatynce na kurzych łapkach czekała z niepokojem na jego przyjście. Aż wreszcie przychodził wymęczony, chory i zboląły, niosąc pod pachą nieco drzewa na ogień, chleb czy kartofle na kolację. Aż znów list ode mnie. „Przyjeżdżajcie, jest dla was miejsce”... Jak się temu oprzeć, jak się oprzeć tęsknocie za mną... Idzie tatuś do Zosi i teściowej, te oświadczają, że też wychodzą z getta, ale nie do nas, gdzieś na Grochów. Wujaszek nie radzi — „róbcie jak chcecie”. W końcu pakują się. Lepsze rzeczy kładą na siebie, gorsze zostawiają u znajomych. Ostatnią mizerną biżuterię zaszywają w ubranie. Daleki krewny, pracownik na „placówce wychodzącej”, umożliwi im wyjście. Kosztuje to dość dużo pieniędzy. Idą na nocną zmianę, aby trudniej było poznać ich stare, zmęczone twarze. Placówka mieści się na Grzybowskiej. Uprzedzają ich, że całymi dniami stoją „łapacze”, czyhając na wychodzące stamtąd na aryjską stronę ofiary, szantażując i odbierając im ostatnie grosze. Nad ranem dwoje starych zmęczonych ludzi, chyłkiem, w obawie, by nie spotkać policji lub żandarmów, przemykała się, kryjąc się co chwila w niszach bram. Ktoś idzie. Jakież głosy! Przylepieni do bramy, czekają. Dwaj mężczyźni przechodzą, nie dostrzegając ich. Znów suną dalej. W końcu są już daleko od placówki. Czekają jeszcze w jakimś zakręcie, aż nieco się rozjaśni i idą do Gerty. Gerta tłumaczy im dokładnie drogę na Sławek, nie wspominając im o ostatnich przejściach. Jak mi później opowiadała, nie miała sił, patrząc na nich, powiedzieć im prawdy. Wróciliby z powrotem, nie widząc ciebie, a tak tego pragnęli.

Byłam jej za to bardzo wdzięczna. Warszawa, miasto, gdzie się wychowali, gdzie przeżyli kilkadziesiąt lat, zrobiła na nich oszałamiające wrażenie. Ulice pozamiatane, ludzie poubierani, ruch-życie-wystawy. Na schodach porządek. Dozorcy zamiatają podwórza. Tak, teraz jeszcze bardziej widać, że tam w getcie agonia.

Do pociągu jeszcze czas. Na dworcu bez dokumentów niebezpiecznie siedzieć, lepiej już chodzić po mieście. Dwoje zagnanych, samotnych ludzi błąka się po swym mieście, wśród swoich gruzów, wśród swoich rodaków. Opuszczeni, bezdomni, bez praw, skazani na śmierć. W szybach wystawowych odbijają się ich pochylone, dziwne postacie, a powieki zakrywają oczy, aby nikt w nich nie dostrzegł kryjącej się zgrozy, aby nikt w nich nie zobaczył tragedii getta, która jakby sfotografowana, zastygła w ich źrenicach.

Jadą pociągiem. Ktoś pomógł mamie wejść do wagonu i ustąpił jej miejsca. Jakże nieprzyzwyczajeni są do grzeczności, jakże odwykli od pomocy nawet w drobnostkach.

Deszcz.

Ojciec kieruje się według mapki, drogami okrężnymi na Sławek, aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Idą pustymi drogami, polami, zmęczone nogi grzęzną po kostki w błocie. Ach, jakże są zmęczeni, ale idą do córki, tam jest dla nich miejsce, tam czeka na nich serce kochające, a to jest jedyna prawdziwa wartość na świecie.

\*

Pewnego dnia znów przynosi Cybulski jedną z „ostrzegających” wiadomości. Opowiadamy rodzicom o ostatnich wypadkach.

— Wrócimy — mówią rodzice.

— Nie, nie.

Postanawiamy, że rodzice pojedą do Warszawy. Tam wyrobią sobie dokumenty. Zosia da im adres miejsca, gdzie można się zatrzymać na kilka dni, a potem pojedą w góry pod Kraków. Jest taka wieś Dobrze, do której przyjeżdżają często letnicy. W Krakowie i okolicy jest podobno „mania żydowska”, a to ze względu na mniejszą ilość Żydów. W 1940–1942 nastąpiło wysiedlenie Żydów z Krakowa.

Wobec tego, że rodzice mają wygląd i obejście „dobre”, to znaczy, że nie przypominają Żydów, więc pojedą na wieś, ojciec poda się za urzędnika, który przyjechał na odpoczynek po chorobie. W krakowskim życie jest stosunkowo tanie, tak że starczy im na pewien czas, a potem zobaczymy, może wojna się skończy, może Czerwona Armia przyjdzie.

Warszawa, Wojna, Miasto,  
Obcy, Cierpienie, Oko, Żyd

Serce, Rodzina

Plan jest niby dobry, ale puścić ich samych w obcy świat? Przejmuje mnie to zgrozą. Namyślamy się.

— Jedźcie — zachęca Jurek — może i my tam będziemy mogli przyjechać.

— A może — zastanawia się ojciec — wrócić do getta i złożyć się na budowę bunkra? Jeżeli znów nastąpi wysiedlenie, czyż nie lepiej zginąć z bronią w ręku, zginąć w wojnie? Przebąkują o obronie na wypadek wysiedlenia.

Patrzę na nich — wymęczonych i myślę: „jak tacy ludzie mogliby walczyć?”

Nie, nie, nie chcę, aby cały wysiłek wyrwania się stamtąd poszedł na marne. Sama myśl powrotu do piekła przejmuje mnie zgrozą.

— Jedźcie do Dobrego. Wieś Dobre — nomen-omen.

Całą ostatnią noc płacząc. Może jechać z nimi, jakże strasznie będzie mi ich znów stracić.

— Ty im nic nie pomożesz, możesz najwyżej pogorszyć ich sytuację — perswadują mi — a zresztą masz Jurka, czy możesz go samego zostawić?

Wiem, że moja energia, moja miłość zawsze może im się przydać. Ale ja przecież Jurka też kocham i nie mogę go opuścić.

Ranek. Stasiak wobec różnych pogłosek obiegających okolicę boi się odwiedzić ich, za to Frania decyduje się szybko:

— Ja odwiozę, ja też umiem powozić.

Szykuję im paczki na drogę. Konie zaprzężone czekają. Dopadam ich, całuję, całuję bez pamięci, jakby w półśnie. W ostatniej chwili ściągam z palca niezbyt zresztą drogi pierścionek i kładę ojcu niewidocznie do kieszeni. Ja młoda, zawsze prędeż sobie poradzę niż oni. Już wychodzą. Chcę biec za nimi, ale Jurek wstrzymuje mnie siłą. „Opanuj się!” Widzę, jak idą zmęczeni, ciągną za sobą nogi. Idą w złe, nieznanne. Cel okazał się mamidłem, los gna dalej: „Idź, idź, Żydzie, wieczny tułacz! Nie ma odpoczynku dla zmęczonych i spuchniętych stóp twoich!”

Gdy wracam po pewnym czasie do pokoju, w którym spali, rzuca mi się w oczy okrwawiony ręcznik. Ojciec, goląc się rano w pośpiechu, skaleczył się. Tulę do ust czerwone plamy. To krew mego ojca...

\*

Po kilku dniach nad ranem wyjeżdża teściowa z chorą Zosią. My sami, jako meldowalni, możemy według Cybulskiego i Ali zostać najdłużej. Czekamy teraz z niecierpliwością na wiadomości od rodziców i teściowej. Czy ich gdzie nie przetrzymano, czy dotarli do celu?

U nas cisza przed burzą.

W końcu dostaję list z Dobrego, że szczęśliwie dojechali. To już dobrze.

Jadę do Warszawy i odnajduję teściową w oficynie na przedmieściu Warszawy. Ładna, biała willa, wewnątrz zaniedbana. Mieszka tam wdowa po lekarzu wojskowym z córką i synem. Pokoje nieopalone, ponieważ kaloryfery są zepsute, a pieców nie postawiono, tak że tylko dwa pokoje, ogrzewane elektrycznym piecykiem, są zamieszkałe. W domu wyjątkowy nieporządek. Żadna rzecz nie leży na właściwym miejscu. Z każdego kąta wylażą szaro-brudne koty, błyskając beczelnie zielonymi ślepiami. W pokojach nieprzyjemna woń kocia.

Ktoś ze znajomych ulokował tu teściową. Doktorowa, czterdziestokilkuletnia kobieta oddała swój pokój teściowej mojej i małej dziesięcioletniej dziewczynce żydowskiej — Edzie. Za mieszkanie wraz z utrzymaniem bierze kilka tysięcy złotych miesięcznie. Nie jest to zbyt dużo, jak na chowanie „przeklętej rasy”, tym niemniej jest to dla nas suma zawrotna.

Przyjeżdżam tam z Gertą, która Eryka umieściła gdzieś w Warszawie, a moją teściową odwiedza co parę dni. Już po drodze Gerta informuje mnie, że Zosia na razie wróciła do getta, że miały obie w Warszawie ciężkie przejścia i zostały obrabowane.

Teściowa wita mnie z wielką wylewnością. Zaraz po wyjściu z dworca warszawskiego zatrzymali ich „łapacze” w bramie na Marszałkowskiej. Ściągnęli z nich obrączki i zegarek. Dzień spędziły u jakiejś znajomej, ale już na drugi dzień ktoś miał do nich przyjechać. Znajomy Zosi, również kryjący się po aryjskiej stronie, umówił się z jakąś kobietą,

Żyd, Wojna, Szantaż,  
Kradzież, Podstęp

poleconą przez kogoś, że je do niej na noc przyprowadzi. Umówiono się, że przyjdą wieczorem, ponieważ po ostatnim szantażu bały się wprost światła dziennego. Jakież było ich przerażenie, kiedy podchodząc do domu owej praczki, zostały zatrzymane przez policję. Wylegitymowano je, oświetlono latarkami twarze. „Pójdziemy na komisariat”. Komisariat, śledztwo — to śmierć. Błagały, by je puszczono. W końcu policjanci dokonali dokładnej osobistej rewizji, nie cofając się przed zdjęciem trykotów, staników i pasków do pończoch (wszystko to odbywało się na jednym z pustych placów Żoliborza). Znaleźli zaszyte pieniądze, zrabowali je i odeszli. Jakie było przerażenie kobiet, gdy po dojściu do mieszkania, gdzie miał być dla nich przygotowany nocleg, zastały drzwi zamknięte. Dobijały się bez skutku. W końcu domyśliły się, że chyba sama praczka nasłala na nie policję. Nie mając rady, wróciły z powrotem tam, gdzie już nocowały. Z powodu przyjazdu gości zamknięto je w ciemnej komórce i tam spędziły noc. Nazajutrz, po obliczeniu swoich „kapitałów”, przekonały się, że niewiele co zostało i Zosia postanowiła wrócić do getta, by sprzedać gabinet, jeżeli nie będzie możliwości urzędzenia się w bunkrze. Tymczasem przypomniały sobie o pewnej starej dobrej znajomej. Skomunikowały się z nią. Ta oświadczyła, że może im zarekomendować schronienie u dr Rak. Umówiły się, że teściowa zostanie u R., a Zosia pójdzie do getta i spróbuje spieniężyć gabinet. Może uda jej się wynieść jeszcze nieco rzeczy.

Tak też uczyniono.

Mała Żydówka Eda uchodziła za bratanek pana R. Była to dziewczynka mądra, miła, miała w getcie rodziców i czteroletniego braciszka. Ogromnie za nimi tęskniąc i szukając życzliwości, przytęgnęła całym sercem do rodziny R., odnosząc się do nich jak do bliskich sobie. Znalazła ona oddźwięk w ich sercach, pani R. traktowała ją jak matkę.

Teściowa moja była na razie zadowolona ze swojej gospodyni. Jest miła, wesoła, wprawdzie bardzo lekkomyślna i niegospodarna, ale za to sprawia wrażenie osoby uczciwej. Dzieci jej, dziewiętnastoletnia Inka i o dwa lata starszy od niej Stefan, są grzeczne i uprzejme.

— Czy na wszelki wypadek moglibyśmy się tu zatrzymać? — pytałam. — Nie na długo zresztą, ponieważ jest tu zbyt drogo dla nas.

R. wprawdzie przyrzekała już przyjąć rodziców Edy i Zosię, a nie jest wskazane ani bezpieczne, aby dużo Żydów kryło się razem, tym niemniej przyrzeka nam użyć na krótko schronienia.

Wyjeżdżam zadowolona, że choć jest gdzie zatrzymać się.

Na razie na Sławku nic się na pozór nie zmieniło, ale wszyscy są szalenie zdenerwowani, przewrażliwieni, po prostu czuje się napięcie w powietrzu.

Trzeba jechać...

— Zostańcie — prosi Ala — to się jeszcze wszystko rozejdzie po kościach, przecież tam w Warszawie też jest niebezpiecznie.

— O, i jak jeszcze!

Dostaję list od rodziców, pisany w Warszawie.

„Byliśmy zmuszeni, z powodów od nas niezależnych, przyjechać do Warszawy. Jesteśmy tu już od trzech dni, ale też nie możemy się urządzić. Wracamy z powrotem”.

Wracamy z powrotem. List pisany ołówkiem w pośpiechu, jakby na kolanie. Jakże zmieniony charakter pisma ojca! „Wracamy z powrotem”. Ile rozpaczy w tych słowach, z tragicznym zygakiem skreślonym niecierpliwą ręką.

Chodzę, jak pijana. Koniec marca — bzy przed domem wypuszczają pąki. Ala oczyszcza drzewka od jakichś plamek. W powietrzu wiosna! Wiosna zawsze budzi nadzieję. Natura powraca do życia po śmierci — zimie — i zdaje się, że wszystko powinno, musi żyć! Kot-matka grzeje się na słońcu. Podnoszę go. Chciałabym być tobą, grzać się jak ty na ciepło i nie myśleć o jutrze. Ach, czemuż urodziłam się człowiekiem?

Wiosna, Kot, Kondycja  
ludzka, Wojna

## PO WYJEŹDZIE ZE SŁAWKA!

Jest ciemno, Stasiak pogania konie — żegnaj Sławku! Przytułam się do mego męża.

— Jureczku, nie martw się, jakoś sobie damy radę, jakoś tam będzie. Obyśmy tylko byli zawsze razem!

Jurek obejmuje mnie.

Małżeństwo, Miłość,  
Kondycja ludzka, Los,  
Śmierć



— Cóż, Emuś, życie jest przypadkiem, a śmierć preznaczeniem. Musimy przecież kiedyś umrzeć.

A potem cicho deklamuje smutny wierszyk: „Rozdzieli nas drogi nieznanne i fale dalekich mórz. Rozdzieli nas ludzie niedobrzy i dobrzy ludzie, i Bóg”. Cisza. Przed stacją żegnamy się ze Stachem, klepię po pysku starego konia, Maćka.

W pociągu stale denerwuję się. Podróżowałam zawsze sama, a teraz boję się, aby ktoś nie zwrócił uwagi na Jurka.

Wydaje mi się taki wysoki i rzucający się w oczy w swojej skórzanej kurtce.

W końcu Warszawa. Szum, ruch, Boże, żeby i nas nie zaczepiono po wyjściu z dworca, ale jakoś mijamy niebezpieczną strefę. Jedziemy dorożką aż do przystanku tramwajowego, idącego *direct* na Sadybę. Każdy mundur policjanta wprowadza nas w niebywały strach. Po ostatnim wpadunku boję się po prostu każdego policjanta.

Zastajemy u R. teściową i Zosię, która dnia poprzedniego wróciła przez placówkę z getta. Dowiaduję się od niej, że rodzice moi jako tako urządzili się u chłopca, przez kilka dni zażywali błogiego spokoju, ale w końcu dostali wezwanie do wójta, jako osoby nowo przyjezdne. Ojciec postanowił wyjechać.

W Warszawie tułali się przez kilka dni za duże pieniądze, w końcu widząc, że urządzić się nie sposób, wrócili. Ojciec ma projekty na jakiś bunkier, poza tym getto szykuje się do obrony.

— Twój ojciec entuzjazmuje się tą organizacją i aktywnie pracuje. Namawiał mnie, abym została i przyłączyła się do nich, ale ja to uważam za ostateczność, trzeba wykorzystać wszystkie możliwości urzędzenia się tutaj.

— Opowiedz mi — proszę — jeszcze coś o rodzicach.

— Cóż, mieszkają tam, gdzie mieszkali. Raz spotkałam twego papę, jak szedł z bochenkiem chleba. Tego dnia nie mogłam w żaden sposób nigdzie dostać pieczywa i spytałam się ojca, w jaki sposób go zdobył. Dostał go z gminy. Mimo moich protestów ofiarował mi połowę chleba.

— Czym się mogę panu odwdziaczyć? — spytałam.

— Tortem po wojnie.

— Boże, obym mogła spłacić jak najszybciej mój dług!

Trzeba jednak zrozumieć, że żaden tort w czasie normalnym nie może być równowarty z połówką ciemnego i kwaśnego chleba, którą mój ojciec odstąpił w jego sytuacji i w owym czasie.

Nieco rzeczy udało się Zosi przynieść, a część gabinetu sprzedać za psie pieniądze jakiemś dentyście aryjczykowi, który mając stosunki z Niemcami, mógł go wynieść z getta.

Więc jesteśmy już w Warszawie. Rozpakowuję moją jedyną walizkę. Z rzeczami nie mam kłopotu.

— Co myślicie robić? — pyta teściowa.

— Kryć się nie możemy, nie mamy na to pieniędzy. Trzeba jakoś oficjalnie urządzić się. Może znajdziemy mieszkanie jako aryjczycy. Poproszę kogoś ze znajomych, aby nam dali rekomendacje. Może i pracę jakąś znajdziemy. Poza tym mam część mebli, jakieś rzeczy u znajomych, sprzedam je.

— Ale czy ci wydadzą?

— Spróbuję.

Co dzień rano idę na miasto, zwracam się do wszystkich znajomych, których uważam za stosunkowo życzliwych, z prośbą o pomoc. Przede wszystkim trzeba mieć zabezpieczony dach nad głową. Ale okazuje się, że nasze „lipowe” dokumenty na Warszawę nie nadają się, nie możemy się na nie meldować, a bez meldunku nie możemy oficjalnie mieszkać. Za nowe dokumenty chcą bajońskie sumy, a nie możemy znaleźć tańszego źródła. Nie mamy tyle pieniędzy...

Pani Alina oświadcza, że wydać mebli, do których przyzwyczaiła się przez dwa lata, nie zgadza się, ale może je odkupić.

Ustalamy śmiesznie małą sumę. Ale pani Alina zwleka z wypłatą z dnia na dzień. Pan Radowski zaufany wujka, u którego część naszych rzeczy była złożona, również niewyraźnie się zachowuje. Wie, że sama nie mogę do niego chodzić, ponieważ w domu, gdzie

Chleb, Wojna

mieszkam, niebezpiecznie mi się pokazywać, więc na moje listy odpowiada wykrętnie, przez telefon sam oznajmia mi, że go nie ma.

Jeszcze ciągle myślę o wyciągnięciu z getta rodziców i wujka, ale są to zupełnie nieziszczalne marzenia, ponieważ sama nie mogę się urządzać. Tylko nocami mogę myśleć o tym i wyobrażać sobie różne szczęśliwe niemożliwości.

Wielkanoc. Wiosna. Na drzewach pojawiły się pąki, zakwitły bzy, zazieleniło się.

Sadyba Czerniakowska przybrała nową szatę. Opodał, w willach, bogaci, spokojni ludzie wynosili swoje leżaki na werandę, cztery rasowe psy japońskie milionerki Rejtowej, ubrane w nowe, kolorowe wstążeczki, czekały na przechodniów przylepiając mordy do parkanu. Co dzień, gdy zmęczona przyjeżdżałam z miasta, bawił mnie ten widok. Co tydzień płaciliśmy pani R. rachunki. Były kolosalne. Z przerażeniem stwierdzaliśmy, że nasza kasa galopująco pustoszeje. Dzwoniłam do wujka, pytałam o rodziców. Niestety, żadnej dobrej wiadomości nie dostawałam. Nie miałam już z czego posyłać im pieniędzy, a moje coraz bardziej alarmujące prośby i błagania o wydanie mi rzeczy albo pieniędzy za meble, pozostawały bez skutku.

Pewnego dnia udałam się do Jasi. Rodzice byli u niej przed wejściem do getta. Opowiadała mi za każdym razem o tym ze łzami w oczach. Takie to było straszne, takie straszne. Zostawili u niej swoje aryjskie dokumenty. Siedziałam u niej w kuchni. Jasia krzątała się przy obiedzie.

— Już nie wiem, Jasiu, do kogo się zwrócić. Może by tak do Fiuka?

Fiuk to jakiś krewny Jasi, który przez pewien czas mieszkał z rodziną u nas w domu. Był bardzo biedny i rodzice pomagali mu. Potem dostał posadę w ministerstwie jako woźny i w święto przychodził często do rodziców, prezentując swoje dorastające dzieci. Przy każdej okazji zapewniał o swojej wdzięczności dla nich. Robił wrażenie spokojnego i uczciwego.

— Fiuk zawsze się tak o państwa dopytuje. Kiedy mu opowiedziałam, że pani rodzice byli tu, nie mógł odżałować, że ich nie widział. Niech się pani do niego zwróci. Taki prosty człowiek może mieć więcej serca i zrozumienia niż inny.

— Tak, Jasiu, myślę o tym.

Wiem, Olszewski, Jasia, Frania, Stasiak to nasi prawdziwi przyjaciele.

Tęgoż dnia idę do Fiuka. Zastaję go wraz z żoną. Prawie nie poznają mnie, potem są jacyś zakłopotani, ja również nie wiem, jak się mam zachować. Właściwie są to zupełnie mi obcy ludzie. Prośba o coś zawsze sprawiała mi trudność, a teraz słowa po prostu więzną mi w gardle. Przemagam się.

Fiuk oświadcza, że ma znajomego na wsi i tam myślał ulokować moich rodziców. Wobec tego, że znajomy ten ma duże stosunki w okolicznych wsiach i majątkach, więc może uda mu się Jurka urządzić na jakiejś posiadzie.

Nazajutrz jest niedziela. Nie tracąc czasu, postanawiamy, że obaj pojedą do Grójca. Fiuk przedstawi Jurka jako kuzyna wysiedlonego ze Śląska. Jadę do domu wprost szczęśliwa — jest nadzieja na urządzenie się!

Nazajutrz jedziemy w wesołym nastroju na Natolińską do Fiuków. Obmyśliłam już szczęśliwe plany, jak to my, urzędzeni na wsi, sprowadzimy rodziców. Tak, człowiekiem pracującym nikt się zbytnio nie interesuje. Jeżeli przyjedziemy na pracę, szybko zaaklimatyzujemy się.

U Fiuków już czekają na nas. Oboje rodzice, dziewiętnastoletnia córka wymalowana i ubrana z tanią elegancją, znałam ją jako małą dziewczynkę i po prostu trudno mi ją poznać, oraz dwóch chłopaków — trzynastoletni i ośmioletni. Przedstawiają nas jako krewnych, ale Janka — córka wie, kim jesteśmy. W pewnej chwili przychodzi przyszły zięć, narzeczony Janki. Jest to młody dwudziestokilkuletni człowiek o twarzy wyjątkowo niesympatycznej i chytrych, rozbieganych oczach, robi na nas wrażenie bardzo niekorzystne i z przerażeniem dowiadujemy się w trakcie rozmowy, że wie, kim jesteśmy. Zapewnia nas o swojej przyjaźni i czym więcej mówi o swojej życzliwości, tym bardziej boję się go i nie wierzę mu. Godzina odejścia pociągu zbliża się i Jurek z Fiukiem zabierają się w drogę. Ziutek, takie jest imię narzeczonego Janki, pragnie mnie odprowadzić do domu, ale ja ze względów ostrożnościowych pozwałam się tylko odprowadzić do tram-

waju i jadę w odwrotnym kierunku, chcąc zatrzeć ślady za sobą. Ten człowiek nie podoba mi się.

Na drugi dzień Jurek wraca. Gospodarz, u którego byli, przyrzekł wystarać się o coś dla niego. Jest to człowiek sympatyczny, szczerzy, na razie dał mu list do swego przyjaciela, administratora wielkiego majątku hrabiowskiego w Tunelu koło Trzebini.

— Mam nadzieję, że on pana urządzi.

Jurek ze swoją męską postawą, jasnymi oczami i szlachetną twarzą wszystkim się podoba, we wszystkich wzbudza zaufanie.

Teściowa rozpacza: w taką drogę, tak daleko, to jest niebezpieczne.

— A w Warszawie jest bezpiecznie?

Zresztą jaką mam radę? Całą noc nie śpię, może nie pozwolić mu jechać, co robić, kogo się poradzić? Słabej, bezradnej Zosi? Zdenerwowanej teściowej? Wiem, że jesteśmy jak lupinki orzecha podczas burzy na morzu, ale nie mamy na to rady — albo przetrwamy burzę, albo fale nas pochłoną...

Jurek jedzie. Oczekuję z szalonym niepokojem. Boże, żeby szczęśliwie dojechał!

Rano ktoś stuka do furtki. „Może Jurek przyjechał” — myślę. Wyskakuję z łóżka i biegnę do okna. Wzdłuż domu idzie kilku mężczyzn, jacyś urzędnicy czy znajomi. Zosia z teściową jeszcze śpią. Budzę je. Wtem drzwi bez pukania otwierają się i dwóch panów z teczkami wchodzi do pokoju.

— A kto tu mieszka? — pytają R., która wsuwa się za nimi. — Meldowani?

— Nie, niedawno przyjechali.

Podajemy dowody. Z sąsiedniego pokoju dobiegają nas słowa: Jakubowiczowa, nie-meldowani, dowody z urzędu śledczego.

Jak to dobrze, myślę, że Jurka nie ma w tej tragicznej chwili. Gotowam to wypowiedzieć mojej teściowej.

— Proszę się ubrać, pojedziemy do urzędu śledczego.

Ubieramy się.

Swoim zwyczajem, który już poznałam w Sławku, lustrują torebki, wywlekają wszystko z walizek.

— Co to za męska garderoba?

— To syna pani R.

— A pani rzeczy?

— Moje są w szafie.

— Kto to jest? — pytają na fotografię Jurka.

— To mój mąż.

— A gdzie on?

— Nie żyje — mówię głuchym głosem i sama boję się tej odpowiedzi. Boże, może wymówiłam w złą godzinę!!!

Teraz Zosia.

Jeden z urzędników zadaje tysiące pytań Adasiowi, który ma na wszystko jednakową odpowiedź: nie wiem, proszę pana. Mówi to przymilnie i z uśmiechem na twarzy, ale panu urzędnikowi odpowiedzi nie bardzo są potrzebne. Brutalnie ściąga z małego koszulkę i jeszcze brutalniej sprawdza jego przynależność rasową. Dziecko płacze. Eda bierze je na ręce i uspokaja. Znow targi, płacze, błagania.

## WĘDRÓWKI PO WARSZAWIE

Część pieniędzy wędruje do kieszeni urzędników. Jeden z nich, zachowujący się możliwie najspokojniej, na pożegnanie mówi mi:

— Niech pani ucieka stąd jak najszybciej. Jeszcze nieraz będzie tu niejedna taka wizyta-rewizja. A może i ktoś inny przyjechać.

Tęgo wieczora Jurek przyjechał i opowiada o życiu w Tunelu. Administrator przyrzekł mu dać znać, jak tylko zwolni się jakieś miejsce, w każdym razie zapewnił go, że nastąpi to szybko.

Ach, jakie tam życie! Spokój, o Żydach wcale się nie mówi. Administrator chciał go jak najdłużej zatrzymać. Był wyjątkowo serdeczny i gościnnie.

Urzędnik, Wojna,  
Służalczość, Antysemityzm,  
Polowanie

Urzędnik, Wojna,  
Polowanie, Pieniądz, Interes

— Właściciel majątku, hrabia, któremu mnie przedstawiono, okazał się również miły. Podobno zrobiłem na nim korzystne wrażenie.

Marzymy teraz o szczęśliwym Tunelu, a na razie powinniśmy się jak najszybciej wyprowadzić, ale dokąd. Nie mamy do kogo się zwrócić. Jedziemy do Fiuka. Ziutek bierze się dziarsko do dzieła, jedzie do swoich znajomych, szukając dla nas *locum* i przedstawiając Jurka jako krewnego. Wreszcie lokuje nas u jakichś znajomych Fiuków. Tam możemy zatrzymać się parę tygodni czy miesięcy, a przez ten czas przecież coś się z pracą wyjaśni. Nowe mieszkanie na Złotej składa się z czterech pokoi. Właścicielem jest wdowiec geometra i jego kochanka, młoda wiejska dziewczyna, Mierzycka Marysia, krewna Fiukowej. Stąd ta znajomość. Połowę mieszkania zajmuje pracownia protez, a nam użyczają przejściowy pokój stołowy. Ma to tę nieprzyjemną stronę, że stale jesteśmy wszystkim na oku. Jurek twierdzi, że nie wolno nam siedzieć w domu, ponieważ może to wzbudzić podejrzenie, wobec tego całymi dniami wędrujemy bez celu, narażając się łapaczom ulicznym. Wędrowki te są po prostu koszmarem. Osłabieni złym odżywianiem, łazimy po Warszawie. Ja jestem przerażona, stale pod wrażeniem, że ktoś nas obserwuje, że za chwilę nas zatrzymają. Co dzień chodzimy do fabryki, odwiedzić panią Alinę, która jest stale albo nieuchwytna, albo solennie przyrzeka przynieść pieniądze. Omawiamy termin i miejsce, a ona nigdy na te spotkania nie przychodzi. Jesteśmy bezradni. Kręcimy się bez pieniędzy. Mamy jeszcze dwadzieścia dolarów, ale wahamy się przed ich zamianą, zostawiamy je ciągle na gorszą chwilę. Teściowa z Zosią też znajdują mieszkanie czasowe na Żoliborzu. Tam przyjeżdża na Sadybę niespodziewanie Eryk. Jego opiekun miał jakąś scysję z sąsiadką. W trakcie kłótni chłopczyk usłyszał jak mu wygrażała: „a kto jest ten chłopak, co u was mieszka, czy to czasem nie Żyd? Trzeba sprowadzić żandarmów!”

— Wziąłem czapkę — mówi mały — i niespostrzeżenie pobiegłem na stację. Na szczęście mamusia zostawiła mi kilka złotych, tak że mogłem wykupić bilet. W domu na Złotej nie wolno mi się pokazywać, więc tu przyjechałem.

— Wpadłeś, Eryku, z deszczu pod rynnę.

Pani J. biega całymi dniami w poszukiwaniu jakiegoś miejsca. Ma przy tym wielkie trudności z pieniędzmi, ponieważ pieniądze były złożone wspólnie z bratem u jakiegoś znajomego arytyczyka, który nie chce jej nic wydać, tłumacząc się tym, że bez jej brata wydać nie ma prawa. Był to naturalnie wykręt. Brat pani J. zginął w getcie, w ten sposób pieniądze miały zostać w rękach „uczciwego” przyjaciela. Los pani J. — z dwojgiem dzieci i mężem o bardzo semickim wyglądzie był nie do pozazdroszczenia.

Do R. wpadliśmy na krótko, aby poinformować się o matkę i Zosię. Pani R. odwiedzała je. Nasze wizyty u nich były zbędne ze względu na niebezpieczeństwo. Przewieszony przez balustradę balkonu ręcznik miał oznaczać spokój i wstęp dla nas. Byliśmy tam dosłownie kilka chwil, aby znów nie dostać się łapaczom i aby nikt nas tam nie zastał.

Któregoś dnia otwiera nam furtkę Inka, zmieniona nie do poznania.

— Znów wpadunek — szepcze — opowiem wam wszystko, chodźmy nad wodę.

Siadamy na trawie nad rowem. Dzień jest ciepły, prawdziwie wiosenny. Wpatruję się w biegnącą wodę, Inka siedzi między nami.

— Pani J. jak zwykle wyszła na poszukiwanie mieszkania, uprzedzając, że jeżeli nie wróci na noc, żeby się nie niepokoić, bo może zatrzymać się u męża w śródmieściu. Mama też pojechała do miasta. Siedzę z dziećmi na górcie. Wtem stukanie do furtki. Jakiś mężczyzna stoi z teczką pod pachą. Wygląda na urzędnika elektrowni czy komisarza zarządu. Biegnę, otwieram. Wchodzi, a za nim kilku, nie wiadomo skąd, jakby spod ziemi wyrosli, widocznie schowali się za drzewami. Wchodzą do domu. Rewizja. Tajna policja. Na górcie znajdują się dzieci, Adaś, Eryk, Eda. Proszą o dokumenty, przedstawiam im metryki.

— Gdzie mieszkają?

— Na wsi, przyjechali na kilka dni.

Sprawdzają chłopców, śmieją mi się w oczy.

— Gdzie rodzice?

W końcu każą się ubrać Erykowi, Edzie i Adasiowi i marsz w Aleje Ujazdowskie.

Trzymam płaczącego Adasia na kolanach, a z obu stron bladzi z przerażenia Eryk i Eda przykucnęli przy mnie. Nasza grupa odbija się w lustrze. Jak boleśnie wyglądamy! Przed

nami pięciu agentów. Straszą nas rewolwerami, krzyczą, grożą. Jeden z nich wystrzelił na postrach.

— Zabijemy was na miejscu! Zostaw ich, bo tak i ciebie zabijemy!

Proszę, błagam, aby poczekali, może ktoś ze starszych nadejdzie, mam przy sobie zaledwie kilka złotych. Zabawiam ich rozmową, jak mogę. Przyjmuję zaloty wręcz ohydne jednego z nich, tylko żeby poczekał. W końcu przed samą godziną policyjną przychodzi mama i Stefan. Na Stefana rzucają się jak na zwierzynę, znów Żyd. Tym razem pomylili się. Mama też pieniędzy nie ma. Pani J. nie przyjdzie już, bo późno, zostanie na noc w mieście. Agenci źli, że niepotrzebnie zmarnowali tyle godzin na czekanie, są nieubłagani. W końcu mama uprasza jednego z nich, aby pojechał szukać panią J. Znamy adres mieszkania. Jest to wprawdzie bardzo niebezpiecznie pokazywać agentom, gdzie Żyd mieszka, ale trudno, nie ma innej rady. Jak pozwolić na śmierć dzieci? W nocy przyjechały obie z mamą. Znów targi. W końcu zabrali wszystkie lepsze rzeczy i kilka tysięcy złotych. Gerta powiadomiona już, naturalnie, swoją część za Eryka zwróci. Ale po tym wszystkim pani J. nie ma się już gdzie z dziećmi podziąć. A najgorsze, że męża skrytka też już właściwie jest zdradzona. Gerta dziś zabiera Eryka. Szykuje mu jakieś miejsce pod Krakowem.

Wieczorem wpada Stefan, cały dygoce. Zajechała maszyna z żandarmerią do R. z sąsiedniej willi. Teściową i Zosię chowamy do szafy. Pani J. z Adasiem na stryzek, przykrywamy ich płachtami. Żandarmi otaczają nasz blok. Jurka chowamy w skrzyni i przykrywamy papierem i książkami. Te wszystkie zaimprovizowane kryjówki mają wiele felerów i wprawniejszym okiem dostrzegłoby się schowanego. Dla mnie i dla Edy nie ma możliwości kryjówki. Kładę naprędce chłopkę Inki, pamiątkę po jakimś Zakopanem, na głowę chustkę i pracowicie zabieram się do zmywania talerzy. Może na służącą nie zwrócą uwagi. Eda odrabia lekcje, rozłożyła przed sobą książkę, zeszyt i pilnie przepisuje, wysuwając język z napięcia. Mała rączka drży i litery wychodzą niewyraźnie. Adaś ma kaszel. Inka z Rakowską są na tarasie, skąd co chwila przybiegają z wiadomościami. Wyprowadzają wszystkich z domów. Pierwszą R., córkę, trzy młode kobiety i trzech mężczyzn. Maszyny odjechały, a może się jeszcze wrócą. Nasi schowani wychodzą z kryjówek. Teściowa dostaje ataku sercowego. Waleriana nie pomaga. Na śmierć jest zawsze pora, na to sobie każdy może pozwolić, droga otwarta. Lepiej żyć źle, ale żyć, bo zawsze jest nadzieja przetrwania. Nie zawsze jednak jesteście tego zdania.

Po kilku dniach wiadomości: u pani R. kryło się trzech Żydów. Rozstrzelano wszystkich wraz z gospodarzem, córką, stróżem i sąsiadem z pobliskiej willi, który tam przypadkiem zaszedł. Meble i rzeczy, które uprzednio zapieczętowano, następnego dnia po rozstrzelaniu właścicieli wywieziono.

Niemcy są narodem praktycznym, nie znoszą, aby się cokolwiek zmarnowało.

Wracamy do domu. Strojne pary spacerują po ulicach, gwar, śmiech, na rogach sprzedają kwiaty.

— Chodź — ciągnie mnie za rękaw Jurek — co to za stanie na ulicy!...

— Tak, masz rację, zatrzymywać się na ulicach nie jest wskazane, gdy idziemy szybko, twarz swoją trudniej obserwować, zlewasz się z tłumem. Tak, tak, ale to przecież mimo wszystko, mimo getta, śmierci, mimo agentów i żandarmów, mimo tropienia, łowienia, mimo obozów, jest wiosna i są kwiaty...

Zawsze z utęsknieniem czekam na noc. Wtedy kładziemy się spać. Jestem tak zmęczona, że momentalnie prawie zasypiam. Leżymy obok siebie. Możemy szeptać sobie to wszystko, o czym myślimy, a co w ciągu dnia może być podsłuchane przez czyjeś niepowołane ucho.

— Chciałabym tak przy tobie usnąć i więcej nie obudzić się!

Czasem mam chęć zażyć luminal, ale Jurek odrzuca to.

— Trzeba przeżyć!!!

— Ale przecież to niemożliwe, Jureczku.

— Możliwe, kochanie, zawsze może być gorzej.

Często płaczę. Mama, ojciec, cały tłum ludzi przesuwa mi się przed oczyma. Krewni, znajomi, przyjaciele, którzy dziś już nie żyją. Jak się to stało, może ja śnie! Łkam, wtulona w ramiona Jurka.

— Emuś, masz przecież mnie.

Niebezpieczeństwo, Śmierć

Wojna, Miasto

— Bez ciebie przecież ani minuty bym nie żyła, ty i ja to jedno. Ale zrozum, ja ciągle przeżywam ich mękę, ich strach, Boże, Boże!!

Nazajutrz od rana muszę się przyjemnie uśmiechać. „Pokazywać spokojną twarz”. Marysia, sąsiadka Bielińska oraz ludzie zatrudnieni w pracowni protez przynoszą codziennie jakieś nowinki polityczne albo „żydowskie”. Tu wykryto kryjówkę w podziemiu, to znów na Złotej, o kilka bram od nas zatrzymany przez policję Żyd wystrzelił. Jednego z policjantów zabił, reszta rzuciła się za nim. Zdążył wpaść do domu. Zamknięto bramę, przyjechała maszyna z żandarmerią, będzie rewizja. Jeśli go tam nie znajdą, bo może uda mu się przez dachy przejść, to mogą całą ulicę zablokować. Tak, wszystko możliwe, dla jednego Żyda warto przeszukać całą ulicę, warto kilkudziesięciu żandarmów posłać na robotę. Ciekawe tylko, że cena życia żydowskiego tak niska, właściwie bezwartościowa w mordowaniu, ma tak wielką wartość w tropieniu go. Tak się to składa.

Mijają dni. Marysia i jej luby, ten sędziwy geometra, coraz to przypominają nam termin wyprowadzki. Marysi ciężko obyć się bez stołowego, a oprócz tego dozorca i rządca wspominali już kilkakrotnie o tym, że nie jesteśmy meldowani. Pewnego dnia znów jedziemy na Sadybę, na balustradzie powiewa ręcznik, droga otwarta.

Pani J. z dziećmi na szczęście udało się wyprowadzić. Mieszka teraz niedaleko. Eryka wysłano pod Kraków. Matka i Zosia jakoś żyją. Tego dnia Rakowska i Inka są w dobrych humorach.

— Chodźmy nad wodę, porozmawiamy!

Ale obie, zapominając o ostrożności, wołają:

— Tam nikt nie przyjdzie, już na pewno uspokoiło się!

Siedzimy, gawędząc, godzinę.

Nazajutrz niedziela. Jurek pojedzie rano do Grójca, może tam jest jakaś praca. Listu z Krakowa na razie nie ma, ale może każdego dnia przyjść. Najgorzej, że tracimy znów mieszkanie...

W końcu żegnamy się. Inka ma nas odprowadzić do przystanku. Kilka kroków za furtką Jurek zatrzymuje się.

— Zapomniałem wziąć tytoń.

— Nie wracaj się, to zły omen.

Zły czy dobry, nie wierzę w przesady, ale gorzej, jak Jurek zostanie bez palenia. Może w poniedziałek coś kapnie od Aliny, która już na ten raz solennie obiecała. Ale na razie pieniędzy na tytoń nie ma. Mimo to idziemy naprzód.

Zza rogu nadjeżdża niemiecka maszyna. Wyskakuje z niej SS-man i pyta nas, gdzie tu ulica Okrężna 55 (adres R.). Jurek uważnie rozgląda się po numerach. Jaki on spokojny. W końcu wzrusza ramionami.

— Tu jest Okrężna, ale jaki dom, nie mam pojęcia, ja nie jestem stąd.

Odchodzimy, idę szybko.

— Nie leć — szepcze Jurek — spokój.

Inka jest błada jak śmierć. Maszyna jedzie dalej. Przy przystanku zatrzymujemy się.

— Wróć do mamy. Nic nam nie zrobią, nikogo nie zastali.

— Inko, jeżeli pójdziesz, będą się o nas pytać.

— Może mnie nie poznają, zresztą powiem, że was nie znam, żeście się o drogę pytali, trudno, ja mamy samej zostawić nie mogę.

Biegnie do domu, my wsiadamy do tramwaju. Dopiero w domu padamy sobie w objęcia.

— Juruś, jak to było.

— Gdybym się wrócił po tytoń, już byśmy nie żyli.

— Słuchaj, ale co z R. i co z Inką? Boję się, żeby Inka nie wygadała się. Jeżeli ją poznali, będzie źle.

Nazajutrz rano Jurek ma jechać do Grójca. Wstępujemy do F., który ma mu towarzyszyć; zabierają najmłodszego synka, tytułującego mnie cicią, a Jurka wujem, a który ze względu na jego aryjskość i wymowę andrusa z Powiśla, jest wspaniałym alibi w pociągu. Ja zostaję u F., Jurek wyjeżdża. Siedzę z Fiukową w kuchni i wspominam rodziców, wujków. Już zabieram się do wyjścia, kiedy niespodziewanie wchodzi Jurek z jakimś jegomościem w ciemnych okularach.

— Nie pojechałeś? — dziwi się.

Wojna, Żyd, Polowanie,  
Miasto

Jurek jest blady, usta mu drżą.

— Spotkałem kolegę.

Głos jego brzmi nieswojo.

— Pozwól na chwileczkę.

Wchodzimy do pokoju.

Młody człowiek w okularach i nieskazitelnej świeżości szarym garniturze, to agent-szmalcownik. W chwili, gdy Jurek przechodził przez kontrolę, pokazując bilet, agent podszedł i poprosił go o dowód. Fiuk z małym, idący przed Jurkiem, nie zauważyli zapewne, że go nie ma. Zaprowadził go w Aleje Ujazdowskie. Na zegarek i wieczne pióro, które Jurek mu ofiarował, nawet nie spojrzął. Dopiero, gdy doszli do wrót urzędu, na usilne prośby Jureczka zmiękł i przystąpił do targów. Jurek przy sobie pieniędzy nie miał. Wiedząc, że jestem u F., tam go sprowadził. Targi.

Siedzimy przy stoliku. Ktoś by pomyślał, że to dobrzy znajomi. Troje młodych ludzi przy święcie ucina sobie towarzyską rozmówkę. Tylko że przed jednym leży rewolwer, tylko że u dwojga pozostałych oczy wyrażają rozpacz i niepokój, tylko że ciągle powtarzają się dziwne słowa: „Nie dacie tyle, to niech was wystrzelą”.

— Ale skąd wziąć?

— A co to mnie obchodzi?

Proszę go, tłumaczę. Jurek siedzi cicho. Każdy muskuł w nim drga.

— Źle zrobiłem, że tu przyszedłem. Raz byłby koniec, po co i ciebie męczyć.

— Mówisz głupstwa.

Targi, targi o nasze życie. Godzina, dwie, trzy. W końcu oddaję 10 dolarów, czerwone korale, które dostałam od Zosi „na szczęście”, srebrną papierośnicę, podarunek Ali. Zabiera również z portmonetki Jurka mój pierwszy czy ostatni mleczny ząb, który mamusia zostawiła sobie na pamiątkę, a Jurek dawno jeszcze temu wycygał od niej. Od tej chwili nosił go przy sobie i twierdził, że mu przynosi szczęście. Przebyło z nim moje zębisko wojnę, niewolę i getto, a teraz agent, oglądając go w rękę, włożył sobie do kieszonki.

— Po co to panu? — pyta Jurek. — Przecież to dziecienny ząb.

— To po co pan to nosił?

— To pamiątka, to ząb osoby mi drogiej.

Agent uśmiecha się chytrze.

— Ech, ech!

Chce przez to powiedzieć: ja wiem, że wy, Żydzi, nie bawicie się w czułości, nie wierzę w to. Może tam jest brylant albo złoto. Kto wie?

Trącam Jurka nogą, niech bierze.

Przed jego odejściem, gdy sprawa jest już załatwiona, Jurek pyta go, w jaki sposób się zdarzyło, że na niego zwrócił uwagę.

— Czy moja twarz rzeczywiście zdradza semickość?

— Nie, przeciwnie, chwilę nawet zawahałem się, mając pana zatrzymać, ani twarz, ani postawa nie przypomina Żyda, ale rysopis zgadzał się.

— Więc nasłano na mnie?

— Tak.

— A kto?

— Tęgo nie powiem. Mogę tylko zapewnić was, że ja sam tych pieniędzy nie wezmę.

Nareszcie pozbywamy się naszego gościa i 10 dolarów i oddychamy z ulgą.

— Nie trzeba go było sprowadzać.

— Jeżeli będziesz mówił takie głupstwa, to cię zbiję. Przecież wiesz, już ci sto tysięcy razy mówiłam, że bez ciebie nie będę żyć ani minuty dłużej.

— Życie jest życiem — mówi Jurek.

— Jakbyś miał sumienie mnie zostawić na takim srogim świecie, przecież teraz musisz mi wszystkich zastąpić. — I chcąc go pocieszyć, mówię:

— Juruś, nie martw się, szkoda ci zęba. Masz moich 31 zdrowych, dużych, po co ci tamten. A pamiątka po mnie? Przecież masz mnie całą zawsze przy sobie, po cóż ci pamiątka?

Jurek uśmiecha się smutnie i przytula mnie mocno do siebie.

Handel, Szantaż, Żyd,  
Wojna, Polowanie

Małżeństwo, Miłość

Zastanawiamy się, kto mógł na nas nasłać. Może Inka wygadała się przed Niemcem, ona wiedziała, że masz rano jechać do Grójca. Ach, nie, Inka nie powiedziała. Może ktoś z dawnych znajomych poznał cię w ogonku?

Fiukowa jest tak przerażona, że my musimy jeszcze ją uspakajać. Nazajutrz jedziemy do Grójca. Jedziemy razem.

— Ja ciebie samego nie puszcę.

Fiuk na nasz widok nie posiada się z radości.

— Jak to dobrze, ja się tak o ciebie martwiłem. Co się stało?

Opowiadamy naprędce zmyśloną bajeczkę. W ogonku jakiś złodziejasek ukradł Jurkowi papierośnicę.

— Puściłem się za nim w pogoń, ale gdy go złapałem i oddałem w ręce policji, papierośnicy przy nim nie znaleziono. Pomyliłem się widocznie, to nie był ten, który mnie okradł. Tymczasem zrobiło się późno i musiałem zrezygnować z przejazdu do Grójca.

— Ach, jaka szkoda papierośnicy!

Wierzą w bajkę, prawdziwa bajeczka dla naiwnych o policji granatowej, do której zwraca się poszkodowany, a która ma szukać złoczyńcy i dbać o porządek, walczyć z grabieżą i złodziejstwem. Fiuk tego samego dnia wyjeżdża — my zostajemy jeszcze dwa dni.

Państwo O. zatrzymują nas, oboje są bardzo mili. Pan O. jeździ z Jurkiem po okolicy, szukając dlań pracy. Mieszkają w niedużym, czteropokojowym drewnianym domku. Dwa pokoje wynajmują. W pozostałych mieszkają sami z trojgiem dzieci, babką i służącą, młodą dziewczyną. Ziemi mają niedużo, za to ładny sad, który daje niemały grosz, poza tym pan O., były przedsiębiorca budowlany, zapewne ma jeszcze dawniejsze zasoby. Oboje są mili i serdeczni. Zostają z panią O. i dziećmi. Pani O. oczekuje czwartego potomka i skarży się na ogrom pracy.

— Jak to trudno żyć, kiedy tyle dzieci. Człowiek uwiązany, ani się ubrać, ani gdzie pobawić... — Wzdycha.

Patrzę na tę młodą jeszcze kobietę i chciałabym wołać:

— Jak śmiesz narzekać! Masz dom, dzieci, masz męża o którego nie drżysz, że lada chwila możesz go stracić, że mogą ci go zabrać. Tuż obok mieszkają twoi rodzice, oto przysłali ci w koszyczku butelkę soku malinowego, bo kaszlesz, a sok z malin to dobre lekarstwo na przeziębienie. Butelka owinięta troskliwymi rękoma. I dla mnie kiedyś troskliwe ręce pakowały paczki, paczuszki, a teraz... gdzie są moi?... Głędzisz i narzekasz. Masz swój dom i wiesz, że twój dorobek, twoje mienie jest i będzie twoje, że nikt ci go nie zabierze, będziesz mieć je dla siebie, dla swoich dzieci, które przytulają się do ciebie, całują cię. Dlaczego ty możesz mieć dzieci, a mnie ich mieć nie wolno, czym ty sobie na to zasłużyłaś, a czym ja zawiniłam?

Po dwóch dniach wracamy do Warszawy. W kilku miejscach nawiązali kontakt, omówili pracę. Jedna posada będzie na pewno wakować pod koniec miesiąca. W wielkim sędzie trzeba zorganizować zbiory i mieć pieczę nad nimi. Jest to przecież praca sezonowa na kilka miesięcy, ale do tego czasu może się wojna skończyć, a jeżeli będzie trwała, to zaszyjemy się, poznamy okolicę i znów jakaś posada może wakować.

Wyjeżdżamy bardzo zadowoleni. Posada jest bardzo mało płatna, mieszkania dla nas nie ma, ale to wszystko nie jest ważne. Spokój, kartofle i byle jaki dach nad głową. Więcej nic. W Warszawie, w której nie możemy się więcej pokazywać, mamy jeszcze przetrwać około miesiąca. Znów zaczyna się męka. Marysia i jej geometra coraz bardziej mierzą nas wzrokiem, który najmniej spostrzegawczemu człowiekowi wydałby się nieprzychylnym, stale dopytują się, kiedy wyjeżdżamy, wreszcie jasno oświadczają, że bez meldowania boją się nas trzymać. W ogóle nasze tajemnicze codzienne wędrówki, to, że nie pracujemy, setki drobniaków, które przy współzyciu z ludźmi w jednym mieszkaniu mogą się wydawać dziwne i podejrzanе. Tak, stąd trzeba wyprowadzić się, ale dokąd.

Jesteśmy już prawie zupełnie bez pieniędzy, F. ofiaruje się sprzedać palto Jurka, ja znów sprzedaję Marysi znajomej moje zimowe palto. Czekamy teraz na pieniądze. Planujemy przede wszystkim najść się do syta, poza tym mając trochę gotówki, wynająć chociażby z gazety mieszkanie na dwa do trzech tygodni, taki czas można zwlekać z zameldowaniem się, a potem wyjedziemy na wieś. Nasza sytuacja, choć jesteśmy bez pieniędzy i bez dachu, wydaje się lepsza od położenia teściowej i Zosi. My mamy choć nadzieję, obiecaną pracę

Kobieta, Matka, Dziecko,  
Wojna, Polak, Żyd



w sady, a może i z Krakowa odpiszą. Czy rzeczywiście może się zdarzyć, że pojedziemy do tego raję?

Teściowa i Zosia, straciwszy znowu mieszkanie, wróciły znów do Rakowskich. „Hotel żydowski”, jak go nazywaliśmy.

Znowu poszukiwania nowego *locum*.

Pani R. znajduje małeńki pokoiczek samodzielny. Wydaje się, że jest to wspaniałe schronienie. Trzeba załatwić z góry za kilka miesięcy i nic więcej.

Po dwóch dniach przychodzi paniusia — sąsiadka w odwiedzinę. Siedzi bitych kilka godzin, a potem idzie do gospodarza wraz z drugą, jako delegatki, że te dwie panie to Żydówki. „Jeżeli natychmiast się nie usuną, to damy znać na posterunek, bo to niebezpieczne żyć z Żydami”.

Gospodarz, któremu lokatorki poleciła pani R. i z nim wszelkie transakcje załatwiła, przychodzi do niej z pretensją. R. uspakają go, jak może. W końcu Zosia i teściowa znów wracają do Rakowskich na Sadybę, a co dalej?

Na Sadybie przy wale jest nasyp, a w nim jakby forteczka, a w niej w ziemi coś w rodzaju piwnicy. Tam mieszka pan Pałka z żoną Pałczyną i małym Pałką. Pan Pałka wygląda jak prawdziwy bandyta. Kiedyś w dzieciństwie miałam książkę o Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach.

Pan Pałka zupełnie przypominał herszta, jego żona Pałczyna wyglądała tak, jakby szmaty i brud całego świata na sobie zgromadziła. Była to kupa brudnych łachmanów, z których wychylała się jeszcze brudniejsza głowa Pałczyny i jej duże, czarne ręce.

Co do małego Pałki, to tylko można powiedzieć, że robił wrażenie pólidioty, co przy najbliższym poznaniu całkowicie się potwierdziło.

Jaskinia Pałki, wiecznie ciemna, cuchnąca stęchlizną, miała być wymarzoną schroniskiem dwóch tropionych kobiet. Pan Pałka nie miał określonego zawodu, właściwie za młodu był złodziejem. Obecnie, kiedy nadeszła starość, stracił giętkość ruchów, bystrość umysłu i spostrzegawczość, stał się niezdolnym do pracy. Cierpiał głód, biedę. Od czasu do czasu łapał ukradkiem kota lub psa o puszystej sierści, oprawiał go z futerka i robił ciepłe pantofle, które potem Pałkowa sprzedawała. Co z mięsem robił nie wiadomo, ale znając pana Pałkę można zaręczyć, że nie dał, aby mięso się marnowało. Oto *familia in pleno*<sup>22</sup>.

Teściowa z Zosią przytaszczyły polowe łóżko. Miały mu płacić miesięcznie 500 zł. Umówiono się, że z ziemi wychodzić nie będą, a jedzenie będzie przynosiła R. albo P. Któregoś dnia odwiedzam je. Z początku nic nie widzę z powodu ciemności, potem zaczynam odróżniać przedmioty, wreszcie twarze — obie wyglądają okropnie. Błede i chore.

Cieszę się moim przyjściem. Niestety, nie wolno ich często odwiedzać, bo może ktoś spostrzeże, że do Pałki dużo osób przychodzi i to wzbudzi podejrzenie. Życie ich u Pałków jest bardzo ciężkie. W dzień gnębią ich gospodarze. Pałkowej wszystko przeszkadza. Pałka dziwi się, że można, jak on, trzymać Żydów, a dalej klepać biedę.

— Powiniennem jeść same salcesony i kiszki i mieszkać jak król, bo jak nie, to po jaką chorobę Żydów trzymam?

W nocy gnębi ich wszelkie robactwo. Niemiłosierny zaduch powoduje ciągłe bóle głowy, ale byleby tu już zostać, byleby tu być bezpiecznym.

Wychodzę. Przed pałacem spostrzegam dwunastoletniego Pałkę. Siedzi na schodku, trzyma na kolanach książkę i sylabizuje: „ma-ma idzie, ta-to jedzie. Ala nie-sie”.

Wpada mi do głowy szatańska myśl. Czemu ten idiota żyje? Czemu? Kiedy tyle innych dzieci zamordowano, kiedy moją ośmioletnią Joasię, tak cudnie deklamującą, spalono w krematorium? On jest przecież temu niewinny, tłumaczę sobie sama i sama sobie odpowiadam: wiem, ale ja chyba wariuję, a nienormalny człowiek nie odpowiada za siebie.

Przed pierwszym Pałką stanowczo mieszkanie wypowiada. Chodzi po nim jak księżę udzielny.

— Ja sobie nie życzę, ja nie mogę nikogo do siebie zaprosić.

Brrr, Pałkom bez zebrzań, bez balów strasznie.

Dziecko, Wojna,  
Szaleństwo

<sup>22</sup>*familia in pleno* — rodzina w całości. [przypis edytorski]

— Ja nie mogę. Albo proszę tak zrobić, żeby wszystko miał, co zechcę, albo wyprowadzić się.

Naturalnie ani teściowa, ani Zosia to nie złote rybki z bajki.

— Łachy pod pachy i basta!

Pałkowa wdychała pod kupą łachów. Baba na pewno myślała, że jak dołożą grosza to dobrze, a jak się wyprowadzą, to szkoda 500 zł. Pałka chlupał według zwyczaju nosem, co mogło oznaczać wiele, ale na pewno nic nie oznaczało. Obie kobiety nie miały nawet na te 500 złotych, a co mówić o zawrotnych sumach na salcesony i kiszki dla pana Pałki.

— Fiutkowski, Fiutkowski, on tylko może nas wyratować — mówiły — jedź, Ema, do niego.

Pisały błagalne listy, z którymi ja jeździłam, a które pozostawały przeważnie bez skutku.

Pewnego dnia Zosia postanowiła sama go odwiedzić.

— Te listy nie pomagają, może ja coś osobiście wyproszę.

Miała jechać jak zwykle w asyście Inki, ale Inka-adiutant jakoś nie mogła się wybrać. Spanie do dwunastej, pierwszej, a potem, zanim się wygramoliła, było późno i F. zamykał biuro. Więc Zosia postanowiła sama jechać. Po drodze zauważyła, że jakaś kobieta mocno ją obserwuje. Wychodzi z tramwaju, baba za nią. Wsiada do drugiego tramwaju, znowu to samo. Zosia stanęła na pomoście i w pewnej chwili na pustej ulicy w pełnym biegu wyskoczyła, upadła wprawdzie, ale za to zmyliła ślad szpiegom. Już nie idąc do F., wróciła do domu — czuła się niedobrze — w nocy dostała silnego krwotoku. W dzień zawiadomiono Rakowską. Musiało być oberwanie wewnętrzności, bo krwotok trwał nieprzerwanie, a bóle były tak silne, że biedaczka po prostu gryzła sobie ręce. Zawezwać lekarza było niebezpiecznie, bo nie wiadomo, na kogo się popadnie, a każdy zrozumie, że to coś nie w porządku, bo Zosia nie nadawała się do domu Pałkowego.

W końcu R. przypomniała sobie jakiegoś zaufanego lekarza, kolegę jej śp. męża, ale za to gospodarz postawił swoje *veto*.

— Nie i nie. Ja tu nie chcę żadnych dochtorów, po jaką cholere. Chora bo i chora. Umierać przecież każdemu trzeba i tak dochtory nie pomogą — zaopiniował — bo kobieta do śmierci, a nie do życia podobna. Ja się już na tym znam — dodał.

Widocznie oprawianie kotów i psów nauczyło go nieco anatomii i nauki o organizmie ludzkim. Nawet podsuwany wypadek śmierci i związane z tym nieprzyjemności nie przestraszały Pałki.

— Ja się trupów nie boję. Ja wiem, co w takim wypadku zrobić. Ja tam dochtorów nie wpuszczę.

## PRACA W FABRYCE

Wejść nie wejść — pójdę. Wielki, ciemny przedsiónek. Na jednym z licznych drzwi napis: „Biuro”. Podchodzę do urzędniczki.

— Chciałabym pracować.

— Jakie kwalifikacje? — pyta mnie panienska zza biurka.

— Umiem szyć na maszynie.

— Proszę podać dane o sobie.

Wyjmuję kennkartę, podaję zmyślony adres. Prowadzą mnie do wielkiej sali, w której kilkadziesiąt robotnic szyje na elektrycznych maszynach. Warkot motoru, szum. Sadzają mnie przy jednej z maszyn.

Mam na próbę uszyć, z już skrojonego materiału, fartuch. Niewprawnymi rękoma kieruję maszyną. Uszyć go szybko i ładnie, a wtedy będę mogła tu pracować, dostanę legitymację i produkty dodatkowe. Zaświadczenie takiej fabryki zabezpieczy mnie przed łapankami ulicznymi i w ogóle każdy dokument w naszej sytuacji jest pożądanym. Nitki, jak na złość, rwą mi się. Głowa boli. Kołnierzyk przyszyłam krzywo, trzeba go spruć. Moja sąsiadka z prawej strony odłożyła już na bok dwa fartuchy, a ja jeszcze z pierwszym nie mogę się uporać.

W południe dzwonek na obiad. Dostajemy zupę i po 8 dkg chleba. Chleb chowam ukradkiem na później. Słyszę, jak robotnice grymaszą, nie smakuje im zupa, rozpakowują

Ucieczka, Lud, Lekarz

swoje domowe śniadanie. Pracuje się tu na akord, 3 zł od fartucha, można uszyć przeciętnie 10 fartuchów dziennie co stanowi 30 zł. Byłaby to suma wymarzona. Gdybyśmy mieli z Jurkiem 50 zł dziennie, to moglibyśmy mieć chleb, kartofle i mieszkanie u naszej Kosińskiej. Wystarczyłoby nam jeszcze na mydło. A jeżeli przypadłoby coś od Aliny, to kupiłabym cukru i tłuszczu.

Pierwszego dnia szyję tylko trzy fartuchy i to nie bardzo dokładnie. Magazynierka pociesza mnie, że zawsze z początku idzie ciężko. Tak, ale dziewięć złotych, jak wyżyć? Kupuję za te pieniądze bilet tramwajowy i nieco drzewa — na rozpałkę. W domu rozpalam szybko ogień i obieram kartofle. Przychodzi Jurek i bez siły wali się na łóżko. Nie wypominam mu, że jest brudny i że kładzie się w ubraniu. Mój biedny chłopak leży z zamkniętymi oczyma i bardziej jest podobny do trupa niż do żywego człowieka. Twarz woskowa, rysy wydłużone, usta spalone gorączką. Głaszczę ręką jego wilgotne czoło.

— Boli — krzywi się i podnosi dłonie.

Z dnia na dzień puchną one coraz bardziej od żaru żelaza i ognia, skóra złazi. Tworzą się pęknięcia, które niezagojone, zmieniają się w ropiejące rany. Stoję bezradna. Powinien się wyleczyć, ale w jaki sposób, jeżeli nie wolno mu opuścić pracy z trzech powodów. Człowiek siedzący w domu bez pracy zwraca na siebie uwagę, mogą być niezadowoleni z jego nieobecności, musimy mieć jego grosze na chleb. Wydaje mi się, że jesteśmy w kieracie, z którego nie umiemy się wyrwać. Los zepchnął nas do roli najbiedniejszych robotników, prawie nędzarzy, głodujących, a do tego gonionych, tropionych, oczekujących śmierci. Czasem myślałam o tym, jakby to inaczej żyć, jakby zrzucić nasze ciężkie, zamęczające nas jarzmo i być kimś innym, zagrać drugą rolę. Ale od rana znów szłam do fabryki i znów szłam, aby potem otrzymać w kantorze liche, ale jakże drogie grosze. Z przystanku tramwajowego zwykle biegłam do domu, aby jak najprędzej przyszykować Jurkowi coś do zjedzenia.

— Czy męczy cię twoja praca? — pytał.

— Nie — odpowiadam — wcale dobra.

Cóż, czy miałam mu się skarżyć na bóle w krzyżu, mdlenie rąk, na to, że krew uderza mi do głowy. Czy te wszystkie niedomogi mogą się porównać z jego męką? Moja praca była przynajmniej czysta.

Pewnego dnia czekałam dość długo na tramwaj, deszcz mżył, byłam niespokojna.

W końcu nadjechała upragniona siedemnastka, wpakowałam się do zabłoconego wagonu i czuję, jak ktoś mnie bierze pod rękę. Oglądam się. Młody człowiek o wyglądzie apasza. Czapka na bakier, pomięte ubranie. Szarpnęłam się i wpycham się do wagonu. Kilka osób przypatruje się nam. Krew uderza mi do głowy. Nie mam pieniędzy przy sobie. Czy oddać mu te ostatnie 10 dolarów, które właściwie przeznaczone są dla Jurka? Czy tak bez końca będą nas szantażować? A może, myślę, przyznać się? Może wmówić mu, że się omylił? A więc jednak wygląd mój rzuca się w oczy, poznają mnie.

W końcu postanawiam wysiąść z tramwaju. Co będzie, to będzie. Nie mam rady, przecież szmalcownik nie odstąpi ode mnie. Na ulicy przystępuje i bez ceremonii bierze mnie za rękę.

— No, chcesz załatwić, czy pójdziemy na policję?

— Co załatwić? — próbuję nie rozumieć.

— Nie bawmy się w ciuciubabkę. Wiem, kim jesteś.

Wymienia mi moje imię i mój przedwojenny adres. Tak, nie ma sensu wymigiwać się, nasłany wpadunek.

— Nie mam pieniędzy — mówię mu.

— Zrewiduję cię.

Wchodzimy do bramy jakiegoś wół rozwalonego domu. Otwiera mi torbę ze świńskiej skóry, którą w pierwszym roku wojny dostałam w rocznicę ślubu od teściów. Ale nic w niej nie ma wartościowego. W portmonetce zaledwie kilkanaście złotych.

— Czego masz takie pokłute palce? — pyta.

— Od zycia, przecież mówiłam, że nie mam pieniędzy i muszę pracować.

— Kto tam zna wasze żydowskie kombinacje. Ta torba też warta parę złotych — mówi i zabiera mi ją, potem zdejmuję mi obrączkę z palca.

Rozplakałam się. Jurek swoją sprzedał, teraz i moja pójdzie.

— Poczekaj — mówi apasz — tylko nie ruszaj się z miejsca, bo dostaniesz!

Interes, Polowanie, Wojna

Zostawia mnie na klatce schodowej, a sam wybiega. Łkam z rozpacz, sama nie wiem, czy zostać, czy wyjść. Nie mogę, nie wiem czemu, uspokoić się i zebrać myśli. Pewnie poszedł po policję.

Po kilkunastu minutach wraca.

— Masz — oddaje mi z powrotem obrączkę. — Ja taki najgorszy nie jestem, w ogóle żał mi ciebie. Wiesz co, powiedz mi, gdzie mieszkają bogaci Żydzi. Mam dwóch znajomych, morowych SS-manów, jeszcze dwóch tajnych facetów z Alej Jerozolimskich, będziemy mieć wszyscy forsy jak lodu.

Patrzę na niego przerażona.

— Ja nikogo nie znam.

— Ejże, ejże, mała, pomyśl tylko nad tym. Są przecież tacy, którzy siedzą na dolarach i złocie, a ty się tak męczysz, przecież my tylko pieniądze zabierzemy, a tych ludzi zostawimy.

Ach, żeby go palnąć w tę beczelną mordę. Zaciskam usta.

— Nie znam nikogo.

— Tym gorzej dla ciebie — uspokaja mnie i głos jego przybiera zgoła odmienny ton. Milczę.

— No, chodźmy.

Znów bierze mnie pod rękę. Idę ze spuszczoną głową.

— Słuchaj, ja mam cię w ręku, puszcze cię teraz. Dziś jest środa. W niedzielę, powiedzmy o piątej po południu będziesz stała na rogu Marszałkowskiej i Złotej. Przyniesiesz mi adresy, o których ci mówiłem. Jeżeli nie przyjdiesz, no to koniec z tobą, zrozumiano?

Wydaje mi się, że słowom jego można wierzyć. Odwrócił się na pięcie i odchodzi. Teraz dopiero zauważyłam, że torby nie ma przy sobie, musiał ją oddać komuś, gdy mnie zostawił na klatce schodowej.

Gdy wracam do domu, jest już późno. Jurek musi się o mnie niepokoić, myślę.

Ale Jurka w domu nie ma.

Oszalała z przerażenia biegnę do fabryki. Wyszedł już dawno. Biegnę z powrotem, gryzę palce z rozpacz. Więc już koniec. Co się z nim stało? Przed domem stoi Żółw-Kosińska.

— Mąż przyszedł — woła — a pani lata, obiadu nie przygotowuje, ach, te młode żony!

Szczęśliwa, obcałowuję jej żółwie policzki i skaczę po trzy schodki. Wpadam do mieszkania, rzucam się Jurkowi na szyję.

— Wariatko, opanuj się — prosi mój mąż.

— Czemu tak późno przyszedłeś?

— U jednego z kolegów było zebranie samopomocy. Wybrano mnie na członka zarządu. To wszystko, dziecko, trwało. Nie wolno ci jednak tak się zachowywać. Jak to źle, że poszłaś do fabryki. Kosińska zauważyła twój niepokój. To wszystko może wzbudzić podejrzenie. Fabryka jest tak blisko, że nic po drodze nie może mi się stać.

Opowiedziałam mu o moim przejściu i zachodzimy w głowę, kto mógł wkopać.

— Może Ziutek, Jureczku?

— Ach nie, czy ty myślisz, że Ziutek jest takim bożym światowidem, o wszystkim wie i wszystko widzi?

— No więc kto? Cóż robić?

— Ucieknijmy, wyjedźmy — proszę.

Ale Jurek nie chce o tym słyszeć.

— Dokąd? Za jakie pieniądze? Musimy tu zostać. Może listy z Tunelu nadejdą.

— Jedź do Grójca, przecież masz tam pracę w sadzie.

— Może jednak lepiej tu zostać. Ja się boję wsi, w mieście zawsze łatwiej zatrzymać się. Może i ty, i ja przyzwyczaimy się do pracy, będziemy nieco więcej zarabiać, jakoś wyżyjemy.

— A co będzie z meldowaniem? Przecież dozorca stale mnie pyta o meldunki. I tak źle, i tak niedobrze.

Jesteśmy zablakani w labiryncie bez wyjścia.

Ściemnia się. Siedzimy przy sobie; nie zapalam światła, bo szkoda świecy. Z podwórka dochodzą głosy lokatorów, śmiechy, ktoś nastawił patefon, płynie stara piosenka: *Ta ostatnia niedziela*<sup>23</sup>. Wzdrygam się. Ostatnim dniem może być dla nas każdy. Za oknem złowrogi świat, tam ludzie znają się, pomagają sobie, żyją w przyjaźni albo w niezgodzie, ale są razem, tworzą społeczeństwo, a my tu za oknem w małym pokoiku wdowy Kosińskiej jesteśmy sami, sami jedni. Zapalam świecę. Błysnęło miłe, drgające światło, oświetliło nędzne sprzęty — stół przykryty papierem, talerz z kartoflami — bieda.

Jurek kładzie się spać, ja się jeszcze myję. Jest to jedyna przyjemność, która przypomina dobre czasy, stare przyzwyczajenia. Wydaje mi się, że to jedno odgradza mnie przed zupełnym opuszczeniem rąk, przed całkowitym poddaniem się, przed abnegacją. Przy myciu nasuwają mi się zawsze lepsze myśli. Już umyta kładę się przy śpiącym Jurku, obejmuję jego drogą głowę i szepczę: niech ci się, kochanie, coś dobrego przyśni. Może i my kiedyś będziemy prawdziwymi ludźmi.

\*

Od rana znów jarzmo, znów męka... Myślę czasem o tym, że szczęśliwi są ludzie, którzy po wyroku siedzą w więzieniu. Jeżeli nawet mają do odsiedzenia kilka lat, to w każdym razie nie krąży nad nimi stale śmierć. Mają dach nad głową i wprawdzie głodową, ale codzienną rację żywnościową. Tak, aby się tam dostać, trzeba było być oszustem, złodziejem, mordercą. Pozostali „przestępcy” są przez Hitlera inaczej karani. Ach, czemuż jestem Żydem, a nie bandytą?

Żyd, Więzień, Wojna

W niedzielę rano jedziemy na Sadybę. Radzimy się z panią Z., Zosią i matką. Wszyscy decydują „*in gremio*”<sup>24</sup>, że nie powinnam się spotkać z apaszem. Gdy wieczorem jedziemy do domu, dostajemy od pani R. ogromny, piękny bukiet jaśminu. Jak pięknie pachnie. Gdy stawiam go na stole w słoiku w naszej ciupce, cały pokój pachnie ogrodem, zielenią i latem.

— Jureczku, jedźmy na wieś.

— Napiszę jutro do O. i jeszcze raz do Tunelu.

Nazajutrz w fabryce igła przebiła mi palec i to tak fatalnie, że lekarz fabryczny po opatrunku oświadczył, że przez pewien czas nie będę mogła pracować, a może chwilowo stracę nawet władzę w palcu.

W fabryce, jako nowa robotnica, nie dostaję żadnego odszkodowania. Utrata pracy jest dla nas prawdziwą klęską. Palec boli niemiłosiernie. W nocy dostaję gorączki, nie mogę poruszać ręką, wyjęc z bólu. Na lekarza nie mamy pieniędzy. Nazajutrz rano, kiedy ból zmniejszył się nieco, jadę do Kuleszowej prosić o pieniądze. Wyjmuje 100 zł, jakby dawała jałmużnę. Łzy cisną mi się do oczu, w gardle dławi. Jak chętnie odepchnęłabym jej ofiarną dłoń, ale... nie mam ani grosza. Gdy Jurek przyjdzie wieczorem głodny z fabryki nie będę miała co mu dać jeść. Biorę i tłumaczę sobie, że przecież ona jest moją dłużniczką, a nie ja jej. Pieniądze za meble stale obiecuje zwrócić w niedługim czasie, ale niedługo to pojęcie względne. Rok, dwa, trzy w porównaniu z wiekami, to termin niedługi, ale z czym porównać dzień głodu? Jurek jest w fabryce, kręcąc się w pokoiku na Chmielnej jak w klatce, do okna nie podchodzę, bo to niewskazane. Łóżko, stół, szafa. „Jak tu nędznie”, myślę. Przystawiam łóżko we wszystkich możliwych kierunkach, mokrą ściereczką wycieram stół, ale to wcale nie pomaga i w żaden sposób nie chce być przytulniej. Obtłuczone garnki i dwa popękane talerze również nie sprawiają korzystnego wrażenia.

Z żalem myślę, że tych pogardzanych biednych naczyń też nie ma czym zapełnić. Madame Kosińska przychodzi na pogawędkę. Durzy mi głowę meldunkiem i opowiadaniem o swej młodości, jedno i drugie jest zupełnie nieistotne. Tak jak jej młodość nie wróci, tak i my tu nigdy się nie zameldujemy. Około szóstej oczekuję z niecierpliwością Jurka, przysłuchuję się krokom na schodach. W końcu, gdy wchodzi, lekko pochylając

<sup>23</sup>stara piosenka: „*Ta ostatnia niedziela*” — właśc. *To ostatnia niedziela*, tango, znany polski szlagier z 1935 r., do którego muzykę skomponował Jerzy Petersburski, a słowa napisał Zenon Friedwald; najpopularniejszym wykonawcą utworu był Mieczysław Fogg; tekst mówiący o rozstaniu „na wieczny czas” sprawił, że piosenkę nazywano tangiem samobójców. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*in gremio* (łac.) — zbiorowo, wspólnie. [przypis edytorski]

się przy przejściu przez niskie drzwi i kiedy mogę znaleźć się w jego ramionach, myślę: „jak to dobrze, że wrócił”.

We wtorek rano, gdy Jurek wychodził jak zwykle do fabryki, stanęłam w oknie. Mignęła mi jego głowa, brązowa marynarka, pomyślałam sobie: „ja chyba ostatni raz go widzę”.

Pojechałam tego dnia na Sadybę, zastałam tam chorą Zosię. Rakowska zabrała ją od Pałki, by ją lekarz zbadał. Gdy tak patrzyłam na nią, półżywą, leżącą w łóżku w bólach, pomyślałam sobie, że ta moralnie i fizycznie zgnębiona istota jakże niedawno była pełną życia, ładną, silną, wesołą kobietą, dobrym lekarzem, miłym kompanem. Pomyślałam również, jak Jurek, teściowa i ja już mało przypominamy nas samych z tamtych czasów. Wykańczamy się w tempie przyśpieszonym. Wracając do domu, znów długo czekałam na tramwaj przy przesiadce.

Ach, jak ja nie lubię czekać na tramwaje! Zawsze się coś przy tym zdarzy. Przyszło mi na myśl, że w zeszłym tygodniu był deszcz i dzisiaj deszcz pada i wtedy też późno wracałam.

W domu Jurka nie ma. Odgrzewam zupę. Drzewo mokre, jak na złość, nie chce się palić. Palec znów boli. Czy jeszcze długo można się tak męczyć? Przypomina mi się powiedzonko Jurka: „Zło nie ma granic i nie ma takiej sytuacji, żeby nie mogło być gorzej”.

Godziny mijają. Gdzie Jurek, czy znów zebranie?

Telefonuję do fabryki, ale jego już tam nie ma. Wyszedł już dwie godziny temu. Co robić? Kładę się na łóżku i myślę: usnę, a o godzinie dziewiątej już na pewno Jurek będzie — przecież musi przyjść przed godziną policyjną. Ale sen nie przychodzi, kręcę się na łóżku. Boję się. Okrutne myśli przychodzą mi do głowy: „Mamus, tato, gdzie wy, czemu was nie ma, Jureczku mój, czujesz, jak o tobie myślę, jak się o ciebie lękam?”

W pewnej chwili wyskoczyłam z łóżka i jakby na rozkaz podeszłam do „zakazanego okna”.

## WOJNA W GETCIE

Więc będzie już koniec. Tak, spójrz na zaśmiecone ulice, na bezład, jesteśmy ostatecznie skazani. Pilnie strzeżeni, ale przecież już widać, że koniec nastąpił. Tak, teraz już nie damy się oszukać, teraz już nie damy się wziąć na lep. Dwa jajka na osobę i 5 dkg. cukierków, które nam dodatkowo przyznano na karty. „Będziecie żyć i pracować” powiedział nam Niemiec, to znaczy, będziecie się męczyć i konać. Zrozumieliśmy się. Nie łudzimy się już. Na co ludzie pouciekali na drugą stronę, a przecież nie wszyscy mieli tę możliwość. Część wróciła — tam ich też zamęczą, lepiej umierać ze swoimi. Jesteśmy skazani, ale szykujemy się.

Co dzień placówkarze przynoszą ze sobą bochenki chleba, w których znajdują się granaty, rewolwery. Co dzień przez podkopy dostarczają nam broni, co dzień powstają nowe bunkry.

Bunkry. Czy wiecie coś o bunkrach w getcie! My mamy domy pod ziemią. Gromadzi się tam broń i żywność. Założono pompy, które dostarczają powietrza, mamy tam radio i telefony. Naturalnie, wszystko to zakonspirowane, robione w ciężkich warunkach, w krwawym pocie. Mamy swój sztab, swoje plany, swoje organizacje. A pieniądze — co to pieniądze? Wpływają albo dobrowolnie, albo pod przymusem. My dobrze wiemy, kto ma forszę. Kierownicy placówek, piekarze, właściciele szopów.

— Proszę, daj taką a taką sumę w swoim własnym interesie. Cóż ci przyjdzie z pieniędzy, jeżeli stracisz życie?

— I tak je tracę — mówi.

— Więc tym bardziej, przynajmniej drogo je sprzedaj. Zresztą, jeśli uprzesz się i nie chcesz dać takiej sumy, o którą cię prosimy, to przyjdzie do ciebie wieczorkiem kilku naszych chłopaków. Każą ci stanąć przy ścianie, przyłożą lufę do ciemienia — dajesz?

Argument taki zawsze przemówi. Nie jest on wprawdzie wyszukany, ale przecież jest usprawiedliwiony. Pieniądze idą nie dla siebie, a dla sprawy. Trzeba przyznać, że opierających się było stosunkowo mało. Plan, organizacja. Trzeba pracować i w getcie, i po aryjskiej stronie. Kupować broń i żywność, pomagać przenosić je do getta. Każdy re-

Getto, Żyd, Niemiec, Bunt,  
Powstanie

wolwer, każdy pocisk, każda kula przechodząca do dzielnicy to droga do zwycięstwa, to jeszcze jeden zabity Niemiec.

Bywały takie dni, że jedziesz człowieku tramwajem w aryjskiej dzielnicy aż do Żoliborza, w koszyczku trochę jabłek i bochenek chleba, pachnący, świeży bochenek, taki niewinny, rumiany, a w nim... Myślisz sobie: jeśliby mnie teraz zaaresztowano, za co wprawdzie zabito by mnie? Więc śmierć pięciokrotna:

- 1) za przebywanie poza granicami getta,
- 2) za obce waluty (dajemy okup za ludzi w dolarach),
- 3) za nabywanie pieczywa poza kartkami,
- 4) za fałszywe dokumenty,
- 5) za broń.

Ktoś mi się przygląda, a może wydaje mi się tylko. Obojętnie wyglądam przez okno. Jeszcze dziś trzeba zanieść chleb pod wskazany adres, a tam pójdzie dalej na placówkę. Szykujemy się. W małym pokoiczku siedzimy przy stole, opieramy się na łokciach i patrzymy na mapę — jeżeli nastąpi... może nawet pójdziemy dalej. Gdybyśmy wcześniej wiedzieli, kiedy mieliśmy ludzi i siły, by zniszczyć wroga. Oby tylko przetrwać, oby doczekać, aż przyjdzie nas oswobodzić Armia Czerwona.

Co dziś zajęli? Orzeł. Ach, pędź, towarzysze, przybywajcie!!!

Pewnego poniedziałku zaczęło się. Znamy to wszyscy. SS. SA. Litwini. Oblężono dom, potrójne stráže. Alarm. Znow wysiedlenie. Teraz już ostateczne.

Nie damy się. Do boju! Na cóż były przygotowania trzymiesięczne? Bić się! Mamy w kieszeniach granaty, mamy karabiny, rewolwery. Nie, nie damy się!

Cóż to, z domów, z dachów strzelają do przerażonych Niemców, rzucają pociski. Ach, oni są dzielni, mężni przy słabych, ale bić się oko w oko — proszę! Każdy dom to twierdza, zdobywajcie! Każdy człowiek to żołnierz, bijcie się!

Alarm! Niemcy cofają się i po dniu ciszy następuje uderzenie na getto. Otoczono je karabinami maszynowymi, posłano nieduże oddziały, bij się niemiecki żołnierz. Jeżeli zginiesz, wyślą twojej żonie pismo: „Zginął na froncie gettowskim w walce z kobietami i z dziećmi, cześć mu!”

Pierwsze trupy niemieckie padły w getcie, ich krew zalała chodniki. Mierzyły do nich rączki dziecinne, stare kobiety rzucały granaty.

Wjechały tanki do getta, wjechali żołnierze.

Zmierzymy się z wami, my w sandałkach, z odkrytymi głowami, my schorowani, zgłodniałi, wystraszeni, my na naszych spuchniętych nogach. Nasze dzieci nieletnie, nasi staruszkowie z rozdartymi sercami i wy umundurowani! Na waszych pasach napis: *Gott mit uns*, a w nas jedna myśl: zginąć!

Bitwa.

Nasze dziewczęta i chłopcy wybiegały naprzeciw tankom, rzucając w nie granaty.

Był taki mały dwunastoletni bohater, który zniszczył dwa tanki, a potem, gdy padł, nie było komu go nawet pochować, nikt mu pomnika nie postawi, nie znamy nawet jego nazwiska, ale mamy go za to w sercu, na zawsze.

Zaczęły się straszne dni. Krwawa walka, z góry przesądzona, ale walka. Jesteśmy wprawdzie w kontakcie z drugą stroną, ale jak to zrobić, żeby nam broni nie zabrakło.

Biliśmy się według zasad wojennych — zabijasz mnie, ale i ja ciebie. Wojna! A może ktoś nam przyjdzie z pomocą? Jakby to było pięknie, gdyby przyłączyli się do nas partyzanci z lasu? Albo partie lewicowe, albo żeby nasz czyn wywołał ogólny bunt, ogólną rewolucję.

Co myślą ludzie z aryjskiej strony, widząc tanki jadące do getta, widząc, jak żołnierze niemieccy jadą w szyku bojowym do nas?

Bój trwa. Zmiany w ludziach, odpoczynek w bunkrach, ale nikt odpoczywać nie chce. Wszyscy bez wyjątku chcą się bić, wszyscy błogosławią śmierć w walce z wrogiem. Co za szczęście zmierzyć się z nim. Czuć, że można pomóc swoich bliskich. Czuć, że się nie jest bezbronnym zwierzęciem prowadzonym na rzeź, ale człowiekiem, który może bić się, strzelać, oblewać tanki benzyną, który może mierzyć do Niemca i widzieć go martwym.

W drugim tygodniu walki zajęliśmy całkowicie ulicę Leszno, wyparliśmy z drugiego brzegu Niemców, zdobyliśmy broń i mundury.

Powstanie, Warszawa, Getto

Dziecko, Śmierć bohaterska

Powstanie, Getto

Pali się. Opanowaliśmy wszystkie składy w getcie z częściami, maszynami i ubraniami. Coraz to więcej oddziałów niemieckich posyłano na nasz front, ale myśmy byli umocnieni, myśmy mieli siłę, zaciętość i jedyną myśl: musimy się zemścić! Wydawało się wprawdzie, że wszystko chwije się w chaosie, ale to tylko na pozór. Wszystko odbywało się planowo, tak, jak to w smutne wieczory, siedząc przy stole, omawiano. Czy doprawdy nasze plany o rozwaleniu murów mogłyby się ziścić? Ucieczka dla nas to zwycięstwo. Ucieczki nie ma. Dokądkolwiek iść — pewna nieudana, a zwycięstwo, zwycięstwo może być tylko jedno: jak najdłuższe trzymanie się i możliwie największa ilość zabitych Niemców.

Widzieliście ludzie wjeżdżające do getta tanki niemieckie, ale powiedzcie z ręką na sercu, czy widzieliście je kiedy wyjeżdżające?

Nie będę pisać, jaki bój był krwawy i okrutny, nie mogę już pisać o tych strasznych nocach i jeszcze straszniejszych dniach, nie mogę i nie chcę pisać. Nie chcę, żeby nie wzbudzić w was litości, bo my nie byliśmy nieszczęśliwi, przeciwnie, dla nas było to szczęściem najwyższym, dla nas nie istniał strach ani ból. Czy możecie porównać taką śmierć ze śmiercią w komorze gazowej?

Giń! Za moją matkę, za ojca, za moje dzieci, za nasze życie! Mierzę do ciebie! O, Boże, daj, aby strzał był celny!

Możemy zginąć, jesteśmy przecież na to przygotowani, dla nas życie nie ma już ceny, ale miało ją, miało dla naszych najbliższych, miało dla całego naszego społeczeństwa, jakież to szczęście nad szczęściami, że mogę je oddać za cenę twego życia, Niemcze! Nauczyłeś mnie być krwiożerczym, nauczyłeś mnie okrucieństwa. Tak, kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Pomnij, twoje okrucieństwo obróci się przeciw tobie samemu. I my już umiemy strzelać do ciebie i wbijać ci nóż w serce, i zwyczajnym tasakiem kuchennym obcinać ci głowę i butelką benzyny podpalać twój tank i ciebie spalać. Umiemy wszystko. Może jeszcze nie próbowaliśmy strzelać do bezbronnych z tyłu, ale nauczyliście nas przecież. Nauczyliście nas już patrzeć na trupy i na krew, i na wytryśnięte mózgi. To dla was powszedni widok. Nauczaliście nas śmiać się na widok waszych mąk tak, jak wyście się śmieli na widok naszych. Może przyjdzie dzień, że nie tylko będziemy mogli bić się z wami, ale może będziemy mieli jeszcze w sobie tyle sił i okrucieństwa, aby sięgnąć po wasze dzieci, tak, jak wyście sięgali po nasze!

Dwa miesiące walki z silnym wrogiem, z coraz to nowymi oddziałami. Byliśmy bez wody i bez światła, bo nam je Niemcy odcięli, dostawa broni była bardzo niewystarczająca, wykryto jeden z przekopów dzielnicowych na Przebiegu. Była to wielka klęska, ale ani na chwilę nie ustawiliśmy w boju. Po świetcie szło echo: getto warszawskie bije się już dwa miesiące, a Niemcy tracą tam bez skutku broń, tanki, ludzi, wstyd... i oto Niemcy postanawiają z nami skończyć inaczej, bo walka uczciwa, walka oko w oko, nawet taka walka ze słabszym jest jeszcze, jak dla nich, zbyt bohaterka. Po co walczyć, kiedy można nas spalić.

## SPALENIE GETTA

Straszna, straszna myśl, a jeszcze straszniejsze wykonanie. Piekło i diabli. Raz już tak było. Pałace się miasto i Cezar grający na harfie. Przejmowało nas to zgrozą, ale wtedy ludzie mieli dokąd uciekać.

My byliśmy bez wody, bez możliwości opuszczenia palącego się getta. Nie mówię o jednostkach. Dom po domu, ulica po ulicy stawały w ogniu. Gore!!! Ludzie duszą się, a jeszcze walczą. Ludzie palą się, a jeszcze się bronią. Mury walą się. Niech mur mnie zawali, byleby nie dać się wziąć. Lepiej wpół uduszony wyskoczyć przez okno palącego się domu i paść martwym na chodnik, niż iść w ich ręce.

A są tacy szczęśliwcy, którzy zaopatrzyli się w cjankali, morfinę czy luminal, ci w ostatecznym momencie momentalnie zażyją truciznę. Na ulicach trupy, zwęglone trupy zwieszają z okien i balkonów. To chyba gorsze niż piekło, gorsze, niż wszystko, co ludzka fantazja może sobie wyobrazić. Jeszcze jedno dzieło Hitlera, jeszcze jedno jego bohaterstwo, jeszcze jedna zapisana karta w dziejach wymyślnych i krwawych faszystowskich mordów.

Plon żywych był mizerny — ale mimo wszystko udało się Niemcom część ludzi wywieźć i zapelnąć puste miejsca w Treblince, Majdanku, Poniatowie i Trawnikach.

Getto paliło się dzień i noc, paliły się mury, a w nich ludzie, ale płomienie buchające

Miasto, Pożar, Władza,  
Lud, Śmierć, Getto

Trup, Wojna

Warszawa, Pożar,  
Świadectwo



w górę oświetlały Warszawę. Krwawa luna na niebie, każda iskra i każdy wystrzał wołały: śmierć Niemcom!!!

Budowaliście wasze gazówki i krematoria w tajemnicy przed światem, mężczyliście ludzi za murami, do których nikt z postronnych nie miał dostępu, chcieliście, aby nikt o waszych okrucieństwach nie wiedział. A teraz lunę pożaru widać na 1000 km w krag. Dym, ogień — tego się już nie da ukryć, pali się część miasta, pali się Warszawa!

Patrzycie na języki płomieni, czujecie gryzący dym, słyszycie łoskot walących się murów? Nie dochodzą was tylko jęki konających.

Ludzie wielcy i mali! Starcy i dzieci! Wszyscy, którzy macie oczy, uszy i serca! Wszyscy, których dusze nie spaczył przeklęty faszyzm, przysięgnijcie sobie dla tych konających w męczeństwie, dla ludzkości, prawdy i Boga, przysięgnijcie, że będziecie mścicielami i że opowiecie o wszystkim waszym dzieciom i tym, którzy byli daleko!

\*

A potem, kiedy pożar sam ustąpił i już tylko pojedyncze mury gorzały, chodziły zwycięskie oddziały niemieckie po gruzach, szukając bunkrów. Znajdowali w nich żywych i nieżywych. Żywych naturalnie wywożono. Szkoda im było na nich broni, na cóż mieli gazówki?

\*

W jaki sposób, spytacie się, jednak pewien procent Żydów ocalał? Uciekano w biegu z pędzących pociągów, które jechały pod konwojem, gdy przy każdym wagonie stali Litwini, strzelając bez przerwy. Uciekano przez podkopy i mury, ciągle strzeżone przez SS-manów; przez kanały pełne stęchłej cieczy, czarnej jak noc, w których mogłeś kłówać przez trzy dni, aby potem wpaść martwy, na wpaść uduszony popaść z powrotem w to samo miejsce albo wyjść na miasto, aby spotkać się oko w oko z wrogiem. Takie były możliwości ucieczki dla nielicznych. W przybliżeniu podam, że uratować się w ten sposób mógł 1% Żydów.

\*

Po wszystkim. Ostatnie płomienie zgasły. Ostatnie dymy rozniósł wiatr. Na tych ruinach było getto warszawskie... Na razie nie ma do nich dostępu, bo jeszcze pilnują ich Niemcy, jeszcze szukają ludzi, jeszcze zachłystują się ze szczęścia na widok naszych spalonych kości, ale kiedyś tak będą pokazywać ich, tylko że mnie tam nie będzie.

---

Jesteśmy z Jankiem na Sławku, godzina późna, ciemno. Nie zapalamy światła — jasność nas razi, lepszy mrok — taki, jaki mamy w duszach.

— Żyjemy — mówi Jurek tak, jakby nie mógł sobie tego uświadomić.

— Żyjemy — odpowiadam mu, a głos mój brzmi niedowierzająco.

— Ale nie wiadomo, czy będziemy żyć — odpowiada Jurek.

— W każdym razie nie będziemy się już ani śmiać, ani płakać — odpowiadam — wszystko dobre i złe pozostawiliśmy poza sobą.

Myliłam się. Szczęście ani nieszczęście nie ma granic. Na razie czuliśmy w sobie tak straszną, okropną pustkę, że wydawało nam się, że to pół śmierć.

Teraz myślę tylko o ostatnich dniach getta, o ostatnich przejściach. Przed sobą mam ciągle dantejskie obrazy, najdroższe twarze rodziców i wujka. Nie mogę sobie wyobrazić ich martwych. Nie mogę. Dla mnie jeszcze ciągle żyją, choć przecież wiem dokładnie, że wujka znaleziono spalonego w szopie Gerlacha, a rodzice...!

Chcę myśleć tylko o tym, że moja mała, ukochana matuchna, która bała się skorupki w jajeczniczy, psów, widoku broni, która dawniej dziesięć razy przed moim wyjściem z domu upominała mnie: uważaj na samochody, na tramwaje, która każde spóźnienie ojca i moje przeżywała jak katastrofę — ta sama matka pierwsza wyciągnęła rękę po granaty, ta sama matka powiedziała: „pracuj dla sprawy, lepiej zginąć od kuli, a za nic w komorze!”

Powstanie, Getto,  
Bohaterstwo

Wiem i o tym, że ojciec, jak prawo i szlachetnie żył, tak samo bohatersko umarł. Wiem, że nie usiedział w bunkrze, że na swych spuchniętych nogach stał, walcząc aż do końca i wiem o tym również, że mój drogi wujaszek, którego kochałam jak ojca, był jednym z przywódców ruchu.

Dziękuję ci, Opatrzności, żeś pozwoliła moim najdroższym zginąć bohatersko w walce.

## PRZYJAZD FRANKA DO WARSZAWY

Po nocy śnią mi się miłe, łagodne sny, jakby rekompensata za straszliwe przeżycia. Jestem z rodzicami, z Jurkiem, ale skoro tylko otwieram oczy, natychmiast przypominam sobie o okrutnej rzeczywistości. Więc to prawda, że Jurka nie ma, że go żandarmi zabrali!

Jak co dzień, od rana zabieram się do wędrówki po Warszawie. Szukam wytrwale jakiejś drogi, aby się czegoś o nim dowiedzieć, aby mu jakoś przyjść z pomocą. „Siedz w domu — mówi Rakowska — nic dla niego zrobić nie możesz, najwyżej sama wpadniesz w ich ręce”.

Jeżeli mu nic pomóc nie mogę, to lepiej, żebym i ja nie żyła.

Idę. Inka dzielnie z samozaparciem towarzyszy mi. Łazimy po komisariatach policji granatowej i niemieckiej SS. Ja legitymuję się odcinkiem Inki na otrzymanie kennkarty, Inka zaś jakimś swoim starym dowodem „lipowym”. Opowiadamy zmyśloną bajeczkę, o tym, jak nam brata wzięli w łapance, pytamy, czy nikogo nie przywozili ze złapanych na mieście, a następnie z głupia frant „nikogo”? A Żydów też nie? Kilku? Kogo? Skąd? Czemu się pytamy? A tak, chcemy wiedzieć, po prostu przez ciekawość. A co z nimi zrobią itd.

Trudno jest czegokolwiek dowiedzieć się w ten sposób, a nerwy często odmawiają posłuszeństwa. Chodzimy przeważnie pieszo. Nie mam cierpliwości czekać na tramwaje, a siedząc w tramwaju, wydaje mi się, że powoli idzie. Trzeba się śpieszyć, trzeba działać szybko, jak najszybciej, bo przecież mogą go lada chwila zabić.

Zabić! Czy można zdać sobie w pełni sprawę z tego słowa?

Trudno nam dziś poruszać się po mieście, bo jest wielkie święto, 16 lipca, Frank, gubernator, General Gouvernement przyjechał do Warszawy. Niezliczone oddziały żandarmerii krążą po ulicach, legitymując i aresztując „podejrzanych” osobników. Ochroniac, pilnować należy „ukochanego” przez wszystkich, popularnego naszego gubernatora. Aż strach pomyśleć, że może znajduje się ktoś w niewdzięcznym narodzie polskim, kto nastaje na jego życie, pełne poświęcenia dla Polaków. Gdyby go zabrakło, cóż by się stało z nami, któż drugi rządziłby u nas tak wspaniale, doprowadził kraj do rozkwitu, bezpieczeństwa, dobrobytu? Ach, ci nędzni Polacy..., którzy nawet nie są w stanie zrozumieć wyświadczonego im dobrodziejstwa! Trudno, więc trzeba ich brać na zakładników, trzeba trochę, troszeczkę, no powiedzmy na dziś, kilka tysięcy ludzi aresztować, porządek być musi. *Ordnung muss sein*.

Idziemy. Ulice zalane słońcem. Ludzie uśmiechają się, spacerują. Nic się nie zmieniło, a mój Jurek tam w katordze germańskiej.

— Strasznie wyglądasz — mówi Inka — oczy spuchnięte, twarz zapłakana, opanuj się, przecież musisz działać, a nie rozpaczać. Zresztą zwracasz na siebie uwagę, a wiesz, jak to niedobrze. Gdy ciebie wezmą, to już i jego koniec.

— Tak, Inko, masz rację. Mnie nawet rozpaczać nie wolno, będę śpiewać, ale co? Może *Śmieję się pajacu*<sup>25</sup>, to mi bardzo odpowiada.

Idziemy w Aleje Ujazdowskie, zmęczone, zbolale, siadamy na ławce. Rezultat dzisiejszego dnia: nie ma go ani w SS na Klonowej, ani na Krakowskim Przedmieściu, ani w Alei Szucha 23<sup>26</sup>. Pozostaje jedno: wywieźli go z gestapo na Pawiak, albo... nie, nie, nie, nie zabili! Jeszcze nie zabili.

Siedzimy akurat naprzeciw kryminalnej policji. Cztery dni temu tu, w te wrota wprowadzali go, badali w tym ładnym, białym domu, który mógłby być szkołą albo szpitalem,

<sup>25</sup> *Śmieję się pajacu* — słowa z arii *Vesti la giubba* z opery *Pajace (I Pagliacci)* Ruggera Leoncavalla z 1892 r., pierwszej w całości nagranej (w 1907 r.; aria w wykonaniu Enrico Caruso), jak i w całości sfilmowanej (w roku 1931) opery; jest to aria zdradzonego, opętanego chęcią zemsty męża, Canio, zmuszonego jednak grać rolę Pajaca w sztuce teatralnej i przebierającego się w stosowny strój. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> w *Alei Szucha 23* — w czasie okupacji niemieckiej areszt śledczy Gestapo mieścił się przy Alei Szucha 25 w Warszawie. [przypis edytorski]

a stał się kaźnią. Tu go męczyli, zanim powieźli go o kilka domów dalej, na gestapo, na nowe tortury bardziej wyrafinowane. O czym myślał? Mój biedny, ukochany chłopak.

Siedzimy bezradnie. Jak strasznie, gdy nie można działać w chwili, gdy rozgrywają się losy naszych najdroższych. Walka o życie przegrana. Żeby móc kogoś znaleźć, kto ma wstęp do wszystkich urzędów!

— Słuchaj — mówi Inka — jeszcze raz pójdę do gestapo.

— Nie, nie — protestuję — ja mogę się narażać, to mój obowiązek, zresztą i tak nie mam nic do stracenia, ale ty?

Inka nie ustępuje.

— Nie wolno ci tam iść. Przede wszystkim mogą cię tam poznać z fotografii. Jurek nosił przy sobie twoje zdjęcia, poza tym legitymować się w gestapo fałszywym dowodem to pewna śmierć. Poczekasz, a ja pójdę na własny dowód, może się czegoś nowego dowiem.

— A co powiesz? — pytam.

— Powiem, że to mój narzeczony jeszcze sprzed wojny, że miałam narzeczonego Żyda.

— A jeżeli cię zatrzymają?

— To ty sprowadzisz matkę. Przecież ja zawsze mogę udowodnić swą nieocenioną aryjskość.

— Ineczko, lepiej zapytaj, czy taki jest i za co go wzięli, a jak ci powiedzą, że to Żyd, to powinnaś się zdziwić i oświadczyć, że i przed tobą ukrywał swe pochodzenie, bo inaczej mogą cię zatrzymać za ukrywanie go. A jednak wydaje mi się, że nie powinnam ci na to pozwolić.

— Cicho bądź! — mówi Inka i odchodzi.

Zostaję sama. Przechadzam się. Liczę kroki: żyje — nie żyje, żyje — nie żyje! Ach żyje, żyje! Jeszcze do słupka: żyje — nie żyje — nie? Nieprawda! Wprzód było, że żyje! Ach, co za głupota, może ja wariuję. Czemuż jest tak okrutnie źle!

Inki długo nie widać. Siadam na murku przy ogrodzeniu gestapo. Wiem, że to nierozsądnie, powinnam odejść dalej, mogą mnie zapytać, co tu robię. Trzeba iść stąd, ale tak mi wszystko jedno. Jedno po drugim eleganckie auta niemieckie przejeżdżają koło mnie. Gestapowcy, SA, SS przechodzą, nie zwracając żadnej uwagi na moją skromną osobę. Ot, siedzi sobie jakaś tam dziewczyna w wytartym żakiecie, cóż to kogo obchodzi. Ale żeby tak krzyknąć: „słuchajcie, ja jestem Żydówką!” Magiczne słowo. Popłoch. Auta stanęłyby. Od razu gestapowcy, SS, SA, SD, żandarmeria, słowem wszystkie znamienite formacje wojsk wielkiego wodza stanęłyby w szyku bojowym, chwyciwszy za broń. Natychmiast otworzono by przede mną zamknięte wrota i wpuszczono by mnie, nie legitymując wcale. Słuchajcie, słuchajcie, to Żydówka! Fantastyczne! Cóż to za śmiałość tak stać przed gestapo! Jej plugawe, przeklęte nogi ośmieliły się stąpać po świętej ziemi katorgi i męczeństwa. Pojmać! Zabić! Zwierzyna, wspaniała zwierzyna, takiego udanego polowania w Alejach Szucha jeszcze nie było, cieszcie się, bawcie się, lubicie przecież takie zabawy!

Nie, nie czas jeszcze, nie będzie zabawy, nic wam nie powiem, muszę przetrwać, muszę pomścić, pomścić naszą krew, łzy, strach, mękę...

Inka nadchodzi.

— No i co? — pytam z bijącym sercem.

— Całą grupę Żydów wywieźli podobno na Pawiak, o tym nie mogłam się dowiedzieć, w każdym razie Jurek był między nimi, to sprawdzone, na miejscu ich nie rozstrzelali.

— Nie kłamiesz, Inko? — pytam. — Przysięgnij!

— Przysięgam na co tylko chcesz. Trzeba teraz dowiedzieć się na Pawiaku, ale jak, jeżeli dojdź tam nie można. Przez kogo?

Kierujemy się w stronę Placu Trzech Krzyży. Inka opowiada mi szczegółowo o swoich informacjach. Na Placu Trzech Krzyży z okazji przyjazdu Franka odbywa się parada wojskowa, orkiestra gra. Jak nakręcone kukły maszerują żołnierze odświętnie przyodziani, idą prosto, równo pod dźwięk zwycięskiego marsza. Ach, jak oni równo potrafią chodzić, jak są z tego dumni! Co znaczy dla nich dobroć, szlachetność, nic, to niepotrzebne! Co znaczy dla nich mądrość, serce, sprawiedliwość, to nieużyteczne! Ale prosto, równo stąpać w szeregu! Kto tak potrafi? Tylko my, *Herrenvolk*, rasa nad rasami. Patrzcie na nas i podziwiajcie!

Żołnierz, Przywódca,  
Władza, Zbrodnia

Patrzę na nich — mordercy!!! Widzę już was tak idących w pochodzie szkieletów, widzę wasze nienawistne kości, wasze trupie głowy pod hełmami i paradnymi czapkami, widzę wasz koniec, wy zbrodniarze nad zbrodniarzami!!!

Maszerujcie przed waszym krzywym i zwariowanym godłem, spoglądajcie na portret waszego przekłętą wodza i śpiewajcie hymn na jego cześć, pozdrawiajcie go wy, skazani na zagładę przez własną nienawiść, naszą krzywdę. „*Salve Hitler, Morituri te salutant*”.

## „HOTEL POLSKI” — TREBLINKA

Na ulicy Długiej mieści się biedny, stary hotelik o szumnej nazwie „Hotel Polski”. Właściciele na pewno z utęsknieniem oczekiwali dawniej gości, przeważnie przyjezdnych kupców czy komiwojażerów. Teraz oto rozeszła się jak echo wiadomość, że Hotel Polski na Długiej to przystań dla Żydów. Można dostać tam papiery i jechać do jednego z państw Ameryki Południowej. Wiadomość szła krętą drogą z ust do ust, konspiracyjnie. Jednakże istniał kontakt między kryjącymi się Żydami. Napływali ludzie z całej Warszawy, z prowincji, zewsząd. Nie mieli oni gdzie mieszkać i rozumieli, że uratowani z getta zginą tu prędzej czy później. Nie wystarczy im pieniędzy na żywność i na wpadki. Wieczny strach, wiecznie rozbiegane oczy, a może mnie poznał? Zależność od każdego, który ma twoje życie w swym ręku. Począwszy od dziecka, wystarczy, by zawołał: „To Żyd!” i już koniec. Nie pomogą żadne dokumenty. Czasem tylko gruba forsa, ale na jak długo starczyć mogą pieniądze? Zresztą, nie zawsze za pieniądze kupisz sobie życie, Żydzie!

Zrozpaczeni ludzie, a właściwie tylko wpół ludzie, z radością dowiadują się, że jest dla nich przystań — że skończy się wieczny strach, ciągle poniżenie, wieczne przytyki, skończy się koszarne życie „na niby”. Będzie można być oficjalnie między swoimi. Jakież to szczęście!

W hotelu na Długiej sprawą amerykańską zajmuje się gestapo. Ich przedstawiciele, którzy organizują wszystko i mają kontakt z Żydami, to trzech eleganccy ludzie, Skokowski, Kenig i stary, szykowny pan Koniecpol, który się każe tytułować inżynierem. Zajeżdżają eleganckimi autami, uprzejmie rozmawiają z kandydatami na amerykańskich obywateli. Udzielają informacji. Niebo otworzyło swe wrota, Bóg zmiłował się nad nie licznymi, ocalonymi synami Izraela.

Sprawą przedstawia się następująco: Żydom mieszkającym w krajach Ameryki Południowej udało się dla swych krewnych Żydów polskich zdobyć papiery emigracyjne. Taki tam jest zwyczaj, że kto ma ziemię, staje się pełnoprawnym obywatelem państwa. Otóż krewni ci kupowali na imię Żyda polskiego jakiś placyk i w ten sposób czynili go obywatelem Ameryki Południowej. Odnośne dokumenty przysły do warszawskiego gestapo już późno, już po zagładzie getta. Gestapo znalazło się w ciężkim położeniu, ponieważ trudno im byłoby odpisać, że nikogo z wzywanych nie ma. Wpadli więc na pomysł, aby papiery te rozdać pozostałym jeszcze Żydom. Zmiana osób nie wyjdzie na razie na jaw, ponieważ emigracja do Ameryki Południowej nastąpi dopiero po ukończeniu wojny. Na razie ludzi tych umieści się w specjalnych domach dla internowanych obywateli obcych. Jest taka miejscowość na granicy szwajcarskiej Vittel, gdzie w komfortowym hotelu „La Providence” ludzie ci zostaną umieszczeni. Będą mogli spokojnie poruszać się po okolicy, nigdzie na pewno nie uciekną, bo któż by, mając tak wspaniałe warunki, doskonały wikt, stałą pomoc amerykańską, chciał uciekać?

Pobyć w Vittel nie znudzi ci się. Możesz jechać kajakiem, kąpać się, grać w tenisa, urządzać górskie eskapady i tańczyć na wytwornych dancinгах. Człowieku, czy może ci się to pomieścić w głowie? Z piekła do nieba. Zwariujesz ze szczęścia. Tenis, tańce, tego już nie chcemy, dajcie nam tylko spokój i nic więcej.

Dokumenty były na różne nazwiska, np. dla pana Goldsteina z rodziną, pana Rozenbluma z rodziną. Więc tworzone z kryjących się rodziny. Starszy pan był ojcem, trzeba mu było dobrać tyloletnią żonę potem synów, córki. Dzieci mogą być mężami, żonami no i ich dzieci. Aby kupić obywatelstwo trzeba było mieć pieniądze i to grube, ale można było targować się. Dzieci i starsi ludzie mogli iść darmo, bo ich było mało. Poza tym, ludzie zasłużeni, lekarze, adwokaci, inżynierowie. Tych wszystkich, jeśli byli w ciężkich warunkach, przyjmowano bezpłatnie.

Nadzieja, Zagłada

W końcu hotel na Długiej stał się oazą, miejscem zboru wszystkich Żydów i jeśli jeszcze na ulicy Długiej byłeś ściganym zwierzęciem, któremu w każdej chwili groziła śmierć, to już za bramą hotelu byłeś człowiekiem. Nic dziwnego, że garnęli się tam ci wszyscy, którzy uciekli z getta, a chronili się po stronie aryjskiej. Ale, żeby tam mieszkać, właściwie nie mieszkać, ale dostać kąt i pozwolenie zostania na noc, trzeba było dostać dokumenty, jako obywatel zagraniczny. Szły targi. Ludzie błagali wprost na klęczkach przedstawicieli gestapo, wystawali całymi dniami w kolejkach do tych bogów, aby się zapisać. Tak. To była jedyna ucieczka. To było wprost zbawienie.

Znalazło się jednak kilku takich, co powątpiewali w tę całą organizację. Czy to czasem nie lipa?! Jak to? Więc oficjalnie pozwalają Żydom, kryjącym się, którym grozi śmierć na każdym kroku, spacerować po hotelu? gromadzić się na podwórzu? Czy to czasem nie pułapka?

Ale większość twierdziła, że sprawa jest jasna jak słońce, nie szukajcie dziury w całym. Niemcy po prostu dla zagranicy chcą mieć taki obóz internowanych Żydów. Nie z miłosierdzia, po prostu na pokaz. „To jest możliwe, wszystko w porządku”, wołali ludzie, zagłuszając głosy powątpiewania, a wierzyli, bo chcieli w to wierzyć, bo był to ratunek, jedyny ratunek, brzytna dla tonącego.

O hotelu usłyszałam przypadkowo i kiedy Jurka zabrano, postanowiłam tam pójść. Jeżeli są tam jacyś ludzie, którzy mają kontakt z gestapo, może oni mogą dowiedzieć się, gdzie Jurek — może mogą mi coś poradzić. Spotkałam tam nieco znajomych. Wszyscy opowiadali o swoich strasznych przeżyciach. Nie współczuli mi. Każdy był zajęty sobą, każdy przeszedł tyle własnych nieszczęść, że już na obce był zupełnie nieczuły. Nic dziwnego. Spotykam tam kilka osób, z którymi mniej więcej w tym samym czasie, co i mnie zabrano kogoś z aryjskiej strony. Tak samo starali się tu coś załatwić. Informują mnie, że młodych, zdrowych mężczyzn nie zabija się od razu, ale wysyła do obozów pracy. Jeżeli Jurka zostawią jeszcze w Alei Szucha albo na Pawiaku, będzie można go uratować. Na Pawiaku jest specjalna cela żydowska, gdzie trzymają ich aż do zebrania się większej partii, którą wysyłają pod konwojem do obozów. Po długich wyczekiwaniach dostają się wreszcie do jednego z „królów”, który ma „chody” na Pawiaku i przedstawiam mu moją sprawę. Załatwia on w ten sposób zwolnienie, że zapisuje zatrzymanego na listę emigrujących, a potem już jako obcokrajowca przywozi do hotelu na Długą. Interwencja taka kosztuje 20 do 30 tysięcy złotych. W całym majątku mam zaledwie dziesiątą część, ale o tym nie myślę, jakoś to będzie, muszą mi pomóc. Wyduszę od Aliny za meble, od Fiutkowskiego, na taką sprawę muszą dać. Błagam i zaklinam go na wszystko. Zapisuje dane: proszę być tu jutro w południe, a dam pani odpowiedź. Czy możliwe, aby go zwolnił, o Boże!

Jakże długa może być noc. Będziemy w Vittel, skończy się męka. Ach, biedny Jurku, ty zapewne myślisz...

Nazajutrz skoro świt, biegnę na Długą — czekam. Mija 12:00, 1:00, 2:00 i 3:00, zbliża się wieczór, a jego nie ma. Czy bywają takie dni, że w ogóle nie przyjeżdża? Zdarza się, że jest bardzo zajęty.

Czekam i pocieszam się, że może właśnie coś dla mnie załatwi, może od razu z Jurkiem przyjedzie.

W końcu przed wieczorem zajechała maszyna. Ludzie tłoczą się, każdy ze swoją sprawą. Wreszcie dopchnęłam się. „Nie byłem na Pawiaku, nie miałem czasu”. „Proszę pana, a jeżeli go wywiozą, proszę pana, niech się pan pośpieszy, przecież mogą go wywieźć”.

Ale takich spraw, jak moja, jest dużo. Dla mnie ona jest najważniejsza, jedyna, dla niego zupełnie nieważna. Tak mijają dni. Pan K. zwleka z dnia na dzień, aż w końcu oświadcza mi, że dwa dni temu cała grupa wyjechała z Pawiaka do obozu, ale dokąd, nie wie.

Więc wszystko przepadło!

Komu mogę się poskarżyć, kogo mogę o to oskarżać?

Mogę tylko płakać, płakać bez końca. Po co żyć, co zrobić, aby jak najprędzej umrzeć.

Teraz wiem, że prośbą nic nie zdziałam, ale z miejsca trzeba było go olśnić. Gdybym miała doświadczenie i pieniądze, mogłabym nie prosić. Wszystkie kosztowności i pieniądze miały być złożone, a po przybyciu Jurka zwrócone.

Ale jest jeszcze droga do Jurka. Póki żyje, nie trzeba tracić nadziei, pocieszam się sama. Trzeba go szukać.

Z Pawiaka wysyłają na Majdanek i Treblinkę, łżejszych jakoby na Poniatów i Trawniki.

Kenig mówi mi jeszcze o obozach stosunkowo lekkich Ost Sudecie i Lipowej, ale jak się dowiedzieć, dokąd go posłano. Przede wszystkim mogli go tam rozstrzelać na Pawiaku. Kto wie? Jak sprawdzić? Mogę tylko wierzyć Kenigowi, który z całą stanowczością twierdzi jakoby sprawdzał, że wysłano go i podaje datę 23 czerwca w kierunku nieznanym. Szukaj...

Będę go szukać, bo jakież jeszcze inny cel mam w życiu?

Przede wszystkim do Poniatowa i Trawnik idą listy nieoficjalne, ale idą, jest nawiązany kontakt. Dołączam więc prośbę do listów pisanych do tych obozów z zapytaniem o Jurka. Co dzień chodzę na Długą, czekając na odpowiedź. Zazdroszczę wszystkim, którzy są razem. Czuję się tak strasznie samotna i opuszczona, zdana w takim strasznym momencie na samą siebie. Obie Rakowskie wprawdzie dzielnie mi towarzyszą. Inka nie opuszcza mnie ani na krok, ale ich możliwości są bardzo mizerne. Ludzie coraz bardziej garną się do hotelu, pomieszczenia są tak zapchane, że po prostu walczy się o miejsce. Wydaje się, że ludzie tam chyba śpią na stojąco. Rumor, krzyki, latanie. Niedługo transport ma odejść, a tu nie ma już miejsca. „Muszę mieć dla żony dokumenty — krzyczy ktoś — przecież sam nie pojedę, a chcą od niej takiej sumy, że po prostu, człowieku, zabij się”. „Jest wolne miejsce w mojej rodzinie na jedną starszą kobietę i kilkoro dzieci, czy są kandydatki? Nie będzie dużo kosztować!” „Och, też mi łaska! Starych i dzieci można bezpłatnie urządzić”. „Ty, Rapaport, dokąd jedziesz?” „Ja? Do Urugwaju, ale ja już nie jestem Rapaport, zapomnij, ja teraz jestem Blauszyld”. „Z jakich to Blauszyldów? Może z tych z Bielańskiej?” „A bo ja wiem — jestem Józef Blauszyld, jadę z rodziną, składającą się z przeszło kilkudziesięciu osób. Jestem ojcem, mężem może i dziadkiem, nie wiem — muszę poznać moją rodzinę”.

Takie rozmowy słyszy się dokoła. Mój stary znajomy, łodzianin, skarży się: „Raz w życiu miałem porządne aryjskie nazwisko Łęczycki, moje własne, potem zmieniłem je na aryjskiego Stanisława Majanera, potem znów na Jachimowicza, aby być teraz Rabinowiczem. Szukam sensu, ale nie mogę go znaleźć w nazwiskach, jak go nie ma w życiu, bo jakież jest w ogóle sens w tym, że ja jeszcze żyję?” Podchwytuję ostatnie słowa. „Tak, panie Łęczycki, ja jestem tego samego zdania”. „Co też pani mówi, dziecko, taka młoda. Gdybym ja był w pani wieku!” „Cóż pan myśli, że młody mniej cierpi? Tak samo wszystkich straciłam, jak pan”. „Pani nie straciła dzieci”. „Bo ich nie miałam, ale czy można się licytować naszym nieszczęściem?”

W hotelu jest również moja szwagierka. Zostały obie z teściową z tak małymi środkami po ostatnim rabunku, że po prostu nie mają na przeżycie kilku miesięcy, całkowicie zdane na łaskę Fiutka, który tylko myśli, jakby się ich pozbyć. Poza tym obie mają semicki wygląd, nie mogą się poruszać po mieście. Powinny siedzieć w zakonspirowanym miejscu, ale skąd na to wziąć pieniądze?

— Jestem bliska obłędu — skarży się Zosia. — Po tym przejściu z Jurkiem, nie wierzę, abyśmy wyżyły.

— Zosiu — mówię — musisz koniecznie jechać z matką, nie ma dla was innego wyjścia. Myślę, że ciebie, jako lekarza, przyjmą za małą sumę, może i bezpłatnie.

— A ty?

— Ja zostaję, naturalnie, przecież bez Jurka nie pojedę.

— Cóż ty możesz dla niego zrobić?

— A może jednak. Jeżeli chociaż mały liścik mu dostarczę, to już będzie wiele. Sama myśl, że żyję i myślę o nim... Będę działać do końca.

Tego samego dnia jestem u starych znajomych. Ktoś z nich proponuje mi, żeby jechać z nim jako żona.

— Wiem, że pani jest w ciężkich warunkach, tu pani zginie, a tak będzie pani mieć opiekę no i...

Przerywam mu.

— Nie, nie, dziękuję. Nie pojedę.

Odchodzę szybko i płacę. Jakie to straszne, jak on powiedział, „jako jego żona” i że ja nie mam już tu co robić. Więc właściwie Jurka już pogrzebano — ja tylko łudzę się — Boże, Boże!

Przychodzi odpowiedź z Trawniki i Poniatowa. Nie znaleziono go. Pojadę dowiedzieć się do Treblinki. Zosia odradza mi: zginiesz.

— Zosiu, ja już postanowiłam.

Żegnamy się. Zosia zostaje w hotelu, czekając ciągle na dokumenty. Jadę do Treblinki. Jedziemy we trójkę, jedna aryjka (jak się później dowiedziałam aferzystka, prostytutka i wariatka w jednej osobie) i młody kolejarz, poznany przypadkowo na dworcu. Wysiadamy w Małkini. Tam na torze robotnicy z Treblinki pracują przy wyładowaniu węgla. Nasz kolejarz kręci się przy tym samym torze, a my czekamy z daleka. Usiedliśmy na trawie. Wyteżam wzrok. Widzę jak Żydzi w brudnych, starych łachmanach pracują. Pilnują ich Litwini. Ot, jeden z nich przystąpił do jednego z Żydów i bije go, bije bez końca. Zamykam oczy.

Twarzy pracujących nie mogę z tej odległości zobaczyć. Boże, może między nimi jest Jurek, oby był!

Zostajemy w Małkini kilka dni. Kolejarz co dzień chodzi na tor, mówi, że nawiązał już kontakt z pracującymi i podał nazwisko.

Co dzień chodzimy na stację, gdzie o siódmej placówki tak blisko przechodzą obok jednego z zabudowań, że dokładnie można obejrzeć przechodzących. Z twarzą przyklejoną do szyby wpatruję się w nich. Jakżeż są wymęczeni, szerniałe twarze, zapadnięte oczy, pochylone plecy. Jurka nie ma. Może pracuje wewnątrz obozu, a może na innej placówce.

Kolejarz co dzień przynosi nowe wiadomości, raz, że jest, drugim razem, że go nie ma. Wiadomości są sprzeczne, raz jestem w niebie, skaczę z radości, na drugi znów dzień spadam z góry szczęścia i czuję się jak w grobie. Co dzień daję mu pieniądze na wódkę, którą niby to ugaszcza strażników i co dzień wyczekuję z utęsknieniem chwili jego przyścia, by wysłuchiwać bredni, którymi mnie karmi. Łażę po łąkach, polach. Tam w dali jest Treblinka! Tam palą trupy. Aż tu czuje się mdły zapach.

Wreszcie zrozumiałam, że marnuję czas. Szukam innej drogi i znajduję przez naczelnika kolei, który ma kogoś w obozie koncentracyjnym. Dostaję wiadomość, że Jurka nie znaleziono.

Opuszczam Małkinię w słoneczną pogodę. Pojadę do Lublina.

W Warszawie nowe nieszczęście. W noc po moim wyjeździe gestapo otoczyło hotel i wywoziło wszystkich na Pawiak, ale wywozili tak, jak ongiś w getcie, bez najmniejszego szacunku dla obcych obywateli, a w chwili, gdy w hotelu padły pierwsze trupy i ludzie zorientowali się w sytuacji, nie było już ratunku. Byli otoczeni. Większą część rozstrzelano na Pawiaku, część wywieziono do obozu męczeńskiego do Hanoweru, gdzie w cztery miesiące później w listopadzie zlikwidowano ich w tym samym czasie co i obozy żydowskie w Polsce. Teściową zastałam zupełnie przybitą. Po synu straciła córkę. Była na wpół obłąkana.

— Zosia — szeptała — szukaj Zosi, szukaj jej, może jeszcze jest na Pawiaku.

Znów wędrówki z Inką po Warszawie, znów nawiązanie kontaktu z Pawiakiem, znów ostatnie pieniądze na łapówki. Tym razem teściowa oddaje ostatni pierścionek.

Czemu w tym strasznym momencie aresztowania Jurek nie miał go przy sobie? Może by go uratował ten krążek z kamykiem. Patrzę nań. Czy wart był życia Jurka?

Wiadomości dostajemy z dwóch stron. Zosię rozstrzelano na miejscu. Jeszcze jedna padła w szeregu. Kto z nas następny?

Jadę do Lublina.

## MOJE POSZUKIWANIA — LUBLIN, MAJDANEK

Więc mam nareszcie kilka tysięcy złotych. Aby jechać do Lublina, trzeba mieć przepustkę. Ja naturalnie przepustki dostać nie mogę. Postanawiam jechać bez niej. Po drodze zabierają do Prus, wysadzają z pociągu, aresztują. Wszystko jedno, przecież nie chodzi o mnie i tak już zmarnowałam na nic tyle czasu, a jak męczą w obozach, o tym wiemy.

Jadę. Za bilet, jeśli bez przepustki, płaci się podwójnie. Kontrolni też się daje w łapę. To wszystko głupstwo, byleby żandarmeria nie sprawdzała. Żandarmeria pojawia się w Dęblinie. Wchodzą do wagonów, ale interesują się tylko szmugłem. Oddycham z ulgą.

— Teraz pani wysiądzie przed Lublinem, bo z samej stacji trudno będzie bez przepustki dostać się do miasta — informuje konduktor.

Wysiadamy w Motyczu i idziemy 10 km do Lublina.

Po drodze orientuję się, że moje towarzyszkę to zwykle szantażystki. Mam swoich własnych łapaczy ze sobą. Ich zamiar jest przejrzysty. Wydostać ode mnie pieniądze, a potem splawić mnie. Jasne. Z początku działają dyplomatycznie, ale już w Lublinie znudziła im się zabawa w kotka i myszkę i zaczynają jasno występować.

Nie, nie będę opisywać setek usiłowań ucieczki, nie mogę już nawet myśleć o tych wydarzeniach i o tym, jak wieczorem na przedmieściu Kuśminka spadały na mnie ich razy.

Tak, dwie prostytutki były mnie po twarzy.

— Daj pieniądze, Żydówko. Patrzcie, co za bezczelność jechać pod Majdankę! Ty bezczelniczo, oddaj pieniądze!

— Oddam na żandarmerii, ale nie wam — krzyczę.

Czy to ja tak krzyczę?

— Tak, chodźmy na gestapo, ale wszyscy, i wy obie. Jeżeli chcieliście być wierne Niemcom, to trzeba było tam w Warszawie mnie wydać, a nie wozić aż tu. Jeżeliście tego nie zrobiły, to miałyście w tym jakiś interes. Idziemy, gdzie tu żandarmeria?!

Taki obrót sprawy nie bardzo jest na rękę moim towarzyszkom i ich pijanemu kompanowi.

— Żandarmeria to ja — bełkocze, pokazując mi czerwoną opaskę pracownika z Majdanka.

Brrr, jakie to okropne!

W końcu oddały mnie do „zlikwidowania” temu pijakowi.

...Ciemny pokój, na stole dogasa świeczka, przyglądam się, jak topnieje w oczach. Płomień drży, płomień to jej życie. Niedługo zgaśnie, tak jak i moje. Pijak Rożenek patrzy na mnie jak kot na mysz, która mu już nie ucieknie. Jest pijany, ale jeszcze nie na tyle, aby stracić zupełnie przytomność.

— No, mała — pyta się — napijesz się? U licha, napij się, to już twoja ostatnia wódka w życiu. Właściwie nie zrobili ci takiej wielkiej krzywdy, że teraz cię wezmą, przecież i tak w końcu musisz zginąć. Jak długo można się maskować — filozofuje.

— Przecież wiem, że zawsze u was nie zostanę — wrywa mi się nieopatrznie.

Rożenek wstał, wyprostował się.

— Co, coś ty powiedziała? Kto będzie? Ty, ty... Ciebie trzeba zabić natychmiast! Nie będę czekał do rana, zaraz zawołam straż.

Domek Rożenka stał przy samym ogrodzeniu Majdanka, tak że straż ustawiona co kilka kroków, bez przerwy maszerowała obok domu.

— Po co masz wygodnie siedzieć w pokoju — (czy ta spelunka to pokój?) — lepiej niech się taką pieski pobawią, będą chociaż miały przyjemność.

SS-mani pilnują obozu wraz z olbrzymimi psami, specjalnie tresowanymi do rzucania się na ludzi. Teraz z kolei i ja wstaję.

— No, to chodźmy.

Ale serce w Rożenku mięknie.

— Czemu jesteś taka niewdzięczna?

Wyciąga do mnie brudną, wstrętną łapę, drgam z obrzydzenia.

— No, będziemy pić!

Czasem tak nagle wpadają człowiekowi pomysły do głowy, że i teraz jeszcze jestem swoją myślą olśniona. Pomyślałam: „czy z takiej okropnej sytuacji może być jakieś wyjście?”

— Dobrze, pijmy.

Staję się rozmowna i wesoła. Zaprawiam wódkę karmelem, naprędce przyrządzonym. Zagryzam usta, aby nie krzyzczyć i śmieję się straszonym, sztucznym głosem. Rożenek jest mną olśniony.

— No, tak to lubię, jesteś fajna dziewczynka — sepleni. — Będziesz grzeczna?

— Będę — przyrzekam.

— I dobra dla mnie?

— Tak, tak, ale wpierv musimy przecież pić, aby odzyskać humor.

Rożenek przyjmuje ten projekt z aprobatą.

— Naturalnie, naturalnie, pijemy.



Oszukuję go jak mogę. Wylewam zawartość moich kieliszków. Rożenek pije, rozwiązuje mu się język i opowiada mi przy tym o męczarniach majdankowskich, o swoich „uczciwych” zarobkach, o tym, jak cała jego rodzina przyjęła volkslistę — chociaż nic wspólnego z Niemcami nie miała.

— Ja będę Niemcom służyć — bełkoce — bo przy nich mi dobrze. Ja teraz jestem pan, co chcę, to mam, a przy Polakach pracować trzeba było. Pójdiesz, człowieku, do baraku, popijesz z SS-manami... interesik. Sprzedać, kupić, forsa jest. Teraz sezon, raz po raz przywożą Żydziaków. Na tych ostatnich, białostockich muszę fajnie zarobić!

— Pijmy, pijmy — zachęcam go, a potem biorę po łyżeczce wódki i tak, jak małemu dziecku kaszkę, pcham mu ją do ust, jedną po drugiej. Podobna mu się taka zabawa i pije jak anioł.

— No, jeszcze jedną — zachęcam — na to, żeby zarobić na Żydach białostockich, a ta, żeby druga grupa tu przyjechała, a ta, żeby order zasługi dostać, a ta...

Świeczka gaśnie. Różanek pijany w sztok wolno podnosi się z krzesła i zbliża się do mnie.

— Chodź!

Odpycham go z całej siły. Zatoczył się i upadł na niedaleko stojący tapczan, zasypiając momentalnie pijackim, ciężkim snem.

Uciekać!

Teraz może być godzina dwunasta, jest godzina policyjna, drzwi zamknięte, przed domem straż, psy! Jeżeli nawet uda mi się niepostrzeżenie wymknąć przez okno, to zatrzymają mnie na mieście.

Siadam na parapecie, potem cichutko otwieram okno. Będę tak siedzieć, gotowa każdej chwili do skoku. Cisza, tylko z Majdanka słychać gwizdy, ciche sygnały, miarowe kroki straży. Gdzieś warknął pies. Wiatr głaszcze mi rozpalone czoło. Przy jasnym świetle księżycy widzę, jak wskazówki zegara poruszają się, sekundnik szybko, szybko, a minuty jakże powoli.

Siedzę, czuła na każdy szelest. Rożenek poruszył się na łóżku, spuściłam nogi. Już!!! Nie, znów spokój.

Jakże długa, jakże strasznie długa była ta noc. Patrzyłam w niebo. Księżyc oświetlał Majdankę i dom Rożenka, spoglądał na mnie, a może i na Jurka.

Ach, Jureczku, czy tam leżąc w jednym z baraków, głodny, skatowany, myślisz o tym, że ja mogę być tak blisko ciebie i jednocześnie tak daleko?

Świta. Tapczan — grat zaskrzypiał. Rożenek budzi się.

Zeskakuję z okna i nie oglądając się, idę szybko w kierunku miasta. Zdaje mi się, że strażnik woła mnie, a może to tylko złudzenie.

Biegnę.

Na ulicach zupełnie pusto. Włazę przez parkan do jakiegoś ogródka. Siadam na kamieniu. Za ogrodzeniem czuję się pewniejsza niż na ulicy. Chłodno. Pozbyłam się ich, mych prześladowców, wyzbyłam się pieniędzy, walizki. Co dalej? Pojechałam, aby pomóc Jurkowi, tymczasem straciłam prawie wszystkie środki, część rzeczy i zmarnowałam na próżno kilka dni. A teraz muszę się sobą, a nie nim zajmować. Niedoświadczenie, głupota — jak to nazwać — czy nie zbiegiem okoliczności? Powinnam może jak najszybciej uciec stąd. Miła trójka będzie mnie szukać, a Lublin jest nieduży. Tym bardziej, że będę kręcić się w okolicy Majdanka.

Ale uparłam się, że nie wyjadę. Nic nie działałam. Muszę dowiedzieć się, czy on tu jest.

Po ogródku ktoś chodzi, jakaś kobieta podchodzi do mnie.

— Co pani tu robi?

— Ja? — jąkam się. — Odpoczywam.

Patrzy na mnie badawczo i co sobie myśli; jakaś dziewczyna w jedwabnej, kwiecistej sukience i granatowym, spłowiałym żakieciku, nieuczesa (po drodze zgubiłam grzebień), na nogach sandaalki, z których jeden podarł się przy zeskakiwaniu z okna i trzyma się na nodze na słowo honoru. Nie, nie wyglądam solidnie i w najbardziej dobrym człowieku nie mogę wzbudzić zaufania.

Podnoszę się z kamienia. Kobieta kiwa głową, tak jakby mówiła: „biednaś ty”, i przyglądając mi się wciąż, zaprasza mnie do mieszkania.

Wchodzę. Ogarnia mnie fala ciepła. Dom, stół, łóżka, na ścianach portrety, na stoliku haftowana serweta, na podłodze dywaniki, pod kuchnią trzaska ogień...

Dom. Jak dobrze czuć, że mówi się z człowiekiem. Podaje mi gorącą herbatę. Jestem taka głodna!! A potem troskliwe ręce układają mnie na sofie. Przez sen czuję, jak kobieta okrywa mnie kocem. Śpię. Odsypiam nieprzespane noce i tragiczne dni.

Budzę się, gdzie jestem? Słyszę rozmowę.

— Bierzesz do domu dziewczynę z ulicy, nie wiesz, kim ona jest... — mówi męski głos.

Odpowiada mu kobiecy.

— Nieszczęśliwa dziewczynka. Trzeba jej pomóc, kimkolwiek by nie była. Głodnego nakarm — podróżnego w dom przyjmij. Czyś zapomniał o tej nauce?

Budzę się. Z rana o nic mnie prawie nie pytano, teraz będę musiała wszystko o sobie opowiedzieć. Co powiem? Muszę kłamać, a jak trudno przyjdzie kłamać tej szlachetnej kobiecie.

Opowiadam tak, aby częściowo choć pokryło się z prawdą. Zabrano mi narzeczonego w łapance i wywieziono, przyjechałam więc z Warszawy szukać go na Majdanku. Mówię, że „narzeczonego”, ponieważ moje dokumenty, to znaczy Inki, są panieńskie. Tu natrafiłam na drania, który odebrał mi rzeczy, szantażując mnie za to, że chcę nieoficjalnie skomunikować się z narzeczoną. W Warszawie mieszkam z matką i siostrą. Rakowskie. To wszystko.

Kobieta jest wzruszona.

— Jak to dobrze, że panią zatrzymałam, że też pani tak się naraża na jazdę z Warszawy tutaj bez przepustki!

„Ach, żebyś wiedziała wszystko” — myślę.

Mogę się umyć. Co za rozkosz! A potem przeprać bieliznę i sukienkę.

Kiedy rzeczy te schną przy kuchni, ja ubrana w szlafrok gospodyni, myślę: a co dalej...

Mała dziewczynka, córeczka gospodyni przychodzi do mnie, wdrapuje mi się na kolana. Przytulam ją do siebie. Dziecko rączkami obejmuje mnie i całuje.

— Zostań — mówi — u nas.

Rozplakałam się. Kim jestem? Odwykłam już od czułości i pocałunków... Groźba śmierci nie może mi już leż z oczu wycisnąć, ale czułość... Serce jest tylko sercem, nawet najmocniejsze i najbardziej zahartowane.

Sprzedaję zegarek, aby mieć trochę pieniędzy. Teraz zaczynam szukać, mając dach nad głową i życzliwych ludzi.

Przede wszystkim dowiaduję się u robotników pracujących na Majdanku, unikam przy tym okolic Rożenka. Teraz już nie mówię, że tu chodzi o męża, ale że mi taką sprawę poruczono. Robotnicy biorą dane, przyrzekają, biorą pieniądze i zwlekają z dnia na dzień. Szukam innego sposobu. Dowiaduję się, że grupy Żydów z Majdanka chodzą na placówki do roboty. Postanawiam więc skomunikować się z nimi. Placówek takich jest kilka. Pracują na tartaku „Piaski”, na Kalinowszczyźnie, w młynie Krauzego.

Idę na Piaski. Pilnuje ich sześciu SS-manów i dwa olbrzymie psy. Podchodzę blisko.

— *Halt!* — wrzeszczy młody SS-man. — Czego chcesz?

Udaję głupią i mówię, że chcę o coś zapytać jednego z więźniów.

— To Żydzi, nie wolno! Czego możesz chcieć od Żydów! — wrzeszczą jego kompani. — Nie wolno!

— A ja mam interes.

Przyglądam się więźniom. Ubrani w płócienne pasiaki, wynędzniali, siedzą na deskach. Przerwa obiadowa. Rozlewają im w miseczki jakąś brudną ciecz — obiad.

Podchodzi oficer SS-man, pyta:

— Jak się nazywasz i czego chcesz od nich?

— Zosia — mówię.

SS-man patrzy na mały srebrny łańcuszek, który noszę na ręku.

— Ładny — mówi — daj mi go, to zawołam kapo. Porozmawiasz z nim. Tylko żeby kontroli nie było!

Zdejmuję łańcuszek z ręki.

Podchodzi kapo. Jest więźniem, który jest odpowiedzialny za całą swoją grupę. Policjant obozu — Konzentrationslagerpolizei. Żółta twarz, rozbiegane oczy. Ktoś odwołuje SS-mana i zostajemy sami.

— Czech — Żyd — inżynier — leśnik — Wasserman.

Wyciągam rękę.

— Odwykłem już — mówi — od podawania ręki, to ludzki zwyczaj, a teraz jesteśmy już tylko numerami.

Proszę go o wyszukanie męża. Waha się.

— Proszę panią, jakżeż mogę wierzyć, że pani, Żydówka przyjechała, tak narażając się? Może panią podstawili Niemcy? Za takie sprawy, o jakie mnie pani prosi, grozi nam śmierć.

Śmieszne, cały wysiłek polega na tym, aby dowieść, że nic wspólnego nie mam z Żydami, a teraz na odwrót, jak udowodnić, że jestem Żydówką?

Jakiś więzień przechodzi obok, dźwigając deski. Spoglądam nań. Łzy płyną mu z oczu.

— Pani mnie nie poznaje. Ja miałem sklepik w domu pani tatusia. Jak ja panią spotkałem! Pamiętam panią taką maleńką... Pokazuje ręką.

Przypominam sobie wielkiego, potężnego mężczyznę, siłacza, a widzę wychudłego staruszka. To on? Kiwa głową. Zrozumiał mnie. Szybko opowiadam, po co przyszedłem.

— Niech pani wyjeżdża stąd, tu śmierć. Pani nic dla męża nie zrobi. Tu nie wolno przychodzić.

Ale ja napieram.

— Zróbcie to dla mnie i dowiedźcie się o nim.

W końcu sprawa przybiera taki obrót. Przyrzekają dowiedzieć się. Komando co dzień jest pilnowane przez innych SS-manów. Więźniowie starają się codziennie swoją straż przekupić, w zamian za to SS-mani pozwalają im przynosić robotnikom pracującym na tartaku jedzenie i zabierać ze sobą szmugiel. Naturalnie przy wejściu na Majdanek jest szczegółowa kontrola, a za każdą odrobinę chleba grozi okrutna śmierć, mimo to nieco pożywienia każdy dzień przemyca się w ten sposób do obozu. W ogóle grupy „wychodzące” są to grupy szczęśliwców, ponieważ udaje im się z obozu wynieść czasem coś z ukrytej biżuterii mimo nadzwyczajnych represji. Za wynoszone i sprzedawane rzeczy kupują żywność. Obóz śmierci, a mimo wszystko jakieś odmienne życie. I ludzie tam też nie chcą się poddać, też walczą o jakąś imitację życia.

Z tartakiem Piaski zawarłam znajomość i wyrobiłam sobie *passe-partout*<sup>27</sup>. Zaprzyjaźniłam się z robotnikami polskimi, którzy tam pracowali i mieli kontakt z Żydami. Od nich dowiadywałam się każdego dnia, jaka jest wacha, czy przekupiona czy nie. Jeżeli przekupiona, wtedy zawsze można było ukraść kilka chwil rozmowy z kapo, który miał nieco większe przywileje od reszty więźniów. Dowiedzieć się o Jurka nie było tak łatwo.

Przed wszystkim więźniowie po całym dniu pracy w napięciu nerwowym i strachu byli tak wyczerpani, że wracając do domu, nie mieli zupełnie ani energii, ani sił do poruszania się. Rano o piątej była pobudka, potem przez kilka godzin trzeba było stać na baczność pod gołym niebem na alarmie. Sprawdzano stan obozu. Wieczorem taki sam alarm. Każdego dnia segregacje, bicie, kary, strzelania, mordowanie, kontrole, głód, śmierć.

Pewnego dnia Wasserman oświadcza mi, że znalazł Jurka. Znajomy pracujący w karcotece podał mu dane. Pracuje w ślusarni, jest na otwartym polu. Jest. Więc żyje.

— Czym się mogę panu odwdziżyć?

— Niczym — mówi Wasserman. — Jest dla mnie wielkim szczęściem, że ja, najniższy z najniższych, najbiedniejszy z najbiedniejszych mogę komuś pomóc. Teraz taka sprawa... Z pola czwartego nigdzie na roboty na miasto nie wychodzą, mam znajomego w Arbeitsamcie<sup>28</sup>, który może go przenieść do mnie na robotę, wtedy mógłby z nami tu przychodzić i mogłaby go pani widywać.

— Ach, co za szczęście!!!

<sup>27</sup>*passe-partout* (fr.) — klucz do wszystkiego, wytrych; tu zapewne jakiś rodzaj „dojścia”. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*Arbeitsamt* (niem.) — urząd pracy; w hitlerowskich Niemczech organ administracji państwowej zajmujący się sprawami zatrudnienia, w Polsce na ziemiach okupowanych przede wszystkim egzekwowaniem narzuconego Polakom przymusu pracy oraz wysyłaniem pracowników na roboty przymusowe do Niemiec. [przypis edytorski]

Odczytuję numer Jurka po raz setny, jego numer...

Proszę jeszcze Wassermana, aby mi jakoś pomógł, aby mu dał znać, że ja tu jestem.

Tymczasem pieniądze kończą się i muszę jechać do Warszawy. Moi gospodarze mają jakichś znajomych pracujących na Majdanku, proponują mi, aby im podać dane. Podaję naturalnie fałszywe. Jerzy Wiśniewski.

Po pewnym czasie otrzymuję wiadomość, że takiego znaleźć nie mogą. Moja gospodyni tłumaczy mi, że jeżeli go nie ma, to po co szukać dalej.

— Tam, gdzie pani chodzi, na pewno wyciągają z pani pieniądze — strofuje mnie — gdyby był, to by nasi też znaleźli.

Jadę do Warszawy po pieniądze. Znow męka. Fiutkowski znika natychmiast jak kamfora. Dla mnie każdy dzień stracony w Warszawie to rozpacz. Wreszcie dostaję nieco pieniędzy od F. i od Aliny i mogę znow jechać. Dowiaduję się przy tym, że Z. z towarzyszką jest w Warszawie, tak że w Lublinie mogę bać się tylko Rożenka. Znow podróż do Lublina. Inka odprowadza mnie na stację.

— Jeśli go zobaczysz, zadeszuj.

— Zadeszuję.

Teraz 10 km z Motycza do Lublina przebywam w niecałą godzinę. Szybko, szybko, żeby jeszcze zdążyć na placówkę, może oni tam są.

Tartak. Placówkarzy nie ma. Już dwa dni nie przychodzą. Rozpacz. Co się mogło stać? Tymczasem muszę szukać mieszkania, nie mogę korzystać dłużej z gościnności moich gospodarzy, których mój, według nich bezowocny, pobyt w Lublinie, dziwi. Znajduję jakąś kolejarzową, która przyjmuje do siebie podróżnych na noclegi. Jest to dość, jak dla mnie, kosztowne, a po za tym często przychodzą kontrole, czy wszyscy korzystający z noclegu są przyjezdni i czy mają przepustki. Mam wprawdzie kennkartę, wydaną w Warszawie, ale przepustki nie mam. Nie mam innego wyjścia. Muszę liczyć na szczęście i tam nocować.

Na drugi dzień skoro świt biegnę na Piaski. Z daleka już widzę pasiaki. Wacha możliwa. Rozmawiam z kapo.

Przez kilka dni nikogo nie wypuszczano, ponieważ uciekło dwoje ludzi. Przez cały czas wszyscy stali na alarmie, a SS-mani pohulali sobie niemało, sięjąc strach i grozę.

Na razie nie udało się nic wymyślić. W końcu decydujemy, że kupię kawę prawdziwą, którą on z kolei wręczy urzędnikowi Arbeitsamtu.

Dostać prawdziwą kawę w 1943 roku w obcym mieście nie było łatwym zadaniem, tym bardziej, jeżeli chciałoby się dostać jak najszybciej, żeby jeszcze tego samego dnia Arbeitsamt otrzymał i zaczął działać. Dostałam kawę za sumę, która stanowiła większą część moich pieniędzy, ale jeśli to ma być droga do celu!

Przechodził dzień za dniem. Chodziłam na tartak Piaski, chodziłam polami w deszcz rano i wieczorami na młyn Krauzego, przez płoty rozmawiałam z placówkarzami, z towarem na rękę. Wieczorami podchodziłam pod oświetlony Majdanek, gdzie rysowały się jak pięć gwiazdek pięć pól i całą mocą wzroku wpatrywałam się w czwarte. Wszędzie podawałam nazwisko, błagałam o jakiś najmniejszy liścik, najmniejszy znak. Poznawałam coraz to innych ludzi, dobrych i złych i wielu z nich musiałam powierzyć to, że staram się o Żyda, narażałam się, ale to przecież było moim celem. Przyjechałam, kiedy było jeszcze ciepło, a teraz jest już zima. Żle odziana, wiecznie niepewna, zdenerwowana, ledwie mogę zapanować nad nerwami. Chcę się z tego otrząsnąć, poradzić się, ale nikogo nie mam przy sobie zaufanego. Może wszystko nieudolnie załatwiam. Wkładam maksimum energii i odwagi, ale widocznie mniej rozumu, jeżeli nic zdziałać nie mogę. Dostaję jeszcze jedną wiadomość. Oto Jurek, dowiedziawszy się, że ja się o niego pytam, odpowiedział, że to niemożliwe. Powiedział: „moja żona nie żyje”.

Rozrzewniłam się, więc nie wierzy w to, że żyję? W drobne sprawy: liścik, wiadomość, paczkę rozplywa się cała moja działalność, ale jak uzyskać zwolnienie? Wiem, że to niemożliwe, ale... Lublin coraz to obiegają wieści, że Żydów wykończą.

Pewnego dnia, kiedy starszym strażnikiem był pewien młody Jugosłowianin, a pozostali też jacyś możliwie spokojni, Wasserman mógł ze mną dłużej porozmawiać. W końcu obiecuje sprowadzić tu męża.

— Ale kiedy? — pytam. — Przecież on może tam w zamknięciu umrzeć.

— Na to już nie poradzę, ale będę się starał. Jeżeli go tu sprowadzę, to może go pani jakoś wykradnie.

Odgaduje moje myśli.

— A wie pani, za to nam wszystkim grozi śmierć. Myślę jednak nad tym, że gdybyśmy mieli pomoc z zewnątrz, moglibyśmy wszyscy zbiec. Komenda liczy do 20 osób, trzeba by tylko obmyślić szczegółowy plan, dostarczyć nam dostatecznej ilości ubrań. Wskazać jakąś tymczasową melinę. Słowem pomyśleć o tym. Pani mogłaby nam pomóc.

— Naturalnie, Boże, gdyby się to mogło stać!

Już o niczym innym nie myślę. Układam sobie plany. Rozglądam się po okolicy. Mężczy mnie to w dzień i śni się po nocach. Ucieczka. Tymczasem dni za dniami mijają i zaczynam powątpiewać o możliwości sprowadzenia Jurka na placówkę.

— Ciągłe nowe zarządzenia — wzdycha kapo — z jednego pola na drugie nie sposób przejść, za najdrobniejsze przekroczenia śmierć. Teraz znów panuje tyfus, gazują i zdrowych, i chorych, bo dla samych chorych nie opłacało się używać gazu.

Jak ja to dobrze wszystko rozumiem, że każda godzina to jeszcze jeden gwóźdź do trumny. Rozumiem, że to wszystko jest niełatwe, ale zwłoka to śmierć, jak można do tego dopuścić! Szukam i szperam po Lublinie. W końcu szczebel po szczeblu, krok za krokiem, trafiam na zupełnie inny kierunek.

Jest to mała restauracyjka, której właścicielem jest pan Sienkiewicz, Ukrainiec, były sekretarz Związku Ukraińskiego, artysta-malarz. Człowiek dziwny i przyjemny, chiro-manta. Człowiek kierujący się intuicją, a nie wyrachowaniem, gościny, serdeczny i dobry. Do niego to dostaję się, rekomendowana przez pewną Ukrainkę, poznaną przypadkowo w pociągu i przedstawiona przez nią jako jej kuzynka. Okoliczności są dla mnie sprzyjające. Powierzam mu moją tajemnicę. Wysłałam za mąż za Żyda. Pan Sienkiewicz uważa, że to jest tragiczne, ale mimo wszystko wcale nie jest tego zdania, co inni, że „lepiej, żeby zginąć, po co pani ma się z nim męczyć”. A wobec tego, że z całej duszy chce mi pomóc, podbija mi tym serce.

Otóż do restauracji pana Sienkiewicza przychodzą różni Niemcy, przez których można załatwić zwolnienie z obozu. Po zastanowieniu się powierzam mu tę sprawę. Przychodzi tedy pewnego dnia tłumacz wraz z kierownikiem działu dla spraw żydowskich. Obaj panowie są gładcy, grzeczni i na pewno tak samo okrutni.

Pan tłumacz rozkłada ręce.

— Pani rozumie, to jest wojna totalna. Wszystko dla celu.

Opowiadam mu o sprawie ze swojej strony, a on tłumaczy koledze. Pan Sienkiewicz wspólnie ze mną prosi.

— Zróbcie coś — uśmiecha się — koledzy drodzy, coś przecież można zrobić.

Pokazuję fotografię Jurka.

— Jaki ładny chłopak — podziwiają — wcale nie jak Żyd!

Milczę, co z nimi dyskutować. Wreszcie podsuwam im pomysł, który długo tkwił we mnie i dojrzał podczas jednej nieprzespanej nocy.

— Proszę was, jest tu grupa Żydów, pracujących przy SS, jest to grupa nieliczna, zaledwie kilkadziesiąt osób. Są to wybitni fachowcy szewcy, krawcy, kuśnierze, mechanicy. Słowem, ludzie potrzebni Niemcom. Mają oni możliwe warunki i przepustki na miasto. Niemcy dobrze wiedzą, że nikt z nich nie ucieknie, gdyż mają co jeść i dach nad głową i jakie takie poczucie bezpieczeństwa. Nie zamienią tego na życie tropionego zwierzęcia. Ja proszę, aby mojego męża przenieść do tej grupy.

— Jaki fach?

— Fach jest tu nie ważny, ale tam przypadkowo zapisany jest jako ślusarz.

— A potem?

— Potem zobaczymy — mówię głośno, a w duszy: wtedy będzie droga do uciezki, a może lepiej, żeby nie uciekał. Może tu będzie bezpieczniej dlań.

Siedzimy przy stole w restauracji pana Sienkiewicza. Nagle uświadamiam sobie, że siedzę koło hien, morderców, którzy, gdyby wiedzieli, kim jestem, rzuciliby się na mnie i pobiliby się może obaj o taką zdobycz. Oszukuję ich.

W pewnej chwili tłumacz prosi mnie o dowody.

Boże! Czy ja ich oszukałam czy oni mnie? Byłaby to pułapka, może oni się mną bawili, aby teraz zawołać: „przejrzeliśmy cię, wiemy kim jesteś” albo po prostu: „czy wolno ci się starać o Żyda, nie wiesz, co za to grozi?”

Spokojnie wyjmuję dokumenty Inki i podaję je.

— To moje panięskie dowody. Pan rozumie, że trudno mi teraz legitymować się nazwiskiem męża.

Dokument po długiej jak wieczność chwili wraca do mych rąk, więc kończymy rozmowę.

— Naturalnie, pieniądze — mówię — będą złożone u pana Sienkiewicza.

Tłumacz przez chwilę cicho rozmawia z drugim, a potem oświadcza mi, że w najbliższym czasie postarają się o przepustkę na Majdanek, tam sprawdzą jeszcze raz dane w kartotece.

— Pani rozumie — mówi — stan na Majdanku jest płynny.

— Rozumiem, proszę pana.

— A potem damy pani znać przez pana Sienkiewicza, nie wcześniej jednak, jak za tydzień.

— A jeżeli będzie za późno?

Niemiec rozkłada ręce.

— Nic nie poradzę, muszę jechać w tym tygodniu na kilka dni, ja też przecież jestem w tej sprawie zainteresowany.

Znów jadę do Warszawy i znów po pieniądze. Wiem, że teraz dotarłam już do odpowiednich ludzi. Tylko oni mogą mi pomóc. Ach, żeby żył, żeby tylko żył! Jak dostać większą sumę pieniędzy w ciągu tygodnia?

W Warszawie teściowa i Rakowskie są olśnione wypadkami. Robimy już plany, jak sobie razem z Jurkiem ułożymy życie. Będę pracować za nas dwoje. Przyjdzie słaby, chory, ach, żeby go już uwolnić!

Znów latanie za Fiutkowskim, znów stanie, setki telefonów do Aliny, znów długie rozmowy z Inką, co sprzedać i ile dostaniemy? Dodajemy, mnożymy, liczymy, ale suma jest ciągle przeraźliwie mała. Pewnego dnia spotykam się ze znajomą, ona ma kolegę w podobnej sytuacji — porozumiałymy się. Naturalnie, nie jestem odosobniona. Tylko że moje siostry w niedoli nie wędrują po obozach, ale siedzą spokojnie w domu, czekając na jakiegoś zbawcę. Mają one zupełnie fałszywe pojęcie o obozach i panujących tam zwyczajach. W każdym razie są o tyle w lepszym położeniu ode mnie, że mają pieniądze. Umawiamy się, że ja im pomogę zwolnić ich mężów, za to oni brakującą sumę uzupełnią. A teraz przychodzi rozum. Trzeba Niemców olśnić sumą, nie czekając, aż oni sami zaproponują. Tak, to nie kwestia targu, tu trzeba ocalić życie! Zaproponuję im taką sumę, żeby i oni mogli przekupić śmierć, żeby mogli się wzbogacić, *pecunia non olet*. Gardzicie Żydami, nienawidzicie ich, brzydzicie, ale nie ich pieniędzmi, bierzcie, rzucam wam, pochylcie głowy, złóżcie usta w uśmiech podzięką, bierzcie żydowskie pieniądze! Przywykliście wprawdzie brać je za nic, darmo, teraz weźmiecie je za uratowanie życia. Chociaż was wszystkich przeklinam, być może przyjdzie taka chwila, że was dwóch będę błogosławić.

Znów Lublin. Biegnę do Sienkiewicza. Tłumacz chorował, ale już dobrze się czuje i za dwa dni jadą na Majdanek. Przedstawiam im naszą sprawę, widać, jak błyszczą im oczy.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — mówi i całuje mnie w rękę. O potężny, przepotężny, pieniądzu!

Na drugi dzień od rana zamieszanie. Mieszkam teraz u znajomej mojej, opatrnościowej Ukrainki, poznanej w pociągu. Jest to starsza panna. Sympatyczna, choć dziwaczka, dobrze na mnie działa. Jej filozofia życiowa, wewnętrzny spokój i ład i mnie się udzielają. Najgorsze, że i przed nią muszę wciąż kłamać i nie mogę jej o sobie powiedzieć prawdy. Chciałaby mi pomóc, ale ja niestety muszę tak manewrować, aby jej do żadnej pomocy nie dopuścić, ze zrozumiałych względów. Co dnia spaceruję z nią, robiąc drobne zakupy. Pociesza mnie.

Tego właśnie fatalnego dnia słyszę podniesione głosy w przedpokoju, ktoś z gospodarzy wrócił się do domu, ponieważ cała „Nowa Droga” jest obstawiona przez SS. Pędzą

Pieniądz

wszystkich Żydów z obozu z Lipowej na Majdanek. Po drodze do usiłujących uciekać strzelają.

Idę szybko na miasto. Na Nowej Drodze już spokój. Wszystkich już przeprowadzono.

Tylko na chodnikach krew, na jezdniach krew, morze krwi świeżej, czerwonej.

Powinnam uklęknąć i modlić się. To krew moja, moich braci.

Na mieście nikt o niczym innym nie mówi, jak o dzisiejszych porannych wypadkach. Wszystkich Żydów z obozów i placówek na terenie Lublina zabrano w ciągu nocy na Majdanek. Dziś nie wpuszczono już cywilnych robotników do obozu.

Coś niedobrego szykuje się. Jestem zdenerwowana, złamana. Cóż to być może? Nie wierzę jeszcze i sama pędzę z jednej placówki na drugą, ale wszędzie pusto. Może jakaś kontrola, może dziesiątkowanie, może segregacja.

Biegnę do tłumacza.

— Nie wiem — mówi. Wydaje mi się, że kłamie. — Jak jutro pojedę, to panią dokładnie poinformuję.

Ale nazajutrz już cały Lublin grzmi, że Żydów na Majdanku wykańczają. Nikogo tam nie wpuszczają ani nie wypuszczają, a jednak ludzie wiedzą, jak to się odbywa i jak długo będzie trwało.

Na Majdanek przyjechało specjalne *Vernichtungs-Kommando* (ach, to byli ci żołnierze, których widziałam wieczorem) ich zadaniem jest objeżdżanie wszystkich obozów żydowskich i w odpowiednim czasie likwidowanie ich. Cała likwidacja w ciągu kilku dni to robota koronkowa. Na to trzeba specjalnie wyszkolonych ludzi. Zwykłych zbrodniarzy SS-manów czy SA do tego użyć nie można, oni są w stanie likwidować dziennie najwyżej po kilka tysięcy ludzi. Poza tym żyli z Żydami w ciągu kilku miesięcy czy roku. Może zdarzyło się, że jeden z nich poznał lepiej jakiegoś Żyda, kilka razy z nim rozmawiał i może pomyśli przez chwilę, że to nie był zły człowiek, a taki sam jak inni, czemu go zabijać? A przecież organizacja niemiecka jest mądra, przemądra, przecież Niemcy to naród przewidujący, trzeba temu zapobiec. Zwykli mordercy, to jeszcze mało, trzeba zorganizować grupę morderców nad mordercami do kwadratu i sześcianu. Tak więc wychowali sobie *Vernichtungs-Kommando*. Oswobodzono już jedno z pól w ten sposób, że część więźniów unicestwiono gazówkami, a część ustawiono rzędami. Gdy pierwszy rząd kopał doły dla siebie, a następnie po zastrzeleniu w nie wpadał, to drugi rząd zakopywał trupy i kopał dla siebie doły, aby w nich z kolei leć.

W ostatniej chwili w obozie, jak i w getcie, wybuchł bunt. Dawno widocznie przyszykowane granaty spełniły swoje zadanie. Zabito kilkunastu SS-manów i starszych. Mała zemsta, kropla w morzu. Bunt zduszono. Strzelanina trwa. Bez przerwy grzmią karabiny maszynowe. Czy już teraz wszystkich wykończą?

A może, może, ludzę się, jeszcze kogoś zostawią, może jego nie zabiją? Miałam go już prawie wolnego tak blisko. Czy doprawdy w chwili, kiedy był już prawie na wolności, został zabity?

Po kilku dniach strzelanina ustała. *Vernichtungs-Kommando* wyjechało, aby obrobić Trawniki i Poniatów. Robotnicy cywilni znów dostali przepustki na pracę w obozie. Tłumacz w końcu pojechał do Majdanka, aby mi przynieść najgorszą wiadomość: wszystkich wykończyli. Zostawili tylko trzystu jeńców z Lipowej. Koniec<sup>29</sup>.

Znów jazda do Warszawy, tym razem po raz ostatni. Pociąg występuje: koniec, koniec, koniec... Łzy bezustannie płyną. Teraz cel mojego życia jest unicestwiony. Teraz i ja powinnam przestać żyć.

Warszawa. Idę do Rakowskich. Najboleśniejsze wspomnienia przesuwają mi się w pamięci. Co powiem teściowej?

<sup>29</sup> Po kilku dniach strzelanina ustała. *Vernichtungs-Kommando* wyjechało, aby obrobić Trawniki i Poniatów. (...) Koniec — W dniach 3–4 listopada 1943 r. niemieckie władze bezpieczeństwa przeprowadziły w dystrykcie lubelskim masowy mord Żydów, któremu nadano kryptonim „Erntefest” („Dożynki”) zamordowano w tym czasie w sumie ok. 42 tys. osób. Pierwszego dnia zamordowano żydowskich więźniów KL Lublin (Majdanek), obozów pracy Flugplatz, Lipowa 7, Sportplatz, Trawniki oraz mniejszych placówek na terenie Lublina; drugiego dnia zabito Żydów w obozie pracy w Poniatowej oraz w kilku mniejszych placówkach pracy w dystrykcie lubelskim. W większości więźniowie tych obozów pracowali na rzecz spółki Ostindustrie („Osti”, „Przemysł Wschodni”). Operacja była ostatnim etapem realizowanej od wiosny 1942 r. akcji „Reinhardt”, której celem była biologiczna eksterminacja żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci w Generalnym Gubernatorstwie (GG). [przypis edytorski]

Inka otwiera mi drzwi, całujemy się. Wybucham płaczem.  
— Wiem — mówi Inka — wiemy, co zaszło w Lublinie.

\*

Teraz siedzę w ciepłym i miłym pokoju. Jestem syta. Spokój. Nie wiem, czy to złudny spokój czy trwały, ale spokój. Nic mi nie grozi, jest ktoś, kto o mnie myśli. Jakież to szczęście. A bywał głód, chłód, wieczna samotność i śmierć. Śmierć czyhała na każdym kroku, pokazując mi w snach i na jawie swe szczerbate zęby, błyskała oczodołami, śmiała się strasznym jazgotem strzałów. Śmierć bywa różna. Bywa cicha, przynosząca wyzwolenie, bywa gwałtowna, nieprzewidziana. Bywa i taka, co się dławi w męczarniach, ale najstraszniejsza to śmierć „niemiecka”. Śmierć, którą niosą ci gestapowcy, SS, SA, Vernichtungs-Kommando, śmierć, która czyha na ciebie wszędzie i stale, która napawa się twoim nieszczęściem, strachem, która igra tobą i bawi przed pochłonięciem. Pije z ciebie krew, pije, pije, zachłystuje się nią, staje się nią pijana, szalona. Bierze cię w posiadanie, śmiejąc się bez końca. Boisz się? Ja cię zaduszę, umęcę. Chcesz żyć? Nie zasłużyłeś na to. Ja wszystkim podolałam, będę niszczyć, palić, pochłaniać, jam sojuszniczka Niemców, jam ich kapłanka, jam ich święta, ich bóstwo najwyższe, ich symbol, ich cześć, ich zadanie.

Śmierć, Krew, Niemiec,  
Wampir

Kiedyż to było, niedawno, a może wcale. Kiedyż to było, czy w życiu obecnym, czy może kiedyś w przeszłym, może to tylko sen koszmarny. Listopad. Lublin. Idę przez pola, łąki, błędę, nie, nie błędę, toczę się jak pijana i wyję jak pies, słyszę mój dziwny głos. Deszcz pada, w drewnianych pantoflach przelewa się woda, twarz mokra, lzy, ja płaczę? a może to deszcz, a może to niebo płacze nade mną. Tam Jurek, tam Majdanek, straszliwa kaźń, tam dziś rozstrzelują ludzi, 20 tysięcy bezbronnych, niewinnych istot.

Żaloba, Miłość, Śmierć,  
Zbrodnia, Cierpienie,  
Małżeństwo, Żona

Ludzie!!! Czy słyszycie strzały?

Słyszycie i nic, chodźcie sobie spokojnie, załatwicie swoje interesy, zajmujecie się swoimi powszednimi sprawami. Od czasu do czasu, kiedy do uszu waszych dobiega strzelanina karabinów maszynowych, mówicie: „ale tam biją!” Kręcicie przy tym głową i to wszystko.

Ludzie!!! W głowie mi szumi — tam dziś zabili albo za chwilę zabiją mego męża!

Ale tego nie wolno nikomu powiedzieć. A może właśnie powiem, może właśnie pobiec tam i niech mnie zabiją! Jeżeli 20 tysięcy ludzi, to dlaczego ja mam być lepsza, czemu mam zostać żywa!

Włóczę się. Bezwiednie przeszłam przez pole i weszłam w jakąś uliczkę. Opieram się o mur.

Co robić? Deszcz pada bez przerwy. Patrę przez lzy i przez deszcz na szare, smutne niebo. Boże! Boże, czy Ty jesteś, a jeżeli jesteś, czy możesz się na to patrzeć, na to pozwalać!

Bóg — Wszechświat — Dusza — Nieśmiertelność, czy to tylko puste, czcze słowa? Czy nie ma już nic na świecie oprócz zbrodni i tych, co przed nią uciekają?

— Przepraszam, czy panience niedobrze, chora może? — pyta mnie jakaś kobiecina, biorąc za rękę.

Wzdrygam się. Aha, nie, nie, mnie jest dobrze, dobrze, świetnie, doskonale, jestem zupełnie zdrowa, tylko że tam strzelają, zabijają i deszcz pada.

Jureczku, dziś martwy będziesz spał na mokrej ziemi!!! Płaczę. Przymykam oczy i prowadzę ze sobą długie rozmowy.

Mój ukochany, czy to prawda, że już nie wrócisz? Żeś odszedł na zawsze, czy to możliwe? Przecież jesteś mi w życiu niezbędny jak woda, jak powietrze, jesteś dla mnie najwyższą wartością. Umieram z tęsknoty za zobaczeniem ciebie, za wyciągnięciem rąk ku tobie, za złożeniem głowy na twoim ramieniu. Najdroższy, najbardziej ukochany mój. Kiedyś trzymałeś mnie mocno w objęciach, kiedy wydawało się, że nas nic na świecie nie rozłączy.

Wszystko sprawia mi cierpienie, widok nieba, ulic, przez które przechodziliśmy razem, dźwięk muzyki, wszystko wypełnia mi oczy łzami, a serce goryczą, każdy drobiazg, który nosiłeś, krawat, koszula, wszystko przypomina mi ciebie. Zdarza się czasem usłyszeć piosenkę, którą i ty nuciłeś, czuję wtedy, że serce mi się rozrywa. Nie ma już niczego na świecie, co mogłoby mnie wzruszyć, rozpromienić. Szukam twojej duszy, twoich



oczu, twojego uśmiechu. Tu zewsząd otaczają mnie widziadła przeszłości i wszystkie ulice Warszawy, po których stąpaliśmy razem, sprzysięgły się przeciwko mnie. Szarpiające pustką dni, dni bez ciebie — dni, których właściwie wcale nie ma.

We śnie często widzę ciebie. Co noc prawie powtarza mi się ten sen. Jesteś obok mnie. Widzę cię, najdroższy, nachylasz się nade mną. Czy to możliwe, żeś wrócił, że znów jesteś przy mnie, że odnalazłam cię? Doznaję uczucia radości, tak druzgocącego, jak druzgocącym może być ból. Serce wznosi się ku tobie. Wyciągam rękę. O rozpaczy zawsze zbyt wczesnych przebudzeń! Samotna wśród ciemnej nocy, samotna na piaszczystej wydmie życia, które opustoszyłeś, co noc wyciągam ramiona ku przelotnemu widzeniu twych Kochających objęć. Sen — to jedyna ucieczka, której szukam. Odnajduję jeno gorzyc poranka i nie, nie mogę się rozstać z tobą na zawsze. Pragnę cię zobaczyć choćby jeden jedyny jeszcze raz.

Po raz setny, tysięczny przeżywam to, coś ty przeżywał, kiedy cię zatrzymano, prowadzono. Przeżywam twoje śledztwo. Wiem, o czym myślałeś, wiem, jak zachowywałeś się, co mówiłeś, ach, wiem, co czułeś. Ja wiem, najdroższy, co to za męka czekanie na śmierć, co to za męka katoga i bicie, co to strach przed końcem. Cóż bym dała, aby osłonić cię, aby wyrwać cię stamtąd, aby pomóc ci. Mogę dać ci tylko moje życie, bo już nic więcej nie posiadam i dam ci je.

Jest taka bajka Andersena o matce, która szuka swego dziecka...

## NOWY ROK

Początek 1945 roku.

Jakiż będzie ten nowy rok. W pamięci stają mi wszystkie Nowe Roki. Pełne oczekiwania i tajemnicy: co będzie dalej? Gdy byłam jeszcze małą dziewczynką o dwunastej w nocy budzili mnie rodzice: „Masz, napij się winka, rośnij nam zdrowo i bądź nam pociechą”.

Piłam słodkie wino i gryzłam janoski, potem dostawałam czekoladowy tort, przy którym papa wołał: „Nie jedz tyle, zostaw sobie na jutro”, a mama dziwiła się: „Ileż to dziecko może zjeść!”. Za to Helena, niania-sojusznik, broniła mych interesów: „Nic jej nie będzie, jak raz naje się na noc. Niech je słodkie, to jej cały rok słodko będzie”. I tym argumentem przekonywała moich rodziców.

Gdy rodzice bawili się na mieście, obowiązkowo o dwunastej dzwonił telefon. Pierwszy papa życzył mi dobrego roku, potem oddawał słuchawkę mamusi, Helena szykowała wino, janoski i tort czekoladowy. Słuchałyśmy radia i zasypiałam z rozplywającym się kremem w buzi.

Lata szły. Pewnego roku i ja poszłam na bal noworoczny. Miałam jedwabną, niebieską suknię i różowe kwiaty przy gorsie. Piłam wino, tańczyłam i kiedy wybiła dwunasta godzina, oczekiwałam z drżącym sercem nowej ery, nowego roku. Ach, Boże, niech się spełnią moje życzenia!

Życzenia, marzenia, naiwne, maleńkie, żebym dostała maturę, żeby rodzice i wujostwo, i cała rodzina, i babcia byli zdrowi i szczęśliwi, i żebym się dobrze uczyła. Żebym podróżowała, żebym zakochała się na śmierć i życie z wzajemnością, jeździła w góry i nad morze. Tyle tylko, że już dużo nie urosłam...

W Nowy Rok byliśmy z Jurkiem w górach w podróży poślubnej. Wydawało się nam, że żyjemy w krainie cudów i bajek, że szczęście jest uchwytne, wprost namacalne.

Nowy Rok 1939. Na wielkim balu w Adrii<sup>30</sup>, gdzie aż oczy bolały od świateł i barw, siedzieliśmy z przyjaciółmi przy stoliku, piliśmy szampana. Dwunasta w nocy. Całujemy się, życzymy sobie, żeby wojny nie było, żebyśmy wszyscy byli zdrowi, żeby nas nie prześladowali, żeby Hitler zdechł. Potem ja z kolei biegnę do telefonu. „Mamusiu, życzę ci wszystkiego dobrego”. Potem podchodzi papa, ciocia, wujek. „Co robicie?” — „Bawimy się lepiej niż wy” — woła wujaszek. „A skąd wiesz, jak my się bawimy?” — „Wiem, że lepiej bawić się nie można od nas, twój papa aż płacze ze śmiechu”.

<sup>30</sup>Adria — modna w okresie międzywojennym, elegancka restauracja i dancing w Warszawie przy ulicy Moniuszki 10; lokal funkcjonował w latach 1931–1944, słynął z oranżerii pod szklanym dachem i parkietu obrotowego. [przypis edytorski]

Nowe Roki w getcie. Nie obchodziliśmy ich prawie, przestały być naszymi Nowymi Rokami...

Nowy Rok na Sławku. Ala upiekła kruche ciastka, dobiła ukrytą butelkę wina domowego wyrobu, siedzimy przy stole: Ala, Cybulski, Jurek i ja — Gerta już jest w Warszawie. Eryk śpi. Północ. Zegar z kurantem wydzwania mazurka, dwanaście uderzeń. Przed każdym z nas świeczki i karteczki z wypisanymi życzeniami — życzeń może być trzy. Przy dźwiękach mazurka z kuranta spalamy karteczki, życzymy sobie spełnienia życzeń. Na mojej karteczce wypisałam: 1) żeby wszyscy moi bliscy doczekali następnego roku, 2) żeby przyszło wyzwolenie, 3) żeby zaraza hitlerowska raz na zawsze wygasła.

Pierwsze spełniło się z całą odwrotnością, drugie nie spełniło się. Zły, przeklęty, najgorszy Nowy Rok 1943 przywitany winem, oczekiwany z niecierpliwością.

Rok 1944 w małym pokoiku na Sadybie w mieszkaniu p. Szato. Moja teściowa i ja leżymy już w łóżku. Nakrywamy się cienkim kocykiem, pod którym marzniemy i nijak nie można rozgrzać zziębniętych kości. Pieniądze się kończą. Mieszkanie wymówione — żadnego wyjścia.

Zostałyśmy już tylko my dwie. W sąsiednim pokoju zegar bije dwanaście razy. Słyszymy przez ścianę, jak rodzina Szato życzy sobie dobrego roku.

Idziesz, Nowy Roku, ale już nie dla mnie. Jestem sama. Zbolałe oczy są pełne wizji-obrazów mąk moich najdroższych. Przychodzisz Nowy Roku. Może innym ludziom przyniesiesz wolność, a mnie, mnie już chyba nic nie przyniesiesz, bo do końca dobrać nie mam już ani możliwości, ani nadziei.

I nagle rodzi się we mnie bunt, jakaś potężna chęć walki, czynu. Nie dam się. Tak, nie mam ani pieniędzy, ani dobrych dokumentów, tracę dach nad głową, jestem sama, ale będę walczyć. Chcę pomścić, muszę ich pomścić, muszę zobaczyć koniec największego bandyty Hitlera!

Roku Nowy, wybacz, że cię nie witam winem. Nie mam w domu dziś nawet chleba. Wybacz, że witam cię w ciemnym i chłodnym pokoju, ale za to witam cię sercem gorącym, witam cię odwagą.

Nowy Roku, pomóż mi walczyć i pomóż mi w tej walce zwyciężyć!!

Słyszę, jak teściowa moja cicho płacze, całuję ją.

— Dziecko — mówi — mogę ci życzyć tylko jednego, abyś przetrwała.

Zasypiamy i pierwszy raz od dawien dawna zasypiam z niezrozumiałą nadzieją przetrwania.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/szac-wajnkranc-przemienilo-z-ogniem/>

Tekst opracowany na podstawie: Noemi Szac-Wajnkranc, *Przemięło z ogniem*. Pamiętnik pisany w Warszawie w okresie od założenia getta do jego likwidacji, wyd. Centralna Żydowska Komisja Historyczna w Polsce, Warszawa-Łódź-Kraków 1947.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7271-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.